Mieczysław Pawlikowski

„Fragmenty nowel i powieści"

1875 i b.d.

Fragmenty Nowel i Powieści M. P.

1. Bańki mydlane
2. [Dwadzieścia lat go nie widziałem ...]
4. [Dziwna była cisza ....]
5. Henryczek
6. Kamila
7. Kondotier
8. [Maciej Tyrski był dostatnim gospodarzem ...]
9. [Nie widzieliśmy się nigdy na oczy.]
10. Panna Ludmiła
11. Pani Flawia
12. [Pogodny dzień zimowy.]
13. [Po wielu, wielu latach ...]
14. Powieść na tle wypadków 1863.
15. Tytuł bez powieści
16. [W małem miasteczku w Galicyi ...]
17. Wojtuś.
18. Wstęp do powiastki.
19. [Zasiedliśmy do wilii ...]
20. Pan Żergowski
21. [Maszynowy odpis rękopisu niedrukowanej powieści (nieskończonej) str. 267. Ustała zamieć śnieżna .....]

Berlin [illegible]

Niema milszego widoku nad widok zakochanej pary.

— Przyjedź do nas! i przyjedź! – zapraszali mnie oboje w każdym liście. – Jeśli chcesz obaczyć szczęście, przyjedź do Stefanówki!

Chciałem „obaczyć szczęście" bo to widok dość rzadki, pragnąłem tego tem bardziej, że sam do tego szczęścia i zamęścia poniekąd się przyczyniłem; wybierałem się do nich w kilka miesięcy po ich ślubie i więc w rocznicę ślubu i w drugą i w trzecią. Wybierałem się jak sójka za morze.

Nie mieszkali wprawdzie za morzem, ale tak jakby na wyspie a raczej na oazie pustyni, – w zapadłej okolicy, wśród lasów, na ostatecznym krańcu naszej prowincji, trzy mile od najbliższej poczty, sześć mil od żydowskiej mieściny, od apteki i lekarza.

Nie potrzebowali apteki i lekarza, zdrowi byli i młodzi a urodziwi oboje, że tylko malować. A zakochani i szczęśliwi: ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~ miodowe miesiące u nich w miodowe zmieniły się lata.

~~[illegible]~~

Korci mnie opowiedzieć – choć to do rzeczy nienależy – jak się skleiło to małżeństwo. Któżby nie lubił się pochwalić? – a ~~[illegible]~~, że przyczyniłem się do tego związku, opowiadając więc o szczęściu tych dwojga, sam się chwalę i jednam sobie łaskę czytelniczek, na czem mi nie mało zależy.

Zważcie, to stadło spełniłem wszystkich dobry, temu (wobec tak romantycznego) nie zaprzeczy żaden nawet z moich serdecznych przyjaciół, Stańczyk lub Ultramontanin – chybaby im to wadziło, że się moja para pobrała w kuzynowstwie...

*) Na szczęście ~~na tej kwestyi spornej~~, znalazłbym w tej kwestyi sporą liczbę ~~przeciwników~~ w świecie uczonych i ponieważ twierdzenia moje znajdują też znakomitych zwolenników/

~~Ob. Zwolennicy~~ Konsangwinizmu: jak n.p. Spelter, prof. Ed. Reich („Erblichkeit und Gebrechen"), A. Voisin, G. Darwin i inni.

~~[Ob. „Prawda" 1892 Nr. 21, 22.]~~

2.

Powiem więc rzecz strasznie nieprawomyślną, niech sobie (ale tak jak to zwykły czynić, aby słyszały wszystko doskonale) szanowne dewotki zatkną uszy! Oto sądzę, że pośród małżeństw z miłości małżeństwa zawarte między krewnymi są najszczęśliwsze. Zdarza się wprawdzie bardzo często, że małżeństwo w kuzynowstwie jest właśnie najniedobraniem — ale to tylko wtedy, gdy jest owocem familijnego układu, a miłość w doprowadzeniu do skutku tego związku nie żadnej odgrywała roli. Dziewczynie, jeśli mimo oporu matek, ciotek i całej rodziny zakochana para kuzynków postawi na swojem i pobierze się, stałości przywiązania ich i szczęścia ich można być pewnym.

Obcy ludzie zawierając śluby dozgonne, nie mają zwykle przed ślubem możności poznania się do gruntu serca i wypróbowania przez czas dłuższy wzajemnej odporności, pobierają się więc nieznani sobie, z zawiązanemi oczyma — i do nich to stosuje się lub stosować można zdanie, że „małżeństwo to loterya" (lub „gra w ciemną babkę"). Dziewczynie i kuzynkowi, którzy się znają od lat dziecinnych, zanim się pobiorą, dość mają czasu aby się wybadać wzajemnie, pokochać się i odkochać sto razy, wytrzeźwić z dziecięcego szału lub też utwierdzić w serdecznych ku sobie afektach. Oni jeśli pobierają się, wiedzą co czynią i z całym zaufaniem mogą sobie podać dłonie na drogę życia bez obawy niespodzianek i rozczarowania. Co więcej, przynoszą oni z sobą do nowego gniazdka skarb nieoceniony — bo wspólnych przeżywania dotychczas samych osób wspólnej swej rodziny a może ich podzielać zasób wspomnień wspólnych, (wspomnień najmilszych bo będzie przez całe życie bogaty) sięgających lat ich dzieciństwa.

Jestem stanowczym zwolennikiem małżeństw z pokrewieństwa. (*)

Niema zresztą obawy aby małżeństwa krewnych stały się regułą na świecie i przez zbyt częste powtarzanie w jednej rodzinie prowadziły do degeneracji. Wyłamanie jest również uniemożliwione, jakoby one prowadziły do zasklepienia się rodzin wśród ciasnego koła egoistycznych interesów i wyzbycia się tego poczucia łączności z ogółem społeczeństwa. Przeciwnie, wzmacniając ogniwo rodzinne potęgują spoistość ogniwa z osobna z tych, z których się składa społeczeństwo, niedopuszczając aby się każdego rozpadało na luźne atomy, miotane zawieruchą czasu i indywidualnych, dowolnych, egoistycznych dążności.

Ale też kwestyę potrącam tylko mimochodem, dla zadowolenia wszystkich zakochanych kuzynów i kuzynek, których [illegible] niepowodzeń w obec stawianych im przez rodzinę trudności. Sprzyjałem i sprzyjam zawsze zakochanym a najbardziej zakochanym w kuzynkach.

Sprzyjałem też zawsze miłości Romea i Julii, [illegible]

ich Giuliettą i Romeem, ile razy ich spotkałem sam na sam w cienistym gaiku leszczyny zbierających orzechy lub siedzących w lipowej alei. Jakież to przypomnienie Szekspira wywoływało na ich twarzach rumieńce, niepojętnie objaśniać, jeśli powiem, że on miał lat siedemnaście a ona czternaście skończyła. Stawali zawsze w ogniu obaje, gdy tylko Szekspira wspomniałem lub który kolwiek z jego utworów, choćby Makbeta lub Shylocka. W każdej wzmiance o angielskim poecie domyślali się ukrytej do siebie aluzji. Rumieńce wybuchały na twarzy panny Julii za wymówieniem czarodziejskiego słowa, rozlewały się po całym obliczu aż po niebieskie oczy, rumienili się obaj, czerwieniały się brwi i nawet przezroczyste uszka [illegible]

rozżarzały się niby [illegible] nie wytrzymała. A Romeo tymczasem pochylał się szybciej jakby się chciał ukryć i [illegible] w oczy ich młodzianej [illegible] w [illegible] oblicz [illegible] mnie Julii, odwracał całe jej zakłopotanie, całą jej wstydliwość. Rumieniec zjawiał się [illegible]. A za chwilę ciemniejsze jeszcze fale twarz mu się oblała rumieńcem. Wtedy to zakłopotaniem, i że [illegible]. Tymczasem sądzę [illegible] być i widocznym, bo każdy jej rumieniec taki [illegible] bezmiernego szczęścia [illegible] do [illegible] a [illegible] o tem że za tego szczęścia mu nie zazdroszczę, lecz owszem się [illegible] ich [illegible] rzekami. Czemu tego miał dowody.

Gdyby nie ja nie mogliby obaje nigdy spotykać się z sobą tak często sam na sam, [illegible] (wybiegać razem do gaiku a [illegible] wcześnie [illegible]

(bawić się w wolanta, chodzić po ogrodzie) [illegible] salonie, ale przy osobnym stoliku, i na grze siedząc w fortece, oglądaniu rycin i na czytaniu niemieckich i francuskich [illegible]. To ostatnie działo się nawet na wyraźne przedłożenie z mej strony, że w ten sposób [illegible] w języku niemieckim a Romeo w francuskim; Romeo bowiem lepiej po niemiecku umiał a Julcia lepiej [illegible] po francusku.

Wdzięczni mi też byli za to wszystko obaje – a najwdzięczniejsi za to, że ciocię Klimcię siostrę nauczałem, której wymowna była [illegible] zajęta rozmową ze mną, o nich zapominała. [illegible]

Wakacyje które mieli spędzić razem na wsi, były tak krótkie, [illegible] że im się ciągle zdawało każda chwila którą im [illegible] gruchaniu. – Gruchania te były tak niewinne i [illegible] że ciocia Klimcia [illegible] sposobu używał aby otworzyć oczy [illegible] starej panny, która przez czas nieobecności [illegible] bratowej [illegible] nad Julcią i dwojgiem młodszych dzieci, i bawiącym na wakacjach siostrzeńcem.

Panna Klementyna należała do tej najlepszej kategoryi starych panien, która by zamiast jej imienia [illegible] i dorzucił [illegible] humoru i [illegible] zgryźliwości, zamiast podejrzewać i robić komeraże, zamiast mówić [illegible] i [illegible] nic nie [illegible] – starała się zasiedzieć [illegible]

i usilnem przejęciem aby [illegible] dla całego otoczenia istotą sympatyczną i o ile to możliwe nawet niezbędną. Do zamążpójścia nie miała już żadnej pretensji. [illegible] się wyrzekła [illegible] swiatło, towarzyszki narzeczonego. [illegible] w mej [illegible].

Obok tych wybitnych zalet, miała jednak i ona swe drobne słabostki – któż ich nie ma? Panna Klementyna miała ich dwie: pierwszą były ptaszki, wróble i kotki, drugą – upodobanie w mistyczno-filozoficznem fantazjowaniu. Opowiem jak się te dwie, tak na pozór niełączące z sobą upodobania w [illegible] umiała łączyć.

Przy swoim wysokiem stosunkowo wykształceniu i [illegible] się elementarnej [illegible] i skłonności do zastanawiania się nad zagadnieniami filozoficznemi podstaw nauki a wszystkie bujne wyobrażenia unosiła ją daleko hen za granice [illegible] wiedzy. Pewne wrodzone [illegible] skłonności do [illegible] jej umysł, do wyzwolenia się ze szponów form [illegible] i narażało ją z całem zastrzeżeniem [illegible] [illegible] się na bezbrzeżne morze fantastycznych hipotez. Snuły się w jej głowie całe systemata teozoficznych poglądów, o jakich się nie śniło najtęgszym mistykom naszego wieku: Geneza Ducha Słowackiego, astronomiczne [illegible] Flammariona, Mieszkańcy planet du Prel'a, [illegible] zwolenników Crawforda wymienione, [illegible] neobuddhiści i spirytyści dostarczyli jej materiału do [illegible] nowego świata myśli, który niepodzielnie do niej należał – a do którego zaglądnąć dozwalała tylko wybranym, którzy umieli sobie zyskać jej zaufanie i sympatię. Ja także zaszczyt do nich należę, – a wyznać muszę, że w ty[illegible] [illegible], jakkolwiek było w nim dużo chaotyczności, niebyło tyrańskiej nudy ani [illegible]. Czułem w wyobraźni jej twórczej [illegible] go [illegible] barwy i blaski i [illegible]. [illegible] [illegible] się z takiem szlachetnem ciepłem [illegible], że [illegible] ogarniał go tak [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] zaten, aby jak najprędzej [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] się mowa w tej obłędnej bańce mydlanej [illegible] w przestwór bez końca.

+ Córka Klimcia była bądź co bądź niezwykłą istotą.] Najprzód zadawałem sobie pytanie, jakie okoliczności potrafiły jej umysł w tym kierunku i jak [illegible] wyrobić. [illegible] odpowiedzi na to pytanie. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. Kto to [illegible] [illegible] w życiu musiała spotkać [illegible] osobę, która jej myśli w tym potrafiła kierunku. Kto to był [illegible] [illegible] nie [illegible] wiedy; dziś [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] nie mogłem wyjaśnić.

Raz tylko … lecz może nie wypada mi przedwcześnie [illegible] –

Raz tylko, gdy mimochodem [illegible] [illegible] wspomniałem błyskawiczne zrozumienie – [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] jak na [illegible] [illegible]. Ale to wszystko trwało tak [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] jej [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] krótko jak błyskawica.

Czterech o [illegible] wspomniałem, (nieudolnie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]) [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] a [illegible] [illegible] – ale [illegible] tylko [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

– Czy pani go znała? – spytałem.

– Alež on umarł – odrzekła [illegible].] Zaniepokojony zdrów i wesół

– Żyje [illegible] pani, żyje! Widziałem go niedawno: [illegible] za drzwi, [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] a [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] …

– Dla nas jednak umarł – szepnęła cichym głosem w którym drżała nuta [illegible].

– Ah, rozumiem! pani wspomnieniem marzenia nazwała go umarłym!

– Czyż może być śmierć straszniejsza i … zupełniejsza, od śmierci … za życia!

– Zapewne! A [illegible] z [illegible] [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] odrodzenie.

– Sądzi pan że niema? – zawołała [illegible] – to byłoby okropne! Jako wiemy, że [illegible]

+ [illegible] bańka mydlana [illegible] [illegible] jak [illegible].] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible] panna Klementyna, nie [illegible] [illegible] jej [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] zagadnienia życia i śmierci z jej [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] jej [illegible]? [illegible] jej nie [illegible] – [illegible] [illegible] [illegible] w życiu.

[illegible] to [illegible] [illegible] [illegible], ale [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] woli.

5. 6

upadłem z którego dusza wciąga wiekuistego istnienia podrzeć się nie mogła! Więc tu na Ziemi, to na innym planecie, ~~[illegible]~~ nie teraz to za lat tysiące! Zżywszy jeden, „tysiącem można zapalić żywotów", jak mówi Słowacki, ale odkupu [czasu] można nadrobione winy. ~~[illegible]~~ [Iż najsłabszych] ~~[illegible]~~ [niebios wielkiej można odgadnąć do nieba drogi'.] Chociażby ktoś wołał do Krasińskiego „odchodząc i zeszedł do roślinnej istoty grzyba", podnieść znowu się może i począć napowrót utracone człowieczeństwo znamionować i odrodzić się człowiekiem!..

— Czy pani dawno wierzy w metempsychozę? - zapytałem.

— Czy dawno? mnie się zdaje że zawsze wierzyłam. Od najmłodszych lat litowałam się nad każdym ptaszkiem i robaczkiem i współczułam z ich cierpieniem. Nigdy ~~[illegible]~~ nie uważałam zwierząt za automaty [jak Descartes i Malebranche] ~~[illegible]~~ ale za istoty nam podobne, które odczuwają nasz czas i mogą kochać i nienawidzić, ~~[illegible]~~ i świadomie robić dobre lub złe...

— Przyszła pani do metempsychozy.

— To jest bardzo blisko. Uczono mnie gdy byłam dzieckiem, że na tym świecie często człowiek uczciwy całe życie ~~[illegible]~~ spędza w niedoli, w cierpieniu i biedzie ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i zawsze prześladowanie najgorsze, podczas gdy [illegible] tryumfuje i żyje w dostatkach i ~~[illegible]~~ wszystko mu się powodzi. ~~Uczono~~ mnie że zatem musi być świat inny, [zagrobowy] ~~[illegible]~~ każdy otrzyma nagrodę lub karę według zasługi, bo inaczej nie byłoby sprawiedliwości a ~~[illegible]~~ [sprawiedliwość być musi] ~~[illegible]~~ [tam gdzie] wszystkich, kiedy Stwórca (twórca [najmądrzejszy]) o mądrości Twórcy...

— ~~A cóż więc~~?

— I cóż stąd?

— Otóż gdy mnie tego uczono, ~~[illegible]~~ że jest świat inny zagrobowy a dusza jest nieśmiertelna, to ja myślałam sobie wtedy o Miluszu... był to [illegible] ~~[illegible]~~ piesek mojej piastunki, który się z nim najgorzej obchodziła [illegible] wszystkie chłopaki ~~[illegible]~~ kamieniem mogą przetrącić, karano go uderzyć.. Oczko jeszcze takie to było [illegible] smutne! A szczególnie [illegible] piesek który wszedł czemu na wszystkie [Milusia kilka razy ratował] a mnie nawet raz. Gdy [illegible] w [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible].. Ten piesek okrywał w dostatkach u swojej pani... Otóż ja sobie pomyślałam wtedy przy lekcji ~~[illegible]~~ o Miluszu i o tym piesku, że przecież należy się [illegible] nagroda ~~w~~ równości a [illegible], że zatem i one muszą mieć nieśmiertelne dusze jeśli sprawiedliwość [illegible] rządzi...

— Więc pani sądzi, że taki Milusz przyjdzie na świat po raz wtóry, może w lepszej postaci?

— Czemużby nie?. Czy sądzi pan może, że nagrodą Milusia ~~[illegible]~~ [mogła być] jakaś ekstaza wiekuista, z której wpatrywać się będzie w zawieszonego przed jego nosem kiełbaskę?

Zaczęliśmy się śmiać oboje. A panna Klementyna mówiła dalej:

— Dla wszystkich [istot] ~~[illegible]~~ [najwyższym] pragnieniem jest rozwój coraz dalszy, potężniejszy [illegible] prawem wszechświata. Wyżej i wyżej i [illegible] i [illegible] jakie mają wszędzie i postęp jest prawem wszechświata. Czemużby nie miał Milusz pójść wyżej! A raczej i nagrodą być może tylko to: „wyżej." Czemużby nie miał Milusz to „wyżej" osiągnąć po śmierci i odrodzić się człowiekiem?

Przyglądałem uważnie, ~~[illegible]~~ aby się nie roześmiać. Spostrzegła to.

— Śmieszy się pan?.. ~~A [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]~~ wzory ~~[illegible] [illegible] buddyjskich którą pani [illegible] stanowi~~ Czytałeś pan dzieło belgijskiego podróżnika Houzeau: Porównawcze studia ~~[illegible]~~ duszy ludzkiej i zwierzęcej? Wierzy pan że one obdarzone są wszystkimi władzami umysłowemi człowieka; [illegible] umysłowości już dawno stwierdzono że [illegible] władzami umysłowemi człowieka; [illegible], istnieje tylko różnica stopnia...

— Nic dziwnego tedy temu upodobaniu pani do psów, kotków i ptaszków.

— Bo ja uważam za braci i siostry moje...

6.

w [illegible]

nie[illegible]
jak[illegible]
nie[illegible]
nab[illegible]
i on[illegible]
zwy[illegible]
~~[illegible]~~

mor[illegible]
zde[illegible]

na t[illegible]
do X[illegible]
Fort[illegible]

istot[illegible]
cy [illegible]

~~[illegible]~~
zat[illegible]

s[illegible]

re[illegible]

Rom[illegible]
zni[illegible]
nat[illegible]

— Przypominam sobie legendę o jakimś świętym, który o owcach w podobny sposób się wyraził...

— Ah, to św. Franciszek Serafický. Chłopu niosącemu na targ powiązane nielitościwie jagnięta, rzekł: Czemu tak męczysz braci moich? A gdy mu raz jaskółki świegotem swoim modlitwę przerywały, zawołał: Siostry moje, uciszcie się! I ucichły. Miewał on wiecznie kazania do drobin, który go nabożnie słuchał a nawet do wilków... Św. Roch prawił także egzorty bydłu i owcom. Św. Antoni z Padwy, gdy ludziom kazanie jego przydługiem się wydało i zaczęli się rozchodzić, poszedł nad brzeg rzeki i zwrócił się do ryb a ryby gromadnie nadpływać zaczęły aby go słuchać.....

— Widzę że pani czytuje pilnie Żywoty Świętych.

— Z samej nudy czytałam je niegdyś i wynotowywałam wszystkie legendy w których mowa o zwierzętach. Jest ich tam pełno. Wynotowywałam przede wszystkiem najbardziej zdumiewające: pobożności zwierzęta modlą się, słuchają kazań, proszą o błogosławieństwo, żałują za grzechy....

— Cóż to dowiedzie pani dowodzi?

— Dowodzi to, że niegdyś świat chrześcijański inaczej zapatrywał się na tych braci naszych jak dziś się zapatruje i nie odmawiał im duszy. Wnet też do XVIII uważano je za odpowiedzialne, skoro wytaczano im nawet karne procesa przed sądem i brano na tortury za popełnione zbrodnie...

— Muszą być kontente żeśmy tego zaniechali...

— Muszą być kontente... bośmy je zdegradowali do

— Tak, dziś nam się to śmiesznem wydaje, a jednak w średnich wiekach roztrząsano na serjo pytanie, istot bezdusznych... czy mysz, która by się napiła święconej wody za chrześcijankę uważać należy..

— Ah, to zagadnienie należy do owych niedorzecznych kwestyj owczesnej scholastyki, kiedy pisano uczone rozprawy nad tem: An umbra asini, super quem.... ale sami nie rozumie po łacinie.... (doleciały nas przez otwarte okno i wesołe głosy powracającej z ogrodu zakochanej pary) przerwały dalszą naszą rozmowę.

— Kurzyku!... kurzyku!... bo się pogniewam! — wołała Julia

— Kurzyku! jeśli mi tego nie powiesz, coś myślała, to... — i reszta przerywanym dokończył szeptem.

— Nie mogę! nie!

— To ja będę myślał, że ... — Nie dosłyszeliśmy reszty. Głos Romcia brzmiał tonem jakiegoś namiętnego zaklęcia. Młoda para przebiegała pod oknem zniknęła już na schodach werandy. On widocznie gonił za nią, ona uciekała przed natarczywością młodzieńca. Usłyszeliśmy tylko:

— Nie, za nic w świecie!

— ..... jak mi życie miłe!

— Temperatura podniesiona do stanu wrzenia — zauważyłem z cicha.

[illegible]

— [illegible] Łopaty Świętych.

— [illegible]

— [illegible] XVIII [illegible]

~~[illegible]~~

— [illegible]

— [illegible]

7 — Widzi pan, ja ich nie mogę tak sam na sam zostawiać.

— Nic sobie nie zrobią, łaskawa pani.

— Tak pan sądzi? Mnie się zdaje że tego tak lekko brać nie należy. To nie flirt.

— Tem lepiej.

— Jakto: tem lepiej? To pierwsze uczucie, które mogłoby się zbudzić w sercu młodego dziewczęcia, głębne było niż pan sądzi

— Tem lepiej.

— Wcale nie lepiej, bo mogłoby jej życie złamać.

— Wybacz pani, ale mam widocznie usposobienie od silniejszej połowy ludzkiego rodu. To pierwsza miłość w sercu młodzieńca, głębna była i stalsza, niż pani sądzi.

— Czy tak? — zapytała z ironią niedowierzania. — Czy tak? — powtórzyła raz jeszcze cichej, z przesiąkłą intonacyą smutku, w której się odbiła cała gama żalów i rozczarowań.

Zamilkłem, rozważając ten smutek jej i te wspomnienia których żałobne pasmo przesuwało się w tej chwili przed oczyma jej duszy. Po chwili zmieniając ton głosu, zapytałem stanowczo:

— Czy pani nie wierzy w miłość... szczerą i wierną?

— W miłość? ja? — odrzekła jakby budząc się ze snu.

I zawołała z pełnym szczerości zapałem: — O, wierzę!

— Czy pani nie wierzy, że miłość może dać szczęście, potężniejsze nad wszelkie szczęścia?

— Może dać... ale nie zawsze daje. Czasem przynosi cierpienie od wszelkich cierpień cięższe i życie zwichnie.

— Ale nie zawsze! wierz pani, że nie zawsze! Oglądnij się pani w koło, a obaczysz szczęśliwych nie mało...

Panna Klementyna zrobiła ruch głową jakby się rozglądała powoli lub przypominała sobie różnych ludzi na nim widzianych i rzekła smutnie:

— Bardzo niewielu!

— Ale ci, którzy są, ci chodzą zawsze parami.... wszak prawda?

Uśmiechnęła się z dobrocią:

— Być może.

— A więc, czy pani takiego szczęścia nie pragnie dla tej młodej pary?

— O, pragnęłabym szczerze... ale powątpiewam o stałości

— Czemużby stałym być nie miało to uczucie ich, tak szczere, poczciwe, czyste? Czemużby nie nie mieli pozostać sobie wierni? Czy pani niedowierza ich poczciwym, niewinnym sercom? Dozwól im się pani pokochać całą duszą, zakochać się na śmierć, a będzie pani mogła i przyszłości zawierzyć!

Rozśmiała się:

— Szczególny z pana adwokat zakochanych dzieci!... Ja im nie jestem przeciwna, ale moja bratowa inaczej się na to zapatruje i gdyby tu była, nie zostawiałaby im tej swobody, jaką im zostawiam, nie byłoby im wolno całemi godzinami sam na sam z sobą przebywać. Może ma słuszność, że im tego zabrania. Romciowi w mieście między kolegami ta miłość łatwo wywietrzeje z głowy, wyszuka drugą i dziesiątą, ale Julcia, Julcia? mój Boże, biedne dziecko mogłoby nie przenieść tego ciosu. Jeśli się kiedyś pokochają, to i owszem, jabym nawet rada z tego była, gdyby się pobrali, chociaż i matka, i stryj opiekun i cała rodzina byłaby im przeciwną. Ale dziś o małżeństwie mówić byłoby zawcześnie a więc lepiej i do zakochania nie dopuścić.

— Zapóźno już, łaskawa pani. Czyż pani nie widzi, że już zapóźno?

— To źle, żeśmy do tego dopuścili. Ale dziś jeszcze nie mogło uczucie to zbyt głęboko wrość im w serca, lepiej więc teraz przeszkodzić dalszym postępom, póki czas jeszcze... dziś łatwiej przeboleją...

— Zapóźno już łaskawa pani. Wierz mi pani, ja się na tem znam: zapóźno. Niech pani nie robi tego eksperymentu rozdzierania serc. Kto wie naczem by się skończyła operacya. Mówiła pani przed chwilą, że tego „lekko brać nie można". Teraz ja muszę tę samą powtórzyć uwagę.

— Cóż więc robić? — zapytała zakłopotana poczciwa ciocia.

— Nic, nic wcale. Znajdują oni dość przeszkód w niedoświadczeniu i niewinności serc swoich, aby miłość ich miała stać się zdrożną. Bezpieczni są ze sobą, bo ich strzeże najczujniejszy stróż i opiekun: idealna czystość poetycznego uczucia. Wierz mi pani: gdybym miał córkę taką jak panna Julia, nie bałbym się powierzyć jej opiece Romka, gdyby się w niej zakochał, i pozwoliłbym im nie tylko na zbieranie orzechów w leszczynowym gaju lub spacerach w lipowej ulicy ale choćby na spacer po Niepołomickiej puszczy.

— Serjo pan mówi?

— Najzupełniej! Nie godziłoby się, abym żartował w sprawie tak poważnej. Wszak tu idzie o przyszłość tych dwojga kochanych dzieci... Chciej pani zważyć: wakacye wkrótce się skończą, on pojedzie do miasta, zdawać egzamin w [illegible] przyrodzie, pojedzie na uniwersytet daleki. Rozłączą się wyznawszy sobie miłość, w chwili gdy serca najsilniej im będą uderzać, przez lat kilka może się nie obaczą, tęsknić będą i marzyć o sobie, tęsknota spotęguje ich przywiązanie, a gdy wróci...

— Wtedy mu powie stryj opiekun i matka Julci i cała rodzina ich obojga, że małżeństwa w pokrewieństwie są zawsze nieszczęśliwe, że Bóg ich nie błogosławi i że na ich połączenie nigdy nie zezwolą.

— Nie obawiaj się pani tego. Trudności te tylko zwiększą ich przywiązanie wzajemne, a rodzina da się w końcu ubłagać, widząc że inaczej być nie może.

— Wątpię.

— Nie wątp pani. Zawiążmy z sobą sojusz, zaczepny i odporny. Przy naszej pomocy trudności te zwalczyć się dadzą. Już ja to biorę na siebie, byleś mi pani dotrzymała przymierza.

Rozrzewnienie malowało się na jej twarzy. Podała mi rękę przyjaźnie:

— Dziwny pan ma dar przekonywania! Kocham ich oboje, pragnęłabym aby byli szczęśliwi i wierzę, że byliby z sobą szczęśliwi. A więc: zgoda!

Uścisnąłem oburącz jej rękę.

— Dobra pani jesteś i godna najwyższej czci!

— Ale co mi przecież wypadnie! Co powie moja bratowa gdy się dowie, że wiedziałam na co się zanosi i nie przeszkodziłam! Będzie mnie posądzać, że byłam powiernicą Julci...

— Toż i trzeba abyś pani nią była, to niezbędny warunek powodzenia naszych zamysłów! Ja natomiast będę powiernikiem Romka. Oboje podtrzymywać będziemy ten ogień święty w ich sercach. Będziemy później pośredniczyć w ich korespondencyi. Ale potrzeba już teraz zawczasu przygotować ich jakie trudności zwalczać im przyjdzie, to najskuteczniejszy środek aby tem silniej przywiązali się do siebie.

— Ach, nie przypuszczałam abyś pan był zdolny do takiego machiawelizmu! Ale zgoda, zgoda na wszystko: kto chce dążyć do celu musi godzić się na środki które do tego celu wiodą.

— A dzięki nam będzie szczęście tych dwojga dzieciaków!

Raz jeszcze podała mi rękę.

* * *

Niemało miałem nazajutrz z Romkiem kłopotu.

Miejscowość, w której spędzałem to lato, była nie dalej, jak dobre pół mili odległą od majętności matki panny Julci; był to mały folwark, trzymany w dzierżawie przez mego krewnego, który mając tam dom obszerny, zbyt obszerny na małą dzierżawkę, z serdeczną gościnnością odstąpił mi kilka pokojów na mój wyłączny użytek, zajęty jednak po całych dniach kłopotliwą gospodarką, więcej się o mnie nie troszczył.

— Nie mam czasu, aby cię bawić i gościć, baw się sam jak możesz.

Byłem mu za te słowa szczerze wdzięczny. Ranek spędzałem na pracy, popołudniowe godziny schodziły mi na przechadzce po cudownie pięknej okolicy a wieczorem co drugi dzień a czasem nawet dzień po dniu chodziłem lub jechałem w odwiedziny ~~[illegible]~~ w sąsiedztwo, gdzie mi kilka godzin upłynęło zawsze najmilej w towarzystwie panny Klementyny.

Jak te stare panny niesprawiedliwie obgadano, to dalibóg zgroza! Przekonałby się o tem, ktoby znał „ciocię Klimcię".

Po kolacyi, ~~[illegible]~~ która w trójnasób była obfitsza od skromnego obiadku, jakim mnie darzył mój krewniak dzierżawca, zasiadaliśmy zwykle do gawędki a ta przeciągała się bez końca i koło północy dopiero odsyłano mnie do domu. W pogodną noc księżycową wracałem zwykle pieszo.

Taka przepiękna noc sierpniowa była właśnie nazajutrz po owej pamiętnej ~~[illegible]~~ naradzie z ciocią Klimcią i zawarciu z nią zaczepno-odpornego przymierza.

— Wiesz co, Romka, — rzekłem przy pożegnaniu — noc taka śliczna, odprowadź mnie do domu!

Przystał na to z ochotą.

— Ale zanocujesz u mnie — dodałem.

Zawahał się. Spojrzał na ciotkę, wstydząc się prosić ją o pozwolenie jakby niedorostek — a niechciał postąpić wbrew jej woli.

Zrozumiałem te jego skrupuły.

— Pani mi nie weźmie za złe — rzekłem zwracając się do ciotki, — że ja dziś na noc Romka zabiorę do siebie?

— Cóżbym przeciw temu mieć mógł?

— Obrońcy pani nie potrzebuje, bo służby we dworze dosyć a niema obawy napadu tatarów...

Uśmiechnął się Romcio, zadowolony, że [illegible] wcale mego przyjaciela, ciotka mogłaby sprzeciwić się jego wydaleniu z domu, tylko dla tego wszakże, aby jej nie zabrakło obrońcy.

Uśmiechnęła się ciotka:

— Byle panu nie być ciężarem, bo pan tam nie u siebie, ale w gościnie.

— Rozporządzam połową domu u mego krewnego, więc będę miał gdzie przenocować pana Romana. A ciężarem mi nie będzie, tylko najmilszym gościem... A prócz tego... przyznam się otwarcie... zapraszając go do siebie, mam w tem, oprócz przyjemności jego odwiedzin, własny interes na względzie: chciałbym mu przeczytać zaczętą właśnie nowelkę i zasięgnąć jego rady....

Romek rósł jak na drożdżach.

— Bardzo to dla Romka zaszczytne — zauważyła ciocia.

— Zdarza się w powieściopisarstwie potrzeba skreślenia pewnych uczuć i sytuacyj, o których tylko młodzi trafny może wydać wyrok, czy skreślone prawdziwie. Na takim właśnie szkopule utknąłem w mej pracy i ani rusz dalej... bez pomocy pana Romana.

Twarzyczka panny Zofii promieniała radością i dumą. A ja mówiłem dalej:

— Ale boję się, że mi pan Roman nie wyśpi, bo długo w noc konferować nam przyjdzie. Dlatego właśnie, że w dzień nigdy niema dość czasu na taką konferencję, i niema potrzebnej ciszy i spokoju, zebrałem się na odwagę, aby zaprosić pana Romana do siebie na noc.

Pożegnaliśmy się i puścili w drogę.

A teraz przyznam się czytelnikowi w jakim celu urządziłem tę wycieczkę ponocną i ponocną konferencję. Oto chciałem Romka wziąć za konfesatę i rozprawić się z nim szeroko i gruntownie w sprawie jego sercowej. Dzień mi się nie wydawał na to porą sposobną, bo Romek w dzień słuchałby mnie z roztargnieniem, myślałby tylko o tem, aby jak najprędzej mi się urwać i powrócić do swej Giulietty a każdą chwilę, którą bym mu zabrał, uważałby za skradzioną mu

niepowrotną chwilę szczęścia. Nawet te godziny, w których Julia pod
kierunkiem swej opiekunki uczyła się gospodarstwa domowego, lub
zajętą była uczeniem młodnego swego rodzeństwa, nie nadawały
mi się do konferencyi z Romkiem. Potrzeba mi było nocy,
nocy koniecznie. Potrzeba mi było tego nastroju jakim noc
darzy osoby nerwowe, wrażliwe a szczególnie młodzieńcze
umysły, usposabiając je do zwierzeń, do wynurzeń serdecznych
i podatniejszemi czyniąc wpływowi cudzemu i suggestyi.
wspomnienia z matką przyrodą, z cichą nocy królową, suggestyonować działanie Romka.
Statystyka jest dopiero w kolebce. Od niedawna dopiero
zaczęła zbierać daty, które nieodpartą logiką liczb dowodzą, do
jakiego stopnia pory roku, pory dnia i nocy, upał i zimno,
powietrze suche lub wilgotne, dzień słoneczny lub mglisty,
wietrzny lub cichy, większe lub mniejsze ciśnienie atmosferyczne,
fazy księżyca i td. wpływają na nastrój organizmu naszego,
oddziaływują na mózg nasz i nerwy, budzą te lub inne
skłonności i żądze, zabarwiają nasze uczucia, potrącają wolę,
myślom nadają kierunek, – słowem usposabiają do takich lub innych
odmiennych postanowień i czynów... Wszyscy niewolnikami
jesteśmy tych wpływów, z tą różnicą, że ~~ludzi~~ nieliczni z pomiędzy
nas świadomi są własnej niewoli i tą świadomością zbrojni
wyzwalają się w pewnej mierze od jej ~~[illegible]~~ despotycznych
rządów, a ~~[illegible]~~ olbrzymia większość nieświadomie jej ulega
~~[illegible]~~ w dziecinnem urojeniu, że własną, niezawisłą, niekrępowaną
niczem, przez nikogo nie natchnioną kieruje się wolą. Bańki
mydlane, ulatujące za powiewem wietrzyka, chełpiące się opalową
grą kolorów, której nie one dobywają z siebie, lecz która jest
promieni słonecznych igraszką. Natura, jak swywolna dziecina
wydmuchuje je w powietrze, ~~[illegible]~~ większe, to mniejsze. Ulatują
w górę i pękają po chwili, rozbijając się o pierwszy lepszy przedmiot... i
śladu nawet nie zostawią po sobie...
Ale to nie należy do rzeczy.

„Dwadzieścia lat go nie widziałem, poczciwego pana Jacka"

(Prolog do noweli)

(1)

Dwadzieścia lat go niewidziałem, poczciwego pana Jacka. Ale zaledwie we drzwiach stanął, poznałem od razu. Nie trudno było: nie ubyło mu wzrostu ani barczystej postawy, ta sama twarz duża o rumianej, plamistej cerze, którąśmy wszyscy „moraczowatą" zwali, to samo szerokie i pofałdowane czoło, tylko że teraz zamiast rudych włosów okolone rzadkiemi kępkami siwizny; – w dużych siwych oczach ten sam wyraz poczciwej szczeroty. Poznałem wszystkie te znajome mi szczegóły jego oblicza a gdy dawny jowialny uśmiech usta mu rozchylił, poznałem nawet te długie zęby, które mu między kolegami zjednały przydomek „Strzygi."

— Poznajesz? – zahuczał głębokim swoim basem.

— Strzyga! – I zerwałem się z krzesła, rzucając mu się w objęcia.

Wyściskał mnie i wycałował, wycałował i wyściskał iście po [illegible]. A potem chwytając moje ręce szerokiemi dłońmi odsunął nieco od siebie i obracając mnie twarzą ku oknu, przypatrywał się pilnie, szukając snadź śladów spustoszeń jakie dwadzieścia lat zostawiły na mej twarzy.

— Postarzałeś bratku! – zakonkludował wreszcie, smutnie kiwając głową.

— Zkądżeś się ty wziął? co tu robisz? – zapytałem. Przez lat dwadzieścia gospodarząc na swej wioszczynie, wyjeżdżał zaledwie do powiatowego miasteczka.

Ale Jacek miasto odpowiedzi, przypatrywał mi się ciągle, rozpromieniały mu rysy i westchnął:

— Ha, ha!...

— No, dobrze już, dobrze. Wiem o tem, wiem, postarzałem, postarzałem bardzo. Ale niemówmy o tem. Powiedz mi, poco ty przyjechałeś?

Otrząsł się z smutnych myśli i zahuczał wesoło:

— Po cóżby? po pieniądze!... Pocóżby szlachcic do miasta przyjeżdżał, jak nie po pieniądze?

— Czy tak? Aa, to ci winszuję. Cóż to, sukcesya na Cię jaka spadła, czy co?

— Chachacha! chachacha! cóż znowu! czy z księżyca spadłeś, czy nie wiesz, że jeśli szlachcic przyjeżdża do miasta po pieniądze, to znaczy, że albo majątek sprzedać chce, albo się zadłużyć....

— To źle.

— Źle? Gorzej jeśli ~~przyjeżdża~~ nie po pieniądze, ale z pieniędzmi przyjeżdża, bo to znaczy, że je chce w mieście zostawić... i wtedy wraca goły do domu.

— A cóż ty? sprzedajesz, czy szukasz pożyczki?

— Wólki nie sprzedam, jako żywo! nie na to harowałem ćwierć wieku aby ją sprzedać. Przyjechałem po pieniądze, szukam pożyczki, aby się zadłużyć... po uszy.

— Ty?... A słyszałem że tak pilnie gospodarzysz! Źle ci poszło? jesteś w interesach?

— Jestem, jestem; i to w wielkich: wieś kupuję!

— Aaa, to pięknie... ale jeśli kupujesz bez pieniędzy i masz się zadłużyć po uszy, tobym ci nie radził.

— Cóż robić? muszę! Dwóch prusaków mamy już w sąsiedztwie, nie chcę, aby przybył trzeci. Nie bój się, nie stracę ja na tem: część odsprzedam, część rozparceluję między chłopów, odbiorę swoje a jeszcze mi kilkadziesiąt morgów zostanie w ręku. Idzie tylko o to, abym korzystnie zaciągnął pożyczkę i z odsprzedażą śpieszyć się nie musiał.

— Aaa, tak, to dobrze. Jakże się ta wieś nazywa?

— Czuchowice... Adolfa Munickiego.

— Munickiego?.. ach, wiem! tego....

Jacek nie dał mi dokończyć. Brwi zmarszczył gniewnie:

— No? którego? Tego co brata zamordował, chcesz powiedzieć? To nieprawda!

— A jednak głos publiczny jego obwiniał... A ta jego rozpacz po tym wypadku?... to było coś więcej niż żal po śmierci brata... Ci dwaj chłopi ~~podejrzani~~ na których padło podejrzenie...

— Trzech chłopów widziano razem, ale dwóch tylko poznano i pociągnięto do odpowiedzialności... Pół roku siedzieli w śledztwie a towarzysza nie chcieli wydać. Bali się aby ich nie zdradził...

— Ale sąd ich uwolnił od zarzutu, bo niebyło żadnej poszlaki, któraby tłómaczyła pobudkę tego morderstwa. Nie zamordowali go dla rabunku, bo znaleziono przy nim pieniądze i zegarek. Byli z obcej wsi, nie mieli z nim żadnych stosunków... Kłótni ani sprzeczki...

— ...przypuszczać nie można, bo Jan Municki był człowiekiem zacnego łagodnego charakteru i dotego Astronom... prawda! prawda! A ona Leśniczówna, która zeznała pod przysięgą, że Adolf cały ów ranek z nią spędził, mogła być przekupiona, co?... A nawet i przekupywać jej nie trzeba było, bo miała jak się zdaje romans z Adolfem, więc chciała go ocalić? Wszakże kucharka leśniczego zaprzeczała temu stanowczo, aby panicz tego ranka był na leśniczówce... ciągle prawie była z panienką a panicza nie widziała...

— Mówisz przeciw sobie. Wszakże to wszystko rzuca tem większe podejrzenie na Munickiego!

— Tak! i nie dość na tem. Największe podejrzenie rzuca to jeszcze, że obaj bracia kochali się w jednej pannie, że ta panna sprzyjała Janowi a Adolf widział w nim szczęśliwego rywala, że się spierali w każdym przedmiocie o niem tylko mówić z sobą zaczęli, że się nienawidzili wzajemnie i dzień przed mordem przyszło między niemi do gwałtownego starcia...

— Tem bardziej! Tem bardziej!

— Tem bardziej? A jednak ja ci powiem, że jakem szlachcic, wszystkie te poszlaki są mylne. Mam na to dowód najlepszy, bo... znam mordercę.

— Znasz go? czemuż go nie wydasz?

— Ba! To inna sprawa: on się nigdy nie przyzna.

— Ale jeśli masz dowody...

— Mam i niemam, bo niemam takich, któreby sądowi wystarczały.

Zacząłem się śmiać:

— Ha, jeśli temi dowodami sądu przekonać nie zdołasz, mój Jacku, to i mnie nie przekonasz. Twoje dowody, to tylko przypuszczenia i podejrzenia.... Cóż to masz za dowody?

Jacek zaklął:

— Kroć set! to długa historya. To się nie da opowiedzieć krótko i węzłowato. To cała powieść. Musiałbym całą noc opowiadać abyś tak rzecz widział, jak ja ją widzę i rozumiem. Morderca się nie

przyzn
prawo
wie
gdy

kup
he
ty

zas

przyznał i nie przyzna się nigdy. To prawda. Sądu nie przekonam. I to prawda... Zresztą, gdybym mógł nawet sąd przekonać, może bym nie chciał gubić mordercy... nie wiem, może bym nie chciał. Ale gdybym miał czas opowiedzieć ci....

— Na długo tu przybyłeś?

— Jutro rano jadę.

— Wiesz co? przenocuj u mnie. Poślę stróża po twój kuferek do hotelu, każę postawić samowar i będziemy pić herbatę ... grog, jeśli chcesz, jak za czasów akademickich. A ty ~~będziesz~~ opowiadał...

— Całą noc? No, niech i tak będzie.

Posłano po kuferek, przyniesiono ~~herbatę~~ samowar, zasiedliśmy do herbaty, zapalili cygara a Jacek zaczął opowiadać.

„Dziwna była cisza w małym dworku wiejskim"

1.

Dziwna była cisza w małym dworku wiejskim. Śnieg upadł, mróz ścisnął, wyiskrzyły się gwiazdy na niebie. Ogołocone z liści konary starych lip ani się ruszą od podmuchu wietrzyka. Tam od pola z prawej, gdzie krzyżują się drogi, tam z lewej strony ode wsi żadne nie dolatują odgłosy. Cisza na niebie i ziemi. Czasem tylko zamigocą drobne światełka w oddali, z okienek chat wieśniaczych. I gaśnie jedno po drugiem.

A okna dworku wszystkie błyszczą od świateł. Czy goście w domu, zjazd sąsiedzki, zabawa? Nie, gości tam niema. Ani odgłosów muzyki, ani brzęku kielichów, ani rozmowy gwarnej, tem mniej gwaru i śmiechów nie słychać. Cisza jakaś święta, uroczysta, jak w świątyni. Późno już a światła nie gasną. Nawet w izbie dziecinnej dotąd ich nie zgaszono. Dzieci idą zwykle spać tak wcześnie a dziś choć północ już blisko, naprożno piastunka stara się je ~~skłonić~~ nakłonić aby się udały do snu. Naprożno grozi gniewem ojca. Zwykle tak grzeczne i posłuszne, uparły się dzisiaj i chcą czekać..... Czekać? na co?... Radością błyszczące ich ~~niewinne~~ oczęta, świadczą że chcą czekać na jakieś obiecane szczęście, na jakieś ~~wielką~~ wesołą nowinę. Czasem przybiegają do drzwi i zapierając dech w sobie – nadsłuchują. Cicho – nic nie słychać, ~~od~~. Od ~~pokoju~~ sypialni matczynej dzieli ich jeszcze jeden pokój – a to stamtąd, ztamtąd oczekują one radosnej wieści. Nie słychać nic. Czasem tylko zda im się jakby je dolatywał urwany jakiś jęk boleśniejszy. Ale to im się może tak wydaje. Powiedziano im że matka chora – ale że niema niebezpieczeństwa. Ale im powiedziano jeszcze coś więcej – więc chcą czekać. Któżby nie czekał na Szczęście? Choćby mu się oczy do snu kleiły, przemoże sen. Choćby sen wieczny opadał na zmrużone starca powieki – wstrzyma nad umierającym śmierć kościaną rękę jeśli on czeka na Szczęście.

Dzień Wilji dziś. Ale nie na gwiazdkę czekają dzieci, nie na drzewko z zapalonemi stoczkami, strojne w papierowe świecidełka i obwieszone upominkami od rodziców i babki. Drzewko stoi w kącie ich pokoju, nacieszyły się już niem dzieci, nabawiły do syta cackami któremi ~~je~~ dziś obdarzono, pogasiły stoczki. One czekają na obiecany im droższy stokroć podarunek ~~gwiazdka~~ — bo jak im powiedziała piastunka, Bozia obiecał mamie, że im da siostrzyczkę lub braciszka. Może już tej nocy. Pewnie tej nocy. Spać nie idą; czekają, niecierpliwe, ciekawe. I zdaje im się że lada chwila ~~drzwi~~ się otworzą z matczynej sypialni i usłyszą drobniutkie kroczki biegnącego maleństwa i ukaże się w ich pokoju prześliczny chłopaczek w czerwonej kurteczce lub dziewczynka ze złotemi nad czołem warkoczykami, splecionemi niebieską wstążeczką.

— Siostrzyczka przyjdzie! - mówi Staś.

— Nie! braciszek! - mówi Anielka.

I słychać w samej rzeczy kroki czyjeś. Ale to kroki ojca. Wszedł z twarzą smutną, wyrażającą niepokój i troskę. Przechodząc przez pokój, rzucił wzrok przelotny na dzieci z rzewnym jakimś wyrazem i coś jakby łza duża zaświeciło w męskiej źrenicy.

Przeminął kilka pokoi ~~i~~ wszedł do izby czeladnej. Tam na ognisku jasnem światłem bujają płomienie z płonących polan czwierczyny a wzdłuż drugiego stołu rozsiadła się czeladź zgromadzona ~~[illegible]~~ i po spożytej wilji gawędzi. Nie gwarno tam, nie ~~[illegible]~~ główna toczy się rozmowa jak co roku po tej bratniej uczcie. Zaniepokojeni i stroskani troską pana domu, z którym łączy ich serdeczny węzeł przywiązania i wdzięczności, oczekują radosnej wieści, trwożą się że tak długo daje czekać na siebie. I mówią o tej, która im dotąd była prawdziwą opiekunką i matką, im i całej wsi. Była pocieszycielką strapionych, ratunkiem nieszczęśliwych, lekarką chorych, doradczynią i orędowniczką w każdej niedoli. Im i całej wsi. Któżby jej nie kochał, nie czcił, nie wielbił. Więc mówią o niej z miłością i czekają i trwożą się oczekiwaniem długiem. A czuwać będą jak co roku w tym dniu

do północy, aż głos dzwonów wiejskiego kościółka obwieści im na mszy pasterkowej radosną nowinę.

Co roku w tym dniu zanim państwo zasiedli w rodzinnym kole do wilji, do czeladnej schodzili izby, aby z tymi przełamać się opłatkiem, z którymi przez rok cały dzielili się chlebem. Szczere były wzajemne życzenia i szczerość jaśniała z oczu i piękna była ta chwila.

Henryczek

Nowella.

(nieskończona)

Henryczek.
Nowella.

(1.)

Scena w hotelu słyszana przez drzwi i widziana przez dziurkę od klucza.

. . . .

— Niemożebyć! — zawrzasła młodzież chórem. Było w tym chórze wnajmniej kilkanaście głosów.
— To niepodobna! — dodał p. Wacław
— Ktożby temu uwierzył! — zawtórował mu ironicznie p. Józef
— Za co ty nas masz! — oburzył się p. Adam
— Facecje! — zapiszczał p. Wenanty
— Hipokryto! — zakonkludował basem p. Jan.

A on? —

Ów „on" — bohater naszego opowiadania do którego zwrócone były te wszystkie apostrofy, te wszystkie wykrzykniki niedowierzania i zdziwienia — on milczał.

— Czy ty prawdę mówisz Henryczku? zapytał go jeszcze jeden głos

— Świętą prawdę! — odrzekł zapytany szczerze, ale bez owej sztucznej emfazy, któraby dozwalała powątpiewać o szczerości jego wyznania.

— Żartujesz chyba!

— Facecje! facecje! — ~~[illegible]~~ odezwał się znowu piskliwym głosem p. Wenanty.

— Duby smalone! — huknął p. Jan

— Danialuku! — dorzucił z indygnacyą p. Adam siedzący tuż koło drzwi które przedzielały mnie od tego towarzystwa.

— Bajka z tysiąca i jednej nocy!

— Jakto? — nigdy jeszcze?

— Ani razu?

Niedosłyszałem wśród gwaru odpowiedzi Henryczka na te interpelacje. Spojrzałem przez dziurkę od klucza. Stał przy stole ~~[illegible]~~ wpośród areopagu swych ~~przyjaciół~~ ~~których~~ (jednej ciągnął) niedbale rozsiedli się dokoła na stołkach i fotelach, ~~[illegible]~~ na kanapie i na stoliku. ~~[illegible]~~ Szlachetnym wyrazem twarzy niewyglądał zgoła na winowajcę; ~~[illegible]~~ owszem. uśmiechał się żartobliwie i skubał wąsik zaledwie zasiewający się na młodzieńczej twarzy. A jednak oczy miał wciąż spuszczone jakby się wstydził swego wyznania a lekki rumieniec oblał jego lica pełne ~~[illegible]~~ czerstwości i zdrowia — jak krew z mlekiem.

— Nigdy? zapytano go raz jeszcze

— Nigdy! — powtórzył Henryczek.

Kilkanaście, ~~[illegible]~~ różnych exklamacyj odezwało się naraz równocześnie po tej odpowiedzi (zlewając się) w jeden okrzyk zdziwienia jakby się stała jakaś nowina świata, najniezwyklejsza i do uwierzenia trudna. ~~[illegible]~~ Wśród gwaru dosłyszałem tylko uwagę rzuconą tuż pod mojemi drzwiami przez p. Adama do kogoś drugiego:

— A to osioł!...

Spodziewałem się dalszych wyjaśnień tej niepojętej dla mnie rozmowy i przylgnąłem pilnie uchem do drzwi. To co dotąd słyszał zaciekawiło ~~mnie~~

(2)

wierzchanie, – ale o co mu idzie – to ~~było~~ zagadka ~~[illegible]~~ którą napróżno usiłowałem rozwiązać.

– A ileż Ty masz lat Henryczku ? – zagadnął go p. Józef.

– Dziewiętnaście.

– Dziewiętnaście ! dziewiętnaście ! i zmore...

..... wrzeszczano do koła. Gwar uniemożliwił mi słyszeć reszty. Tylko znowu pod drzwiami memi odezwał się chrapliwy głos p. Adama:

– A to osioł !

Nagle wśród gwaru zapiszczał głos p. ~~Jan~~.. Wenantego: ~~[illegible]~~

– Ósmy cud świata ! – U... u... ósmy i dzie... dziewiąty naraz !.. naraz ! – wykrzykał Gucio

– Unikat ! unikat ! – huknął p. Jan.

– Biały kruk !..

– Józefie Egipski ! Westalko rodu męskiego ! wielbię Cię ~~[illegible]~~ ! – wołał Wacio

– Narodzi go pokarać ! – Obwozić go po świecie ! pokazywać za pieniądze !

I ruch się zrobił większy wśród zgromadzenia

– Na ręce go weźmy ! na ręce !

– Dajcież mi pokój ! protestował Henryczek. – Chachachachachachachachacha !

– Wiwat ! wiwat ! niech żyje !...

I takoż było drżyćeć się z ręką jakiś się wszczął w sąsiednim pokoju i ~~[illegible]~~ mimo oporu Henryczka podniesiono go na ramionach i obnoszono po pokoju ~~[illegible]~~ Wiwaty nieustające. Śmiech homeryczny.

– Ale dość już, dość tej niezasłużonej owacji !... prosił się Henryczek.

– Czy pan dzwonił ? – zapytał mnie w tej chwili kelner którego wejścia do mego pokoju niespostrzegłem, zajęty ~~[illegible]~~ odbywającą się w sąsiedztwie sceną.

~~[illegible]~~ Odskoczyłem ode drzwi jakby schwytany na gorącym uczynku.

– Nie – odrzekłem – nie dzwoniłem, ... ale chciałem właśnie zadzwonić aby ci powiedzieć że w tym pokoju jest ogromny.. Obacz sam jak tu wieje z pod tych drzwi... wskazałem na drzwi pod któremi mnie zastał. ~~[illegible]~~

Kelner ~~[illegible]~~ uśmiechnął się ~~[illegible]~~ zamrugał oczyma i wyszedł.

Przejrzał go jak się zdaje mój wybieg ~~dyplomatyczny~~ i niewymowny że ~~[illegible]~~ pod drzwiami sąsiedniego pokoju ~~[illegible]~~ zagrzebiony się w studiowaniu szczegółów. Przypuszczał niegodziwie ~~[illegible]~~ się podsłuchuję.

~~[illegible]~~

– Szampana !.. – Dziesięć butelek ! tylko prędko !.. ~~komenderował~~ zadzwoniwszy głos p. Wacława, gospodarza ~~[illegible]~~ sąsiedniej stancji. – Okrzyk ogólnej aprobacji, poczem nowy wybuch śmiechu i wesołości. Gwar i wrzawa niedoopisania.

~~[illegible]~~ –

(3.)

Po chwili usłyszałem strzelanie korków, dźwięk szkła. –

Zabębnił ~~ktoś~~ gwałtownie laską po stole i wrzasnął z całego gardła:

– Panowie!

~~Wszyscy~~ Wrzawa nie ustawała.

– Panowie! – huknął swoim basem p. Jan – Wacio ma głos!

– Dobrze! Wacio niech mówi!

Ucichło się trochę. Wacio zaczął mówić...

Przycisnąłem ~~prawe~~ lewe ucho do drzwi aby lepiej usłyszeć. Na prawe mało co słyszę od czasu pamiętnego polowania, w którym mi pewien humorysta literacik cały nabój wypalił nad ~~głową~~.

Tu urzeczywistnia majora kamelińskiej

Usłyszałem jednak tym razem najniespodziewaniej jakieś wyrazy ~~wyrzucone~~ do mnie z prawej strony.

Odwróciłem się, – przede mną stał znowu kelner z tym samym co wprzódy uśmiechem.

– Czego chcesz? – zapytałem obrażony jak gdyby mi jaką impertynencję wyrzekł.

– Jeśli Pan z tego numeru niezadowolony...

– Idź do djabła! nie nudź mnie!

– Bo tu ciągnie z pod tych drzwi... o! ja sam widzę że ciągnie...

– Wszędzie u was ciągnie! – odburknąłem nadrabiając miną. – Drzwi i okna nie zaopatrzone! Wszystko – nieponadto ich wykonanie jakiej! A jaka ~~[illegible]~~ niegodziwa usługa!

~~– Bardzo drogo!... zarobek~~

| Bardzo porządny!

– Jest próżny numer 26. na górnem piętrze. Jabym wielmożnego Pana przeprowadził...

– Dobrze już, dobrze – potem o tem.

– Kiedy mogę przenieść rzeczy?

– Kiedy potem gotów kto zająć ten numer jak pociąg przyjdzie...

– Dobrze już, dobrze.

~~[illegible]~~

– Kiedy chcesz – za pół godziny – jak wyjdę do miasta. Tylko mnie nie nudź!

Odszedł nareszcie. Pozbywszy się go zamknąłem drzwi na klucz...

W sąsiedztwie gwar ~~niezgodny~~ ucichł a miejsce jego zajęła parlamentarna dyskusja.

Nie słyszałem jej początku spierając się z kelnerem. Poznałem tylko ~~jego~~ wymowy znajomy mi dobrze głos ~~Wacia~~ pana Rogiera.

–... a więc (kończył właśnie przemowę:) jeśli to prześwietne zgromadzenie zgadza się na ten wniosek, to wybierzemy komisję redakcyjną... nota bene dyplom musi być podpisany przez nas wszystkich i wykaligrafowany na pergaminie....

– Na oślej skórze – poprawił p. Adam półgłosem pod memi drzwiami...

– Dyplom!.. zgoda! zgoda!

– Jeszcze czego! ~~[illegible]~~

– Komisję wybierać! ja proponuję uczestników, Wacia, Gucia i....

– Ale ~~[illegible]~~ przekonajmy się wprzódy czy fakt jest prawdziwy... ja powątpiewam... – pisnął p. Wenanty

~~Zabrzmiał~~ bas:

– Ba! jakże się o tem przekonać!..

(4.)

wtrącił p. Józef ze szczególniejszym akcentem niedowiarstwa.

I znowu zahuczało jak w ulu.

— Panowie! panowie! — zagrzmiał (potężnym basem) swoim pan Jan — jak olbrzymi bąk wśród roju pszczółek — przerwa dało w onymże sejmie. Prezesa obrać!

— Jaś! Jaś niech przewodniczy! Jaś prezesem! — wrzasła młodzież chórem.

— A więc cisza! Gucio ma głos?

~~Ja … wnoszę … noszę … mówił jąkając się~~

~~Pokazać wszem aby wobec tak niezwykłego faktu … aktu … przedewszystkiem zastanowić … stanowić się nad jego … .~~

— Baby? Ogiera?… stanowić?… mruknął pod drzwiami drzemiący od śniadania p. Adam.

— Czy zgoda na to? — huknął prezes.

— Zgoda! zgoda!

— A więc otwieram nad tym przedmiotem dyskussyę! Kto żąda głosu?

— Ja proszę o głos … głos … nad tym przedmiotem … miotem … otem …

— Co tu się długo zastanawiać, — przerwał ktoś — to jasne jak na dłoni!..

— Że sziwoł i kwita! — mruknął pod drzwiami p. Adam do pana Józefa.

— Różnie ludzi natura uposaża … czego komu nie dała …

— Niemasz głosu! — przerwał p. Jan: Gucio ma głos!

— Przede wszystkiem Henryś … ryś nie jest niedołęgą! to … to nie usłyszy … mek … mek! …

— Mamusia wychowała … w domu trzymała … do garderoby chodzić nie dała … panien nie pokazała … — wydział p. Józef.

— I tak chłopca zamarynowała — dorzucił jakiś nieznany poeta. — Grzech by całe będzie chwała! …

Śmiech ogólny.

— Brawo! brawo poeto!

— Poeta niema głosu! — zgromił go p. Jan. — Gucio ma głos!

— Otóż pa … panowie … fakt ten okazuje … kazuje … że jeden dożywa … ewa … w dwudziestym roku … oku … życia, a drugi … ugi w dziewiętnastym jeszcze jest (niemo …) niemowlęciem … leciem …

— Jakto w dwudziestym? Któż w dwudziestym był mężczyzną? — zapytał p. Józef.

— Ot napry … przykład … ja … ja … pie … pierwszy!

— Trzebaby … baby … się ~~zastanowić~~ … ~~stanowić~~ nad wnioskiem Rogera … ogiera … ~~ja ja~~ … zastanowić … stanowić … … a … ale ja … ja … ja …

~~— Ja … ja (mówił jąkając się Gucio) jestem przeciwny wnioskowi … skowi … wnioskowi Rogera … ogiera … …~~

— … ja … ja wnoszę … noszę … aby wobec tak cu … cudownego faktu … aktu się zastanowić … stanowić nad jego po … powodem … (przedewszystkiem)

— Proszę o odebranie głosu Guciowi - bo blaguje!... odezwał się p. Roger

— Fanfaronada! - zakonkludował p. Józef

— Ot, lepiej zapytajmy samego winowajcę jak się to stało ...

— Jeśli się stało ... domniił niedowiarek pan Józef.

— On nam pewnie odpowie (:zapiszczał pan Wenanty:) ~~[illegible]~~ „zasady! pryncypia!..."

— W samej rzeczy tak odpowiem! - odezwał się wreszcie Henryś, który przez cały czas tej dyskussji zniecierpliwił się i ramionami wzruszał. — Cóż myślicie że nie co innego!.. ~~[illegible]~~ Sposobności nikomu nie braknie - i gdybym był chciał ...

— Ale dlaczegoś nie chciał?

— W tem sztuka Henrysiu; wytłumacz!

— Nie trzeba na to sztuki! - odciął się Henryś, - wystarcza mieć trochę estetycznego uczucia! Są takie drzwi co widząc każdej na drodze - nie zdolne są wstrzymać się aby tam nie wleźć. Ja tego nigdy nie lubiłem i teraz nie lubię ...

— Oho! oho! jaki pyszny!

— Czyż to Henrysiu same tylko takie po drogach?.. odparł ~~[illegible]~~ p. Rogier.. Są przejrzyste jak kryształ ~~[illegible]~~! ~~[illegible]~~ krynice .... czyste ...

— A taką przejrzystą krynicę jak można czy godzi się zmącić? - zapytał Henryś z oburzeniem.

— Hahaha! jak on to bierze na serjo!

— Niewiniątko! - wtrącił z indygnacją p. Adam

— Gołąbeczek! - huknął p. Jan który zapomniał już całkiem o swojej przezorności godności.

— Śmiejcie się jak się wam podoba; ale ja z tych rzeczy żartować nie umiem i biorę je na serjo. Powiedzcie mi: jak się który z was ożeni ... (:tu zarumienił się jak panienka:) ... czy będzie miał prawo wymagać od swojej żony aby mu przyniosła niedotkniętą całym wnętrzem ~~nietkniętą wianuszek~~, jeśli sam .....

Śmiech szalony całego zgromadzenia nie dał dokończyć Henrysiowi ...

— Toś ty chyba zakochany! - ~~[illegible]~~ ~~pan Jan~~ zakonkludował ~~[illegible]~~ basem p. Jan.

— Ale oczywiście nie co innego, tylko to! Zakochany! - ~~[illegible]~~ potwierdził piskliwym swoim głosem pan Wenanty który dotąd nie odezwał się ani razu w ciągu tej dyskussji. ~~[illegible]~~.

— Chyba że tak!

— Jak kot! Patrzcie jak się rumieni! - zauważył p. Józef, ~~[illegible]~~ którego tym razem opuściło niedowiarstwo na widok rakowatej twarzy młodzieniaszka.

— Ale w kim? w kim? powiedz! przyznaj się!
...— opadnięto go naraz ze wszystkich stron.
— Kto ta szczęśliwa?
— Kto ta czarodziejka?
— Juści nie kto inny — zapiszczał świadomy widocznie rzeczy p. Wenanty — tylko panna Teresa!..
— Panna Teresa!
~~Tereska!~~
— Aha, panna Teresia!
— Czarnobrewka w oczko wpadła!
— Dobry ma gust!
— Iskierka!
— Żywe srebro!
— Oczy jak węgle rozpalone!
— A jakie [ki...] usteczka .. aj!

Henryś zaczerwienił się jak jabłuszko...
— Ale nie i nie!.. mylicie się!... ani mi ~~przez~~ głowy nie przeszło!
Dwukrotna salwa śmiechu.
— Czemu się wypierasz?
— Nie wstydź się...
— Nie miałbym się czego wstydzić. Zresztą tylko najmocniej — bo nie prawda..
— Daj słowo!
— Daję wam słowo, [najświętsze] żem w pannie Teresie nie zakochany!...
~~Te~~ wyrazy „w pannie Teresie" wymówił z szczególnym naciskiem.
— A więc w kim innym!... zagadnął go zaraz p. Józef.
~~Henryś~~.
Nowe rumieńce zakwitły na twarzy zapytanego.
— Mój drogi! — zapiszczał Wenanty — żeś był wnet zakochany, to jak dwa a dwa cztery!.. Widziałem, że was przecież wszystkich razem i wiem jak z sobą jesteście!...
— Jak brat z siostrą! — odrzekł Henryk. — Znamy się od ~~dziecin~~ lat dziecięcych, wychowaliśmy się razem — bo jej matka mieszkała u nas na wsi po śmierci męża a gdyśmy się do miasta przenieśli — to znowu ~~razem mieszkaliśmy~~ mieszkaliśmy w jednym domu... Ale ani ~~mi~~ się śniło ~~się~~ zakochać się w niej?! Ja brunetek nie lubię... Piękne dziewczę i dobre... ale...
— Ale co?
— Ale nie w moim guście...
— Kozak dziewczyna ... to prawda! zauważył p. Jan — ~~postać~~, swawolnica!... ale djabelnie mądra! — Oczy, które stopiłyby swemi oczyma
— Palny materjał jak beczułka dynamitu
~~— Wulkan! dynamitu~~
— Nitrogliceryna! — zapiszczał p. Wenanty
— Kochać się możnaby na zabój..!
— Ale żenić się nie... ja takiej żony bym

— Ma chat! niedość dla ciebie idealna, eteryczna, rozanielona, wniebowzięta?
— Może.

— A jak się to djable kiedy zakocha ~~to~~ będzie pożar!
— Nie trzeba będzie na to długo czekać.

— Pst! cicho!... może ona tu obok...
— przestrzegł ~~[illegible]~~ ostrożniejszy od innych pan Jan.
— Jakto, czy przyjechały?... zapytał p. Adam
— (Tu mieszkają w tym hotelu...
Wczoraj ~~przyjechały~~

niechciał! – dodał p. Wacław

— Niebezpiecznie trochę! – pokręcił głową ~~p. Józef~~ z niedowierzaniem p. Józef.

— Ou wa! zaleciałoby od tego pokrzepienia dostała... – mruknął p. Adam.

— Już jabym tam nie probował – djabeł nie śpi! – rzekł p. Roger

— A... ani... ja! – oświadczył Gucio.

W tej chwili wniesiony kosz z szampanem, ~~[illegible]~~ powitał cały parlament radosnym okrzykiem. Korki zaczęły strzelać, kieliszki dzwonić, gwar się wzmagał... i próżno wsłuchiwałbym się bez związku wyrazów i okrzyków nie już prawie twórczej niemożliwa

— A cóż będzie z dyplomem dla Henrysia? – ~~[illegible]~~ zawołał jeszcze raz p. Roger, jak mógł najgłośniej, pełnemi ustami. ~~[illegible]~~

— Szampan to dyplom! Wiwat! ~~[illegible]~~ Zdrowie Henryka! – huknął p. Jan, jak z puzonu.

— Niech żyje! ~~[illegible]~~

— Niech żyje, a... ale niech i... i...

~~Dalej~~ nic już nie słyszałem. Napisałem list do mojej żony, dyspozycję dla ekonoma na cały tydzień i ~~[illegible]~~ wyszedłem do miasta. [Wychodząc ~~[illegible]~~ spotkałem (kelnera niosącego znowu z nagantu) kosz szampana.

— To drugi transport? zapytałem

— Już trzeci...

— Dzielna młodzież! – mruknąłem z ironją.

Kto wie, gdybym był z nimi razem, możebym pił jak i oni – a bez ironji.

O ironjo!

Załatwiłem w mieście kilka interesów, porobiłem ~~przypiatki~~ mi przez żonę na osobnej karteczce sprawunki i wracając do hotelu wstąpiłem po drodze do cukierni na ~~[illegible]~~ podwieczorek. –

Spotkałem tam starego znajomego – przyjaciela ze szkolnej ławki, adwokata xx.

Gadu-gadu o tem i o owem, _de omnibus rebus et quibusdam aliis_ – i sporo nam na gawędce ubiegło czasu.

Mój mecenas spojrzał wreszcie na zegarek:

— Aj! gwałtu!... bywaj zdrów!

— Dokąd ci tak spiesznoście?

— Obiecałem się ~~[illegible]~~ o 5 tej (u pani Michaliny xxx a to już wpół do 6 tej!

— Czy prowadzisz jej interesa?

— Tak... a

— Córki jeszcze nie wydałeś za mąż?

— Stasi? To przecież jeszcze dziecko!

— Siedemnaście lat będzie już miała... Nie stara się nikt o nią?

— I nikt nie będzie się starać!

— A to czemu? przecież to nie dziewczyna... ach jakaż piękna! jaka piękna!

— No, no... nasłuchaj się o tych wykrzyknikach twojej żonie... bądź zdrów!...

— Czekaj że... czemu powiedziałeś że ~~powiedziałeś~~ nikt się o nią starać nie będzie?

— A toś ciekawy! Prosta rzecz: dlatego że wiem za kogo pójdzie.

— Za kogo?

— Ale (to sekret! pamiętaj że)

— Nie zdradzę.

— Za Henryczka * * *. Już mamy obie rodziny ten mariaż między sobą, a młodzi się kochają...

— Za Henryczka! — zawołałem — aha! to Henryczek w Stasi się kocha...

— Czy go znasz?

— Trochę... Jaki to człowiek?

— Perła... perła między młodzieżą... prawdziwy brylant między kamykami... Ale późno już, późno strasznie! (Bywaj [miewaj się] zdrów!

— Do widzenia.

On do pani Michaliny, ja poszedłem do hotelu.

Na ganku spotkałem kelnera.

— Gdzie pan idzie? — zapytał

— A to dobre! — zawołałem oburzony. — Jakto: gdzie! Do mojej stancji.

— Ale przecież ja pana już przeniosłem do numeru 26. od frontu.

— Dobrze! kto ci kazał?

— Ja panu mówiłem — a pan powiedział: dobrze!... To dobry numer, nie więcej z podwórza.

— Ależ ja tam mam rzeczy zamknięte w komodzie...

— A to niech pan je zbierze a ja przyjdę za chwilę je przenieść.

Składając moje papiery rozrzucone w szufladzie, skorzystałem z tego czasu aby się przysłuchać co się dzieje w sąsiedniej stancji.

Zajrzałem najpierw przez dziurkę od klucza.

Sąsiedni pokój wyglądał jak istne pobojowisko.

(9.)

Większa część młodzieży wymknęła się już cichaczem na niepewnych nogach z pokoju, pozostawiając tam tylko kilku najwaleczniejszych, którzy dotrzymali placu do końca i kilku mniej walecznych, którzy w boju polegli.

Między tymi ostatnimi był sam amfitrjon, Wacio. Leżał na wznak na łóżku, blady jak śmierć, powieki miał napół przymknięte. Niemożna go jednak było poczytać za umarłego, bo od czasu do czasu obracał szyję to w lewo to w prawo i na przemiany ściągał i wyciągał to lewą to prawą nogę, kopiąc przytem niemiłosiernie na tem samem łóżku ale w odwrotnym kierunku t.j. z nogami na poduszkach spoczywającego pana Wenantego... Za każdem takiem kopnięciem obaj odzywali się równocześnie: Wacio żałośnym jękiem wzywał pana Boga, a Wenanty jakby zbudzony ze snu jeszcze piskliwszym niż zwykle głosem:

— Dobrze.. ja wypiję... ja nigdy nie odmawiam..

W daleko opłakańszym a najmniej estetycznym stanie był poeta leżący na kanapie. Najkomiczniejszem było jednak to, iż mu się przytem zdawało iż umiera. Oddychał ciężko i z wzmożoną emfazą od chwili do chwili wygłaszał po jednym wierszu z Tukaja Mickiewiczowskiego:

— Ja umieram... ja nie płaczę... ...

— I wy dzieci ulżyć sobie....

Pan Jan usiadł obok niego na kanapie, rozpiął mu pod szyją krawatkę i kołnierz i dłoń położył najpierw, śledząc z niepokojem uderzeń jego serca. Rzęsiste strugi toczyły się łzy po jego twarzy a pan Jan basowym głosem zanosił się od płaczu...

— Wy nie słuchacie... a ja wam mówię że on umrze... pijani jesteście... i ja pijany... a on tymczasem umrze!....

I znowu w płacz porwało Janiszko.

Na środku stancji stało czterech niepokonanych: Chrypliwogłosy Adam bił się pięścią w piersi i zaklinał się na honor że niepomne już co..., jąkała Gucio pod wpływem wypitych kilku butelek szampana rozprawiał teraz płynnie i z elokwencją, wieczny niedowiarek Józef zaręczał

(10) wszystkim że go dużo podejdą, — wszyscy potężnie skuci...

A między nimi — o dziwy — niewinny Henryczek, nieprzyzwyczajony do podobnych wybryków, najlepiej jeszcze trzymał się na nogach. Gęsta blond czupryna rozczochrała się trochę i najeżyła jak koguci grzebień, pierś naprzód, głowa hardo do góry wzniesiona, przybrał rezonu w gestach i w słowach.

— Nie będę pić więcej! nie będę! jako starzec kocham, nie będę!

— Henryczku, jak honor kocham, umrzesz... przepraszam cię — ale umrzesz... i chwycił go p. Adam w objęcia.

— Nic nie umrę! wolny jestem... i wolność kocham nad życie! I sam pić nie będę i wam pić nie dam...

Pan Józef wzruszył ramionami:

— Ale poco to udawać! poco ta hipokryzja! tyleśmy wypili to i te dwie ostatnie nędzne buteleczyny wypijemy...

— Jakto nędzne? — obruszył się Gucio..

— Nie gniewaj się Guciu, Guciczku! — chrypiał p. Adam... on pijany, on nie wie co mówi... przepraszam cię za niego..

I pocałował go w ramię..

— Za mnie nie przepraszaj — wrzasnął p. Józef gniewnie — bo ja sam potrafię... nie jestem tyle pijany jak sądzisz i jak takiego pocieszyciela niechcący obrażę...

Ten porwał Gucia za rękę i pocałował gorąco nawet swój cadres.

— Zabij mnie ale się nie gniewaj!...

— Jeśli ty mnie wciąż całujesz, to ja ciebie w nogi... — wołał Gucio

I przyklękając pochwycił go za kolana.

— A jak ty mnie w nogi... wołał Józef.

Nie doczekałem dalszego certowania się czułych przyjaciół.

Pan Adam bił się w piersi i chrypiał:

— Mój Henryczku złoty — ty wszechmocny... bo ty się na mnie gniewasz... jak honor kocham, gniewasz się... za to, żem cię nazwał osłem!... Ja ci dam satysfakcję, dam satysfakcję... dziecię! ale nie rozejdziemy się dzisiaj tak! bo toby było okropne!..

— Ale Adasiu — któżby się tam gniewał za to coś po pijanemu...

— jak honor kocham! gdzieżbym ja po pijanemu tak cię nazwał!... In vino veritas!...

Pan Jan desperował nad umierającym poetą:

— Umrę! powiadam wam, umrę!

Nikt na to nie zważał, tylko p. Wenanty kopnięty przez Wacia zapewniał że „nigdy nie odmawia i wypije."

(11.) 32

— Pijany jesteś! — odparł Henryś — a już wziął całej przytomności gdybyś nie był pijanym — ~~[illegible]~~ toby z tobą źle było...

— Jestem pijany, prawda — i znowu bił się pan Adam w piersi w skrusze aż dudniało — jestem pijany, ale te dwie butelki jako honor kocham musimy...

— Nie, nie, nie, nie! raz już powiedziałem ci że nie, to nie...

— Miej rozum, Henrysiu!

— Właśnie że mam! I zaraz już widzicie: z ganku je porzucam!

I wziął w każdą rękę po butelce.

— Bój się Boga! — krzyknął Adam rozpaczliwie ... i zagrodził mu drogę ode drzwi.

— Puść go, puść! — ~~[illegible]~~ przywołał p. Józef .. dasz głowę że on tego nie zrobi... szczery!..

Adam trzymał Henryka za ręce, a tak się Gucio tymczasem podciągał nagle do okna wychodzącego na ganek stanęli przed drzwiami

— On umrze! — słuchaj... ratuj go ... bo mnie... serce pęka .. ja już nie mogę... — zawołał znowu p. Józef i pociągnął Adama ku choremu prawie, deklamując mu Tokaja: —

— Ja mam, ja mam przyjaciela!..

Korzystając z tej chwili Henryk w sieni z butelkami w rękach był już za drzwiami i kluczem obrócił w zamku:

— Tak! siedźcie tam dopóki ci nie wytrzeźwienie! — ~~[illegible]~~

~~W tejże chwili [illegible] Gucia [illegible] okno na ganek i zagrodził mu wyjście~~.

Co się dalej działo — nie wiem, bo w tej chwili ~~[illegible]~~ wszedł kelner do mego pokoju aby zabrać resztę moich rzeczy. — ~~[illegible]~~ Wyszedłem z nim razem aby mi wskazał nowe moje mieszkanie.

Przechodząc przez sień obaczyłem ~~[illegible]~~ Gucia zagradzającego Henrysiowi drzwi wiodące na ganek, Henryk widząc że tą drogą nie ucieknie (korytarzem) rzucił się w przeciwną stronę (w przedsię) i do jakichś drzwi dobijać się zaczął gwałtownie.

Tą samą drogą prowadził mnie kelner i otworzył mi pokój sąsiadujący właśnie z tym, do którego drzwi tak natarczywie dobijał się Henryś.

— To bardzo dobra stancja — rzekł układając rzeczy na komodzie. — Tu nie ma przeciągu... A może pan woli ten numer naprzeciwko? — pusty. — Kto tu mieszka w sąsiedztwie? — zapytałem.

— Tu, ten francuz co nagniotki wycina.

— A z tej strony? — zapytałem powtórnie, wskazując na pokój do którego dobijał się Henryś z dwoma butelkami szampana w ręku.

Kelner w odpowiedzi wymienił ~~mi~~ nieznajome mi nazwisko jakiejś pani.

Mam ważne powody dla których zamyślam je przed wami zataić najstaranniej!

(12.)

Dla waszej ciekawości wystarczy że po wyjściu kelnera zabrałem się bezzwłocznie do zaspokojenia mojej wrzawej i przysiadłem niko do drzwi dzielących mnie z nowem memu sąsiedztwem.

Szybciej było niecierpliwe stukanie Henryka. Wyrazów którymi prosił o wpuszczenie go niedosłyszałem.

— Ale ja niemogę! — odezwał się jakiś dźwięczny głosik kobiecy.

Następna replika jakaś ze strony Henryka i natarczywsze jeszcze pukanie.

— (Teraz) Mamy niema, — ja sama.

Nowy jakiś argument stojącego na korytarzu.

Wreszcie skrzypnięcie drzwi i Henryk wpadł do pokoju.

I bezzwłocznie potem głośny śmiech dziewczęcy — jakby ~~[illegible]~~ srebrnym dzwonkiem zadzwonił.

— Co się stało? — coś pan taki wystraszony?... z butelkami? chachacha!

~~[illegible]~~

I usłyszałem obrót dwukrotny klucza we drzwiach.

— Pst! cza! panno Tereso!... cicho!

— Co to znaczy? — nawpół zatrwożona zapytała dziewczę. — Czemuś pan drzwi zamknął panie Henryku?

— Cicho, cicho! ~~[illegible]~~ bo wypada tu zamknąć!...

— Kto taki?... Mnie to nie wypada ~~[illegible]~~ żebyśmy oboje tak ~~[illegible]~~ siedzieli zamknięci!...

— My? — cóż to szkodzi? — zapytał najnaiwniej wreszcie.

— A to wyborne!... cóżby ludzie pomyśleli! — śmiejąc się wesoło, zawołała dziewczyna.

— Ludzie?... tu niema nikogo...

— Mama by się gniewała!

— Eh, czemuby się miała gniewać!... Przecież ona wie że niema niebezpieczeństwa... Czy to (zresztą) pierwszy raz siedzimy tak...

~~[illegible]~~!

~~[illegible]~~.

~~[illegible] Tereniu? O co nie to nie~~

— No, to prawda... jakeśmy dziećmi byli... ale teraz!

— Kapryśna dzisiaj panna Terenia! Ni ci się przecie złego nie stanie, nie jestem w ... abym się postrzał!... Poco takie komedje między nami...

— Ale idź pan — idź! — (panie Henryku) prosiła Terenia. I zapytała: Powiedz mi pan przynajmniej co to wszystko znaczy? — poco pan tu wpadł z temi butelkami?...

— Pst, cicho... już idą!

— Kto taki?

(13.) 33

— Pssst!.. słyszy pani? już są na korytarzu!... cicho...

— Ale kto?..

— Niech mów że pani nie... bo się zaczną dobijać do drzwi... i nie otwieraj im bo się skompromitujesz!

— Ale kto? kto?... pytała coraz cichszym głosem Teresia...

W samej rzeczy dały się słyszeć za korytarzu wszystkie kroki i ponad wszystkiem głos Gucia:

— A to frant! gdzie on się schował?

— Znajdziemy go ho-ho! – zawołał Adam

W całym korytarzu było może osiem lub dziesięć stancji. Próbowali po kolei wejść do każdej: tam gdzie drzwi były na klucz zamknięte, ~~[illegible]~~ stawiwszy w progu i obaczywszy że Henryka tam niema, cofnęli się wprzódy ~~[illegible]~~ przeprosili ~~[illegible]~~ wodząc na wyścigi:

— O przepraszam – to nie tu!

— Pardon! – tu go niema!

Gdzie zaś stancja była zamknięta, pukali raz jakiś – i znów po otworzeniu przepraszali.. Tak się stało i u Francuza ~~[illegible]~~ wycinacza nagniotków i u mnie.

Dłużej dobijali się do niezamieszkałego i ~~[illegible]~~ zupełnie pustej stancji

„Kamila"

początek powieści

Odciągnął zasuwkę, uchylił drzwi ostrożnie i wyglądnął. W sieni nie było nikogo. Drzwi tylko jego sąsiada, naprzeciwko, przy schodach, niedomknięte, stały jak zwykle.

— Możesz iść — szepnął z uśmiechem, obracając głowę po za siebie: — niema nikogo.

Zaszeleściła za nim suknia kobieca.

— A na schodach? — zapytała z cicha niewiasta, opierając rękę na jego ramieniu.

Wybiegł do sionki, przechylił się na poręczy schodów, powrócił do pokoju.

— Idź, idź śmiało, nikogo niema.

Spojrzał przez okno na wąski dziedziniec. Pusto. W głębi widna podsień bramy kamienicznej. Ani żywej duszy.

— Idź, idź moja droga, idź już.

I obejmując obiema dłońmi jej główkę aby ją w tył nieco przechylić, na jej rozpłomienionych od całusów usteczkach wycisnął ~~[illegible]~~ ostatni, namiętny pocałunek.

Gdy ust swoich uchylił jakby nasycony słodyczą, ona nieruchoma, z przechyloną w tył główką, czarowała go czarnemi lśniącemi oczyma, które zdawały się mówić: Nie dosyć jeszcze! Jeszcze! i jeszcze!

— Idź droga, idź! — nalegał bawiąc się z lubością ~~[illegible]~~ splotem jej czarnych wilgotnych włosów.

— Czemuż tak ci dziś spieszno, abym poszła? — rzekła wpół żartobliwie a na wpół z wyrzutem.

— Bo widzisz, tu nie tak jak w tamtem mieszkaniu. Na dole tu, w oficynach mieszkają akademicy a o tej godzinie

2.

gr[illegible]
uš[illegible]

te[illegible]
w[illegible]

m[illegible]

zl[illegible]
na[illegible]

Ta[illegible]
ch[illegible]

* [illegible]

1[illegible]
o[illegible]

cr[illegible]

gromadzą się u nich zwykle koledzy, pełno ich tam bywa. Gdyby cię który obaczył....

— To i cóż? przez woalkę?

— Właśnie to żeś zawoalowana, mógłby obudzić tem większą ciekawość; gotów który z nich iść za tobą, aby się dowiedzieć kto jesteś.

— Aj! - wykrzyknęła przerażona, tuląc się do niego - czemużeś najął to mieszkanie! tam było lepiej!

— Ale tu tak blisko. Tak łatwo wymknąć ci się z domu na chwilkę, codzień możemy się widywać. O tych studentach na dole niewiedziałem.

— Przenieś się gdzie indziej.

— Niemogę, zapłaciłem z góry.

— To i cóż?

Roześmiał się wesoło i ujął ją za rękę.

— Moja droga, mnie nie stać na to, ja żyję z pracy. Taka suta pani jak ty, nierozumie nawet tego, co to znaczy dla chudego literata: zapłacić czynsz!

Objęła w pół jego wiotką kibić a ~~jakoby~~ niby wstydliwie
* ~~[illegible]~~
kryjąc się przed jego spojrzeniem, złożyła pochyloną główkę na jego piersi.

— Chudy literat! chudy!.. prawda, żeś ty taki chudy!

Roześmiał się a podnosząc pieszczotliwie jej zarumienioną twarzyczkę, znowu ją zmusił do całusa

— A twój mąż... — zaczął z odcieniem zazdrości.

— Nie, nie, niemów mi o mężu, proszę cię! Kiedy z tobą jestem, póty mi dobrze, póki niepamiętam o tem że mam męża!

— Dziecko jesteś! czy ci żal że go zdradzasz? on ciebie niewart!

— Oh, nie on mnie, ale jam jego niewarta...

— Cóż znowu! On ciebie pewnie tak samo zdradza jak ty jego.

Rzuciła się gwałtownym ruchem jakby ucieszona pomyślną jaką wiadomością.

— Czy wiesz może o czem? powiedz!

— Nie wiem, odparł wzruszając ramionami, nie wiem, ale przypuszczam. To co swoje, nieumie się nigdy cenić... a dlatego mężowie... Ale ty widzę, zazdrosna o męża jeszcze? ależ to zabawne!

I rozśmiał się na całe gardło.

— Nie śmiej się! zazdrośnam! pewnie żem zazdrosna! — zawołała jakby z gniewem.

Zamyśliła się chwilę, potem rzekła:

— Ale tak bym się czuła szczęśliwą! ach tak bardzo szczęśliwą, gdybym wiedziała na pewno, że to prawda, że on mnie zdradza! Wtedy....

— Ah, wtedy byś niemiała twoich śmiesznych skrupułów...

— Śmiesznych? śmiesznych powiadasz!... Ty to nazywasz śmiesznem!

I łzami zaświeciły jej ~~oczy~~ źrenice.

— No, no, dajże pokój!

I chciał wycałować te łezki z pięknych oczu.

Odwróciła twarz. Ten całus wydał się jej świętokradztwem.

Pochwycił jej rękę i okrył pocałunkami.

— Przebacz mi! Tyś anioł prawdziwy!...

— Anioł? — ~~rzekła~~ powtórzyła z boleścią, jakby ta przenośnia urąganiem jej się wydała.

Ale on ukląkł przed nią, objął jej kolana i podnosząc ku niej ~~oczy~~ jasne błyszczące oczy, mówił z uczuciem:

— Ja cię kocham! kocham! tyś całe moje szczęście! ty mój skarbie najdroższy! jabym żyć niemógł bez ciebie!

4.

mu

spo
prz

sp
n
u

m
c

r
z

n
t
l
w
n

c
z
wtedy ty
i t
d
n

mor

Łezka która jak brylant drżała na jej rzęsach, na twarz mu spadła i potoczyła się po jego twarzy.

Wtedy ona zczarowana jego słowy i zakochanem jego spojrzeniem, pochyliła się znowu ku niemu i jakby na przebaczenie złożyła usta na ustach.

Długo trwał ten uścisk namiętny. Wreszcie on powstał, spojrzał w okno, potem na zegarek i niecierpliwie zaczął nalegać aby już odeszła. Wybiegł do sieni znowu i wrócił mówiąc:

— Idź już, idź moja najdroższa, spiesz się! Tak mi ciężko ci to mówić! jabym godziny, dni, lata chciał cię mieć u siebie, ale idź, idź!... Do jutra! do jutra!

Włożyła na głowę kapelusz, wciągnęła spiesznie rękawiczki, w przelocie dała mu całusa i uchylając drzwi zaglądnęła do sieni. Cofnęła się.

— Drzwi niedomknięte naprzeciwko! - szepnęła.

— To nic! Stary dziwak tam mieszka, który nigdy drzwi swego pokoju nie domyka. Kilka razy ja mu tę przysługę zrobiłem, bezczelnie zwlókł się z łóżka... bo leży prawie ciągle... i ~~[illegible]~~ drzwi znowu przetworzył. Zapewne wietrzy sobie pokój, bo ciągle fajkę pali a izdebka mała, jak moja.

— Któż to taki?

— Stary malarz, nawpół oślepły, skąpiec, nie wiem czy nie lichwiarz, oryginał... Czasem przez kilka dni nie wychodzi z domu a nie widziałem żeby ~~[illegible]~~ mu obiad kto przynosił. żyje ~~jada~~
wtedy tylko surowemi jabłkami a obrane skórki wyrzuca do sieni. Ot, patrz i teraz taka wstążka leży przed jego drzwiami!... Wyborna figura! ~~[illegible]~~ Będzie bohaterem najbliższej mojej nowelki. A nazywa się Dyonizy Klapecki...

— Klapecki? Ależ ja go znam! Malował portret mojej matki ~~[illegible]~~ w ślubnym stroju. A potem mój... jeszcze

5.

za życia ojca... jak miałam trzy lata. I na ~~[illegible]~~ mem weselu był...

— Zna ciebie?

— Niewidziałam go już ~~[illegible]~~ kilka lat — ale możeby poznał!... Przymknij jego drzwi jak będę stąd uciekać.

Spojrzał raz jeszcze na schody a przez okno sionki na dziedziniec a zapewniwszy się że nikt jej nie będzie widział wychodzącą, uczynił jak kazała, przymknął drzwi swego sąsiada. Wprzód jednak jeszcze potrącił nogą (jabłczaną wstążkę) leżącą tuż przy drzwiach i zwieszającą się z pierwszego schodu. Potrącił ją nogą w ten sposób, iż podlatując w górę, wpadła napowrót do pokoju ~~[illegible]~~ jabłkożercy. Potem drzwi przymknął i ~~[illegible]~~ nie puszczając klamki, przytrzymał.

Kamila rzuciła mu jeszcze raz w przelocie całusa a zaciągając na twarz gęstą woalkę, zbiegła szybko ze schodów.

Tymczasem stary dziwak zerwał się gniewnie ~~[illegible]~~ z łóżka, mrucząc coś pod nosem i powlókł się w pantoflach ku drzwiom aby je napowrót otworzyć.

Pocisnął klamkę, drzwi się nie otwierają. Pchnął pięścią — naprożno, pchnął kolanem — ani rusz.

— A to co takiego! — zawołał zdziwiony, prawie przerażony.

W tej chwili Adam puścił klamkę, drzwi szeroko się rozwarły i obaj sąsiedzi spojrzeli sobie oko w oko.

— Co to?... i kto to?... i na co tak? — krzyknął stary głośno nosowym i chrypliwym a zgryźliwym tonem, ale bez gniewu.

— Usługa sąsiedzka — odparł Adam i zabierał się do odejścia.

— Obejdzie się... niepotrzebuję...

I postąpił krok naprzód, szurając pantoflem po podłodze. Ubrany był w białe płócienne szarawary i brudny

6.

dluga,

na

obdarty szlafrok. Długie nieczesane siwe włosy otaczały jak chmura biała jego głowę. Jako krótkowidz wyciągnął długą, pomarszczoną chudą szyję naprzód, aby się przypatrzyć napastnikowi. Przysunął się tak blisko że rozwichrzona siwa broda dotykała prawie jego twarzy. I Adam przypatrywał mu się z artystyczną satysfakcyą nowellisty.

— Aha, aha, to pan ten, z drugiej strony, literat, nieliterat, mówiła mi stróżowa, gazetnik!.. Czego pan chce? hm, czego? Dlaczego mnie zamykasz w moim pokoju? A to paradne! Co to, kandydatura na dozorcę więzień? Dobry chleb, spokojny, ale wcześnie trzeba się starać... bo na starość nie dadzą... Słuchaj no pan. Ja mam mój własny pokój a pokój to spokój. Silniejszy pan odemnie ale ja mam za sobą stróża a stróż ma za sobą właściciela domu i policyę. Ja mego pokoju będę bronić...

— A czy ja naruszam pański pokój, ja tylko drzwi zamknąłem, bo nie powinny stać otworem.

— Nie powinny? kto to powiedział? jakie prawo? kontrakt najmu? To moje drzwi, moje! i ja mam prawo otwierać i zamykać ile razy chcę, i stać we drzwiach cały dzień, na cały miesiąc zamknąć na klucz, na cały miesiąc otworzyć na oścież, albo otworzyć na topór, albo niedomknąć, albo i wyjąć z zawiasów.... Patrzcie, moi mili państwo!

Adam starał się przedłużyć oryginalną rozmowę która mu dozwalała zbierać wzorki ze swego modelu.

— Jabym nie sądził abyś pan miał prawo otwierać drzwi na oścież chodząc po swoim pokoju w takiem ubraniu.

— W jakiem? w tem? A to paradne! przecież nie nagi! A choćby! czy tu są panny?

— W tej chwili niema, ale może przyjść do mnie siostra...

— To mnie pan skarż! ja tu starszy lokator

od pana. Ja to pana stąd wyforuję a nie pan mnie. Ja płacę regularnie pierwszego... pracowałem całe życie i teraz na starość starczy mi na ~~[illegible]~~ mieszkanie i nawet kiełbasy i jabłko... Co? może mi pokój chcecie odebrać a potem może i kiełbasę i jabłko? komunizm, co? będzie kiedyś i komunizm, ale jeszcze go niema! nie dam! nie dam! Może mnie pan ~~[illegible]~~ skarżyć, ale rabować się nie dam, ani moich drzwi ruszać, bo to moje drzwi, i moje i ja za nie płacę!

— Skarżyć nie będę ale drzwi zamknę jak będą otwarte.

— A to paradne! Ani się pan waż klamki ruszyć!

— Chciałbym z wizytą zejść do pana? albo z interesem?

— To co innego, ale ja mogę przyjąć albo nie.

— A więc mnie pan nie przyjmie?

— Hm! jak mnie pan pyta, to przyjmuję... ale czego pan chce odemnie?

Adam wszedł do pokoju dziwaka i rozglądał się po dziwacznych rupieciach i połamanych meblach.

— Czegoż? — zapytał dziwak

— Odwiedzić sąsiada.

— Dobrze, ale po co?

— No, dla przyjemności poznania sławnego artysty.

— Głupstwo! to na nic! I sława to głupia sprawa jeśli na starość da tylko kiełbasę i jabłko a ledwo na tytoń starczy (nie starczy)... A ludzie mówią że ja mam pieniądze... Pewnie pan przyszedł pożyczyć? Nie dam, boby mi potem i na kiełbasę nie starczyło.

— Nie, ja pożyczać nie myślę.

— Co? może wziąć?

— I to nie.

8. — Co? może dać? — I zachichotał ironicznie chrypliwym śmiechem.

— To prędzej... bo mnie stać na pieczeń i na piwo i na wiele innych rzeczy... Lubi pan piwo?

— Nie lubię jak nie mam.

— Jabym posłał stróża?

— Ja nie zapłacę.

— Ale ja zapłacę.

Pan Dyonizy zadziwiony zrobił minę która była szczytem komizmu. Zniżył ton głosu i ukłonił się uniżenie.

— Pan? hm... hm... Ale w takim razie to chyba w pana pokoju, bo tu pan płaci a nie ja.

— I owszem, proszę.

— A można w tym stroju? czy ubrać się?

— Z pierwszą wizytą można w tym stroju, ale z drugą prosiłbym się ubrać albo całkiem rozebrać.

— Model na Belizaryusza? A to paradne! nie paradne!

Zachichotał stary chrypliwym śmiechem.

Adam otworzył lufcik okna w swoim pokoju i zawołał stróża.

Z podsienia kamienicy wyszedł Jakub z miotłą w ręku.

— Przynieś dwa kufle piwa.

Jakub ruszył ku bramie.

Pan Dyonizy rozsiadł się tymczasem na kanapie na której przed chwilą spoczywała piękna kobieta, i rozparł się najwygodniej w nawpół leżącej pozycji i zrzuciwszy z prawej nogi pantofel, zgiął kolano i bosą brudną stopę umieścił na siedzeniu. Długiemi żałobnemi paznokciami bezmyślnie obskubywał nagniotki na palcach. Przy tej machinalnie dokonywanej czynności roztworzył mu się szlafrok na piersi, odsłaniając rozpiętą i podartą koszulą i gęstemi kudłami siwych włosów obrosłą pierś. Wszystko to, zacząwszy od bosej nogi, niepranych zdawna pantalonów i koszuli a skończywszy na pomarszczonej żółtawej twarzy p. Dyonizego, (rozwartych ust, z których duże czarne wyglądały zęby,) zakisłych czerwonawych oczach i rozczochranych jego włosach, przedstawiało dziwnie malowniczą całość.

9. 43

W milczeniu przypatrywał się Adam swemu gościowi. Starał się w myśli rozwiązać psychologiczną zagadkę jaką mu nasuwała dziwaczna jego postać.

— No, no, — odezwał się jakby sam do siebie p. Dyonizy — nie spodziewałeś się pić dzisiaj piwa.

A po chwili dodał:

— Co dzień to bieda. Chwytaj za czuprynę bo uciekmie. Szczęście z tyłu głowy łyse. Dzisiaj piwo, jutro mnie kto pewnie gotów na szampana zaprosić.

— Ja nie, — odezwał się Adam. — Na to literatu nie stać. A lubi pan szampana?

— Ho ho! czy lubię? (i cmoknął ustami przymrużając oczy.) A to paradne! Gdybym miał ~~tego~~ ten wszystek szampan com wydudlał, tobym mógł sobie stawek urządzić i pływać po nim łódką! Ale gul=gul, gul=gul a na starość jedz diable kiełbasę ~~i popijaj wodą~~ zamiast strasburskich pasztetów i popijaj wodą.

— Pan podobno świetnie stałeś za młodu? (zapytał Adam częstując swego gościa cygarem —) I ~~[illegible]~~ przepuściłeś wszystko? To zwykły los artystów!

— Czy świetnie (stałem)? Bah! sto dukatów za portret! dwieście dukatów! Dobijano się o Klapeckiego: „talent pierwszorzędny,” „znakomity nasz artysta” „genialny” pisały gazety. A zapraszano, a honorowano a do wszystkich salonów wstęp, hrabskich, książęcych. Co z tego! co z tego!

— Nie oszczędziłeś pan nic, zaniemogłeś na oczy i przyszły złe czasy?

— Co tam złe czasy! Głupstwo panie, demokracya, demokracya mnie zgubiła! Kłaniaj się wielkim panom,

a.

Łapy im liż, stopki ściskaj a zajdziesz daleko! mawiał mi stryj kanonik. A ja nie i nie. „Chwytaj smarkaczu szczęście za czuprynę bo z tyłu głowy łyse." A ja nie. „Ja panów nie potrzebuję bo ja mam talent. Niech oni mnie ~~[illegible]~~ się kłaniają a nie ja im." I kłaniało mi się to bydło dopóki miałem oczy...

— Dawno pan zaślepł na oczy?

— Oh, już ze dwadzieścia lat... A potem jeszcze mi się kłaniali dopóki miałem ~~[illegible]~~ w atelier na wszystkich ścianach ~~obrazy~~ studia i szkice. No, to i żyłem jak dawniej, bom był pewny że mi oczy wydobrzeją. Obraz za obrazem, ten taniej, ten drożej i w końcu zostały puste ściany.

— I zaczęła się bieda?

Jakub przyniósł dwa kufle piwa i postawił przed rozmawiającemi. Skwapliwie pochwycił p. Dyonizy kufel i łyknął spory haust nektaru.

— Nie zaczęła się jeszcze na dobre. Jeszcze i koledzy pomogli zrazu a potem składkę zarządzono w mieście ze dwa razy i do wód mnie posłano.

Znowu haust piwa.

— No, a potem już nic. Wyjechali wszyscy a wkońcu i ja się dowiedziałem że już oczy nie wrócą. Rozpacz, rozpacz, rozpacz i nędza. Jeszcze trochę malarskich ruchomości i przyborów zostało, — sprzedałem i to i zjadłem. I już nic. Koledzy uciekali odemnie, panowie znać nie chcieli, ubrać się w co już nie było; głodem przymrzeć, nieprzyjęto. Głód.

Znowu haust piwa. Adam potarł zapałkę i zapalił gasnące cygaro panu Dyonizemu.

— I widzi pan, głupota, demokracja ~~mnie~~ zgubiła!

— A to jak? niewidzę tego. Czy myśli pan że gdybym się był starał o łaskę wielkich panów, to byliby się

nię opuścili? Mnie się zdaje że pan się mylisz.

— Głupstwo! co pan wiesz!... Ja miałem nazwisko i sławę, która jeszcze żywo była w pamięci ludzkiej. Wiesz pan co to nazwisko i sława? To także towar, jak sukno, chleb, pieprz... ~~Zjawił się raz u mnie żydek~~ Zjawił się u mnie raz żyd antykwarz, który obrazami handlował. I przyniósł z sobą jakiś portret, no, miernego pędzla i pokazuje mi. Ja się pytam: na co to? czego chce? A on mówi że mi chce dobry interes proponować. Co za interes? roześmiałem się tylko, ja obrazów nie kupuję. Nu, ale ja kupuję, powiada, a pana malowanie ludzie dobrze płacą i pytają o pańskie obrazy. Idź głupi żydzie, to nie mój obraz. ~~Jeszcze~~ Nu, ja wiem że nie pana... ale niech będzie pana! Niemogłem zaraz zrozumieć czego chce. Wiesz pan czego chciał?

Dochwycił za kufel i wychylił resztę. Adam zaciekawiony ~~tą~~ opowieścią, rzekł:

— Może ~~pan~~ sąsiad pozwoli drugi?

Pan Dyonizy nie odmówił. Jeszcze raz otworzył Adam okno i zawołanego Jakuba posłał go po piwo.

— Chciał zapewne ten żyd abyś pan przyznał się do autorstwa tego portretu? zapytał kręcąc papierosa.

— Chciał abym na nim umieścił mój podpis.

— I cóż?

— Niechciałem zaraz, nakrzyczałem na żyda ale on mi zaofiarował sześć dukatów, potem dziesięć; i wytrzymać, — no, a portret był nieźle malowany. Bieda była wielka, pal się kaci! pomyślałem, głupstwo! i podpisałem. Za jakiś czas przyniósł Szloma drugi portret, potem trzeci, potem szkic jakiś — no i jakoś to szło.... Szło, ale bardzo nędznie

a żyd mi coraz mniej ofiarował za podpis. Zdeprecyonowałem sam wartość moich obrazów podpisując miernoty i w miarę jak się ich liczba mnożyła. Głupstwo! Urwała się ta sztuczka i w końcu nie było już co jeść....

— Ależ łaskawy sąsiedzie, nierozumiem dla czego to ma świadczyć, że cię w to podziemie wtrąciły demokratyczne zasady...

Pan Dyoniży pociągnął haust piwa z przyniesionego świeżego kufla. — Nie rozumie tego pan? Głupstwo! Ja to panu opowiadam abyś zrozumiał, że nazwisko i sława to towar jak każdy inny. A kto umie dobrze się sprzedać, ten ma rozum, a kto nie, to głupi. Otóż....

Zagrzany piwem, którego rzadko zdarzała mu się sposobność uraczyć się, coraz bardziej ożywiał się w opowiadaniu pan Dyoniży i coraz gęstsze kłęby dymu z ust wypuszczał gryząc w przestankach cygaro i spluwając na podłogę.

— Otóż słuchaj pan ~~[illegible]~~ jakim ja byłem głupim demokratą! Było to już może po dwóch latach takiej nędzy. A jeszcze sława moja nie przebrzmiała w świecie. Dzisiaj czy kto wie jeszcze kto to był Klapecki? Djabła tam! Ale wówczas nazwisko było coś warte. Otóż pewnego razu, głodny byłem, prócz kawałka chleba nie jadłem nic przez dwa dni a włóczyłem się po mieście szukając napróżno jakiegokolwiek zarobku, bo cóż ślepiec zarobić może? I jest tu sprawiedliwość na świecie? Za jaką winę ja mam znosić głód? [illegible] kilkunastu milionerów i tysiące nędzarzy będzie czem wykarmić...

Pan Dyoniży przybliżył kufel do ust.

— Oho, sąsiedzie! To widzę ~~[illegible]~~ demokracyę wyrzekałś a socyalizmowi hołdujesz. Czy też tak mówiłeś za owych czasów gdyś spijał szampana?

— Głupstwo! Kto pije szampana ma rozum bo ma pieniądze. Dość by wtedy miał o tem myśleć! Ale komu głód dokuczy — ten jeśli jeszcze rozumu nie zatraci, niech się sprzeda

Dopóki go chcę kupić.... Bo jak ~~[illegible]~~ się nie sprzeda, to mu nie nie pozostaje jak ~~[illegible]~~ kraść, rabować, albo z głodu zdechnąć, albo powiesić się na gałęzi, albo....

— Albo powyrzynać milionerów?

— Głupstwo! ale przyjdzie kiedyś do tego.... jak mi Bóg miły! Ale nim do tego przyjdzie, cały rozum w tem aby się sprzedać jak kto może. Otóż ja głupiec mogłem się sprzedać wybornie a przez demokrację głupią nie chciałem... i ~~[illegible]~~ teraz żyję jak pies ... a nawet i takbym wężył, gdyby mnie... Ha! a starczyłoby mi i na pieczeni kawał i na piwo i na co więcej może. Może i na szampana....

— Jakże to było?

— Jak? prosta rzecz! Mówiłem panu że to było może we dwa lata albo trzy po mem oślepnieciu. Zlatałem się przez cały dzień ~~[illegible]~~ po ulicach szukając na próżno zarobku i zmęczony jak gończy pies i jak pies głodny wróciłem do mojej izdebki na poddaszu. Leżę na tapczanie i ~~płaczę~~ stękam. Ktoś puka. Myślałem że to właściciel, bom czynszu nie zapłacił. Drzwi się otwierają i wchodzi, kto? (nie dowidziałem wprawdzie aż się zbliżył.) Młody książę! Dalibóg, na jego widok tak mi się dziwnie zrobiło, dalibóg jakbym w Boga uwierzył. Rzuciłem się ku niemu i ~~[illegible]~~ domyślając się że przyszedł z pomocą, chciałem go w rękę pocałować. Nie dopuścił tego milioner i zaczął się rozwodzić w żalach nad mem położeniem i sadzić na komplementa i unosić nad moim talentem ..... Każ no pan jeszcze przynieść piwa!

— I owszem! odrzekł Adam i przez Franci wysłał Jakuba do ~~[illegible]~~ pobliskiego szynku.

— Możesz pan sąsiad to wszystko opisać, to się opłaci i to piwo, którem mnie częstujesz.

— Cóż więc książę?

— Wie pan na czem skończył? Zaczął mi opowiadać jak ja się podobam kobietom, jak za mną szaleją... A ja panie nigdy szczególnego szczęścia do kobiet nie miałem... Raz tylko w życiu ... no, ale to co innego... Otóż książę ~~dodał~~, że zna pewną pannę z dobrego domu, która szaleje za mną i dziś by za mnie poszła, sama by mi się oświadczyła, gdybym tylko ją odwiedził... Spytałem kto to taki, a książę mi wychwalać jej wdzięki, dobroć, wykształcenie. Jest to sierota, rzekł, ale ~~posiada~~ będzie miała posagu kilkanaście ~~kilkadziesiąt~~ tysięcy — ~~który~~ jej przyszłemu mężowi po ślubie zaraz wypłacony zostanie. „Posag ten, rzekł, przez opiekuna tej sieroty ~~u~~ mnie został ulokowany... Chodź pan, ja pana wyswatam! Ona szaleje za panem!" Któż to taki? pytałem z gorączkową niecierpliwością. Jak się nazywa? Wahał się jakiś czas książę z wymienieniem nazwiska, wreszcie rzekł: „Panna Rabman." — A wie pan zapewne, kto to była, ta panna Rabmanówna? Domyśl się! Całe miasto wiedziało o niej! Książę miał się żenić z jakąś księżniczką a Rabmanównę chciał wydać zamąż. Zacisnąłem pięści i jak wściekły głupiec pochwyciłem księcia za kark i wyrzuciłem za drzwi. Byłbym mógł wytargować od niego że sto tysięcy — głupiec! głupiec!... A co? czy nie ta głupia demokracya mnie zgubiła?

Adam wyciągnął ku niemu rękę aby mu dłoń uścisnąć.

Z niemałem zdziwieniem spojrzał na niego starzec.

— Co to? czego pan chce?

— Chcę uścisnąć zacną dłoń pańską.

— Co? na co? dlaczego?

— Bo czuję głęboki szacunek i cześć prawdziwą dla tego demokratycznego poczucia godności własnej, jakiego pan dałeś dowód w tak trudnych okolicznościach!

— Co znowu! Czy pan drwisz? komedya!

I usunął się p. Dyonizy na drugi róg kanapki.

— Jakżebym mógł drwić z tak zacnych uczuć!

Stary wzruszył niecierpliwie ramiona i zaśmiał się szydersko.

— No! jeśli pan nie drwi, toś pan jeszcze wielki fryc i nie przebywałeś chyba biedy na świecie. Głupstwo panie zrobiłem, kolosalne głupstwo! którego do grobu nie przestanę żałować... Już na drugi dzień żałowałem, tego samego dnia żałowałem — ale stało się, było już za późno. Szczęście dwa razy w życiu do człowieka samo nie przychodzi: jak je nie złapiesz kiedy przyjdzie, to się z niem pożegnaj i pisz na Berdyczów. (Duma, zasady, godność własna, to dobra rzecz dla tego co ma pieniądze ale hardość u chudopachołka, u ślepego malarza? — to głupstwo!... Szacunek ludzki? to bajka panie, bajka dla poczciwych starych! Byliby mnie dziś ludzie tysiąc razy więcej szanowali gdybym miał pieniądze. Nisko by mi się kłaniali, co? może nie? Rabmanówna poszła za ekonoma księcia, ekonom został dzierżawcą a dziś jest właścicielem dóbr i marszałkiem powiatowym. Co? czy go nie szanują? A mnie? A dziś kto mnie szanuje? kto?...

— Szanują pana uczciwi ludzie..

— Lary fary! Nikt o mnie nawet nie wie i nikt wiedzieć nie chce. A choćbym dziś chciał sprzedać ciało i duszę za pięć reniów na miesiąc i poszedł na rynek i wołał przez cały dzień „kto da więcej?", toby mnie nikt nie kupił. Od kilku lat pies o mnie nie zapytał a gdybym nie uprosił czasem od którego z dawnych kolegów albo uczniów kilku reńskich, toby mi i na tytoń nie starczyło.

— A z czegóż pan żyjesz?

— Ba! z czego żyję! Byłbym zdechł z głodu jak ruda mysz. Ale znalazła się poczciwa kobieta, której malowałem niegdyś portret w ślubnym stroju (: to był jeden z moich najlepszych portretów :) a potem portret jej córki — no, i ta wiedząc o mojej nędzy, w dzień ślubu swojej córki dała trzy tysiące guldenów do banku na dożywotni procent dla mnie — i z tego żyję. Oto widzisz pan, jaki ja kapitalista! A ludzie mówią że ja mam

16
pr
sa

ra
-
ch

re

J
i
m

r

z

n

1

m

16. pieniądze – cha, cha!... No, juści krucho by ze mną było z tym procentem, ale mnie znowu podpiera czasem poczciwy jeden chłopak, co sam z głodu przymiera...

— Artysta?

— Aha, artysta z pocięglem...

— Szewc? a cóż pana z nim łączy?

— Et, na co to panu wiedzieć! Co mnie z nim łączy? Głupstwo! zrobiłem mu przysługę – o którą mnie nie prosił – bo go wtedy jeszcze na świecie nie było... No, to jest wdzięczny, choć dalibóg nie ma za co... Co takie życie warte! Przechylił kufel do ust i, wypróżnił do dna.

— A ta pani, która dla pana zapewniła rentę, to pani Grzemska, matka pani Kamili Odniewskiej?

— Pan ją znasz?

— Słyszałem o niej...

— Chora biedaczka, leży sparaliżowana od kilkunastu lat. Już na weselu swojej córki miała władzy w prawej ręce i w prawej nodze. I po co to się męczy na świecie?... Na jej miejscu sypnąłbym sobie do kawy arszeniku i koniec...

— Panie Klapecki! każdemu życie miłe. A czemuż pan arszeniku nie zażyłeś?

— Ja? A to paradne! Czy ja paralityk? – zawołał oburzony p. Klapecki.

— I pańskie życie nie zbyt godne zazdrości, po tem co mi pan opowiedziałeś.

— No, źle jest, to prawda... ale jeszcze może być inaczej. Bieda może się skończyć.

— Na cóż pan liczysz?

Klapecki pogładził czoło i uśmiechnął się.

— A gdyby terno? – rzekł tajemniczo

— Co? w takiem położeniu w jakiem pan jesteś, jeszcze na loterię stawia?

— A to paradne! pocóż bym ryzykował, gdybym niebył w takiem położeniu? Gdybym miał pieniądze tobym stawiać

nie potrzebował!

Adam wzruszył ramionami.

— Zresztą... — rzekł stary po chwili, — ja mam obowiązki.

— Obowiązki? Któż ma obowiązek stawiania na loteryę? To tak jakbyś pan ~~misa~~ ostatni grosz w studnię rzucał.

— A cóżby to była studnia artezyjska? Zresztą ja cudzego nie rzucam, tylko swoje,... Co panu do tego!

— Mnie nic do tego, ja tylko wypowiadam moje przekonanie.

— Obejdzie się. Powiedziałem panu że mam obowiązek, święty obowiązek!

Adam nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Ubodło to do żywego starego dziwaka i dodał z naciskiem.

— Mówiłem panu że mam (tu zniżył głos) syna! Przecież bym chciał mu los zapewnić! No, a i mnie przecież na starość należy się jakaś wygoda, ~~ciepła~~ strawa, nawet mięsa, kufel piwa, kawa na śniadanie... Ja o zbytkach nie myślę, ale pojutrze ciągnienie; jak wygram to na butelkę Roederera pana zaproszę!

— Wolałbyś pan na loteryę nie stawiać a to co wyrzucasz w błoto, ciepłą ręką dać synowi. Ale zdaje się pan mi mówiłeś, że to on pana pensyą wspomaga! Czy to się godzi! on pracuje ciężko aby pana wspomódz a pan stawiasz na loteryę!

— O poczciwy chłopak! bardzo poczciwy! Co zarobi to sobie skąpi a mnie niesie... A byłbym o nim nawet niewiedział... Sam przyszedł do mnie.

— Jakto? nie wiedziałeś pan o nim?

— A to paradne! no, juści wiedziałem, alem zapomniał.

— Zapomniał? — zawołał Adam z oburzeniem.

Klapecki pod wpływem trzech kuflów piwa spowiadał się przed nim z całą otwartością i wylaniem duszy, jak przed bratem rodzonym.

18.

[illegible]

za [illegible]

w[illegible]

– [illegible]

M[illegible]

n[illegible]

m[illegible]

Maryni (b[illegible]

p[illegible]

p[illegible]

za Grzem[illegible]

w pewn[illegible]

[illegible]

ch[illegible]

l[illegible]

to[illegible]

w[illegible]

c[illegible]

ze[illegible]

z[illegible]

z[illegible]

[illegible]

d[illegible]

18. — Urodził się wtenczas, kiedy ja już zaczałem zapadać na oczy. Gdzie mnie tam wtedy było w głowie, myśleć o nim! Wyjechałem za granicę radzić się sławnych okulistów a potem do kąpiel: ja wtedy tylko o moich oczach myślałem. No, a potem przyszła nędza — to już nie było co ~~myśleć~~ i dowiadywać się. ~~[illegible]~~ Myślałem tylko o tem codzień, co jutro jeść będę. Nie wiedziałem nawet co się z Marynią stało i gdzie się podziała.

— Któż ~~była~~ ona była?

— Ładna była dziewczyna! aj, ładna! I wykształcona niezwykle — wychowała się w domu ~~[illegible]~~ hrabiny Mniewskiej. Matka Maryni była ~~[illegible]~~ wdową po profesorze i mieszkała w domu hrabiny. Mała Marynia przychodziła do hrabianki dla zabawy i tak się obie Marynie polubiły, że hrabina niechciała jej rozłączać, wzięła moją Marynię na wychowanie. Ja tam dawałem lekcje rysunków (a potem malowałem portret hrabianki jak wyszła za mąż za Grzemskiego), no i tak się stało, patrz pan! Jak hrabianka poszła za mąż, Marynia została guwernantką w pewnym zamożnym domu. Zaczęliśmy pisywać bileciki do siebie — jeszcze mam ich cały pakiet — no, potem rendez-vous jedno, drugie, dziesiąte, no — i tak!

— A potem?

— Potem nic. ~~[illegible]~~ Jak się chłopak urodził, ja wtenczas już ślepłem. Trzymali mnie leżącego kilka miesięcy w ciemnym pokoju. Byłem w rozpaczy, bo to panie dla artysty wzrok stracić, to już chyba niema większego nieszczęścia. Dowiedziałem się że Marynia ~~[illegible]~~ ciężką przebyła słabość i nabawiła się nieuleczalnego kalectwa, że może nigdy z łóżka nie wstanie. Potem, gdym wrócił z zagranicy, dowiedziałem się że gdzieś ~~wyjechała~~ zabrała się z miasta ~~[illegible]~~ jakaś, ale dokąd? niewiedziano a ja się już nie pytałem. Ani mi to na myśl nie przyszło. Po co mi się było pytać niepotrzebnie o to? Wiedziałem że niema grosza przy duszy, tak jak ja. Otóż, widzi pan, ślad zaginął i ani mi się przyśniło co się z nią dzieje i z Józkiem.

— I ona sama odszukała?

19. — Ale gdzież tam! chyrlała całe życie w łóżku i umarła.

— Jakże więc chłopak się dowiedział o panu?

— Dopytywał się o swe pochodzenie i niemógł się dowiedzieć, aż po śmierci matki znalazł moje listy, zaczął dochodzić kto był ten „Dionizy" i doszedł... bo to sprytny chłopak, taki jak ja byłem za młodu... wie pan: wykapany! ~~Przyszedł do mnie~~ odszukał mnie, przyniósł i mój portret! spytał czy znałem pannę Marję Zembro. „Znałem" odrzekłem, ale on dostrzegł moje wzruszenie, wyciągnął listy zbierane i podał mi. A ja na to: „nie przeczytam, nie dowidzę! czy żyje? jak się ma? jak jej się powodzi?" Umarła! (Jakby we mnie piorun uderzył!) Umarła? a cóż to za listy? A on ~~zaczął czytać~~ rozłożył ~~pisanemy~~ jeden z tych listów i zaczął czytać .... a była tam już mowa o dziecku... ~~[illegible]~~ Przerwałem mu: To mój list!* po co mi pan to czytasz? kto pan jesteś? A on mi się rzucił do kolan...

Klapecki był widocznie wzruszony, przerwał opowiadanie i rękawem brudnego szlafroka łzy otarł.

— Poczciwe chłopczysko!... I powiada mi: ja ty z czem innem przyszedłem, ja myślałem żeś ty ojcze bogaty, ja bogaczów nienawidzę, ale ja widzę, żeś ty taki nędzarz jak moja ~~matka~~ nieboszczka matka! Będę na ciebie ojcze pracował jak na matkę pracowałem. Będę się dzielił z tobą zarobkiem;* ja dość zarabiam jako czeladnik szewski!... Dzielny chłopak!

— A pan jego ciężki zarobek stawiasz na loterję!

— Cóż zrobię? ~~[illegible]~~ Sam sobie od ust odejmuję dla niego, tak jak on dla mnie. Chciałbym mu los zapewnić. Duszę bym sprzedał djabłu, gdyby był djabeł pewny na świecie i chciał mi co za nią dać! (Ale kto mnie Dalibóg prawdę mówię!)

20. kupi! kto mnie kupi!.. Kiedy mnie chciał książę kupić dla Rabmanownej, ja go za drzwi wyrzuciłem... a myślałem sobie wtedy o Maryni... A teraz, tobym się sprzedał choćby za ostatnie pomiotło. ~~choćby~~ Gdyby mnie jaki bogacz na to chciał kupić abym mu nogi lizał, gdyby mnie chciał kupić na to aby mnie po twarzy bić... ~~Niech bij pan~~ co mi to szkodzi, byle płacił!... No, bij pan (i tu nadstawił p. Klapecki policzek:) bij pan! za guldena!.. no, za pięćdziesiąt centów!...

Adam ~~obrażony~~ zniecierpliwiony wstrętną tą gadaniną upadłego w godności ludzkiej ~~osoby~~ starca, wstał zniesmaczony (rzucił w kąt niedopalone cygaro) i zaczął chodzić po pokoju z założonemi w tył rękoma.

Wstał także z kanapy p. Klapecki z rozczerwienioną od piwa twarzą nad którą jak biała chmura unosiły się rozczochrane włosy, w łachmaniastym szlafroku i brudnych białych szarawarach suwał po podłodze pantoflami, idąc krok w krok za gospodarzem mieszkania i śmiejąc się szydersko zachęcał go z pełną goryczy ironii fantazyą pijanego cygana:

— Bij pan, bij, ja nie żartuję, pięćdziesiąt centów! taniej nie mogę, dalibóg!...

Wtem dały się słyszeć jakieś kroki na schodach i zaskrzypiały drzwi do pokoju Klapeckiego.

Starzec wzdrygnął się i jakby otrzeźwiał. Śmiesznie pożegnał się z swoim amfitryonem i wyszedł. —

Chłopak może dwudziestoletni, którego zastał starzec w swoim pokoju, niskiego wzrostu, krępej postawy, smagłej cery, ubrany był w krótki ciemnoszafirowy mocno wyszarzany surdutek i powycierane w kilku miejscach, popielate pantalony. Dolne ubranie zdawało się za obszerne, surdut zaś za wąski i ze zbyt krótkiemi rękawami i ubiór widocznie kupiony był na Tandecie. Pod pachą trzymał on parę butów z niezabrudzoną podeszwą, dopiero ukończonych w warsztacie. ~~[illegible]~~ Stał z głową pochyloną naprzód a z pod czarnej gęstej szczeciny wymykało się spojrzenie inteligentne ale ponuro i zuchwałe.

— Gdzież to ojciec był?... Dajno ojcze paczkę, com dał ojcu do przechowania! — rzekł z pospiechem.

— Zabierzesz ją?

— Zabiorę, zabiorę, — odparł niecierpliwie. Tylko prędko, prędko!

— Cóż ci tak spieszno?

— Spieszno mi. Jak mi nie ma być spieszno? Przed godziną szedłem do ojca, rozglądam się a w ~~[illegible]~~ sieni przy bramie stoi jakiś w cieniu. Kryje się szelma. Widać już coś wietrzą...

— Jezus Marya! — zawołał stary składając sobie ręce na głowie. Twarz jego ~~[illegible]~~ wyrażała najwyższe przerażenie. Trzęsły się ~~[illegible]~~ mu nogi w [illegible].

— Daj ojcze pokój Jezusom i Maryom a dawaj paczkę. Gdzież jest?

Ale stary nie słyszał zapytania, tylko zawodził jak desperat:

22. — Ajajaj! ajajaj! coś ty narobił! coś ty narobił! nieszczęście! nieszczęście!

— Cożem takiego narobił? Niema żadnego nieszczęścia, tylko dawaj stary paczkę! Jak się ty niebędzie, to już po nieszczęściu!

I tupnął niecierpliwie nogą. Stary ciągle desperował.

— Po co tobie się było to mieszać! na co ci tego! czy niedość już ~~nędzy~~ biedy na świecie!

— Na to mi się wtrącić to mieszać, aby niebyło biedy na świecie. Wstydby mi było nie mieszać się... bo to sprawa nasza, robotnicza... a ja nie bydle robocze ale człowiek...

— Rób buty! rób buty! - wołał płaczliwie p. Klapecki - a politykę zostaw innym!

— At! głupi stary! ~~zwadziaidze~~ dawaj paczkę i siedź cicho, nic ci nie będzie! gdzie paczka?

— W szafie, w szafie... zaraz, zaraz... ale Józku, zlituj się! daj ty ~~[illegible]~~ pokój polityce!

— Mówiłem już ojcu sto razy, że to nie polityka ale sprawa robotnicza... ~~Dawaj~~ gdzie klucz od szafy?

Stary rozbijać się zaczął za kluczem, ~~gdy~~ który gdzieś mu się zapodział. Szukał go na stoliku, na łóżku, pod poduszką, potrząsał brudną kołdrą i rewidował kieszenie we wszystkich kieszeniach swych sukien wiszących na poręczy krzesła. - Śpieszył się, ręce mu drżały, wszystko mu z palców wypadało a pośród tego ~~nerw~~ gorączkowego przetrząsania rzeczy ciągle ~~szeptał~~ wzdychał i stękał rzucając urywane wyrazy:

— Na co?... po co?... sprawa robotnicza? jaka sprawa robotnicza?... Zarabiać jak najwięcej... majstrem zostać... więcej nic...

23.

— Aha! aha! — przytakiwał ironicznie mu Józek, rozrzucając niecierpliwie wszystkie manatki starego porozkładane po stole i krzesłach — majstrem zostać i wyzyskiwać czeladź!... a potem może kupcem i właścicielem kamienicy?... jaśnie panem? prawda?... jakbym ich oświecił na każdej latarni ze dwóch... Skąd im ta własność przychodzi tak lekko? czy murowali sami, kopali fundamenta, cegłę zwozili... niech ich kule biją z ich własnością!... gdzież ten kacer do djabła! ... Własność to to co nam ukradli... to nasza praca a więc i własność nasza... Wszystko jest nasze...

— Co tobie się śni!... głuptasie! — odpowiadał mu ojciec, przetrząsając pościel po raz dziesiąty. — ~~[illegible]~~ Zawsze będą ~~[illegible]~~ panowie i urzędy i sądy...

I kładąc się ~~[illegible]~~ na ziemi, macał pod łóżkiem rękoma po podłodze.

— Na co nam panów?... każdy ~~sam~~ sobie pan!.. Na co nam urzędów i sądów!.. My najlepiej osądzimy kogo na latarnię podwyższyć... Do stu djabłów, ja drzwi od szafy oderwę, to będzie najkrócej!..

— Daj pokój! nie psuj mi szafy!

Ale Józek zasadziwszy palce za spaczone drzwi starego mebla, szarpnął raz i drugi i oderwał. Drzwi ~~[illegible]~~ wyrwane gwałtownie, z łoskotem upadły na ziemię.

— Aj, aj! co ty robisz! moja szafa!

Józek wydobył już sporą paczkę broszur złożoną na dolnej półce i owinąwszy ją jakąś płachtą zabierał się do odejścia. Zbliżył się jeszcze do okna i wyglądał na dziedziniec. Przykucnął, aby ~~x~~ dołem szyby patrząc, sięgnąć mógł wzrokiem jak najdalej wgłąb podsienia kamienicy ku bramie.

Zrozumiał starzec ten manewr i zapytał:

— A co? niema nikogo?

24. — Zdaje mi się że go teraz niema. Niemogę dojrzeć aż do bramy.

— A czy on cię wprzód widział?

— Widział mnie zelma. Ale ja na szczęście miałem parę butów pod pachą i ~~[illegible]~~ obejrzałem do stróża który stał na dziedzińcu, ~~pytałem go~~ zapytałem go zaraz o jednego pana który dawniej mieszkał w tej kamienicy, niby to niewiem że już się wyprowadził i buty niby dla niego przyniosłem. A ledwiem ~~[illegible]~~ wyszedł na ulicę, zachwilę znowu przechodzę koło domu i zaglądam w bramę co się dzieje. A mój ptaszek ze stróżem rozmawia! Do mnie był plecami obrócony ale widziałem że pokazywał ręką na oficynę; pewnie się pytał kto tu mieszka!

— ~~Może~~ Jezus marya! może ci się tak zdawało?

— Ale gdzie tam! czegoż by tam w kapeluszu stał w bramie?

— A jakeś potem szedł do mnie?

~~[illegible]~~ — Nie było go już.

— A teraz go niema?

— Niewidać dobrze ~~[illegible]~~ bo tam cień — ale zdaje mi się że go niema.

— No, to idź już, idź....

Józek pocałował ojca w rękę

— A nic mi nie przyniosłeś dziś?

— Pieniędzy? nie. I niech się ojciec teraz nie spodziewa. Nie mogę nic ojcu dać. Tam dużo potrzeba i każdy składa na co go stać....

— A z czegoż ja będę żyć? zlituj się!

— Ha, niech sobie ojciec radzi jak może!

I wyszedł, zbiegając szybko ze schodów.

Na dziedzińcu niebyło nikogo, nikogo w bramie, bez przeszkody dostał się na ulicę.

Do powieści: „Kamila"

Bez twych ~~całusów~~ uścisków, bez twej pieszczoty
W noc mi się zmienia
Poranek złoty,
W ciemną noc.
Z twojego tchnienia,
Z ócz twych płomienia
Ja czerpię zdrowie, siłę, moc.

My nie na ziemi, lecz na dalekiej
Jakiejś planecie
Przed wieków wieki
Wzięli ślub —,
I nic na świecie
Już nie rozplecie
Dusz naszych związku, ~~nawet~~ ani grób.

Po wszystkich gwiazdach w dwu naszych locie
Rozlany czar,
W lubej pieszczocie
Spijać daj;
Śluby prastare
Przez naszych wiarę
W naszej miłości wcielać raj.

Bez twoich całusów, bez twej pieszczoty
W noc mi się zmienia poranek złoty
W ciemną noc
Z twojego tchnienia, z óczu twych promienia
Ja czerpię zdrowie, siłę, moc.

My nie na ziemi, lecz na dalekiej
Jakiejś planecie, przed wiekami wieki
Wzięli ślub
I nic na świecie już nie rozplecie
Oczu naszych związku – zanim grób

Do wspólnej gromady ~~z dusz~~ naszych łani
Roztoczy czar
~~Chętny [illegible]~~
w której przemowi
Szczęście ~~[illegible]~~ dni
~~[illegible]~~,
Stuletniej prastaro
w której naszej wiary
W niebie i ziemi wierzy wiedzie raj.

~~[illegible]~~
Ja z Arymanem zawarł wieczysty
Z twojego tchnienia, z óczu promienistych
Czerpię moc
Bez ich promieni, dzień mi się zmienia
W ~~[illegible]~~ ciemną czarną noc.

Kondotier – (nowela)

Kondotier — novelle

— I to podejrzenie okazuje się prawdziwem? — zapytałem nagle, ~~przery~~ przerywając Wilusiowi opowiadanie.

— Tak! — odrzekł, zwróciwszy na mnie wyraziste swe oczy i śledząc wrażenia na mej twarzy. — Nie wiem co wyczytał w mych zmarszczkach, w każdym razie przyznaję że uderzony byłem niezwykłością faktu.

— Więc ten ksiądz w samej rzeczy ją zamordował?

— Tak, zadusił!

— W szufladzie?

— W szufladzie!.. Czekaj tylko, bądź cierpliwy. Obaczysz, śledztwo kryminalne to wykaże szczegółowo... jak go błagała o litość, jak wołała ratunku....

— Więc będzie śledztwo kryminalne?

— Będzie! będzie! oczywiście! — potwierdził Wiluś z rozpromienioną twarzą przechadzając się po pokoju. Spoglądał na mnie badawczo, uśmiechał się z zadowoleniem, zacierał ręce z radości. —

— A co? okropne! prawda?

— Prawda Wilusiu, prawda!

— Powinno zrobić wrażenie?

— O, zrobi, zrobi niewątpliwie. Znając naszą czytającą publiczność łatwo to przepowiedzieć.

— Słuchaj-no tylko dalej. — Pochwycił za rękopis swej powieści i zabierał się do czytania.

— Czekaj-no Wilusiu! — zagadnąłem. Powiedz mi, poco on ją właściwie morduje?

— Jakto poco? — Popełniwszy jedną zbrodnię, dla utajenia jej popełnia drugą. Obaczysz, popełni on jeszcze trzecią i czwartą... a kto wie czy i w ostatnim rozdziale nie każę mu razem z biskupem....

— Zawziętym jesteś nieprzyjacielem księży mój Wilusiu!

— A broń Boże! - niczyim nieprzyjacielem nie jestem, ale dziwi mnie bardzo że ty ich tak bierzesz w obronę - wbrew twoich zasad!... Cóż to, czy sądzisz że to niemogło się stać? że ksiądz nie może być mordercą?

— A, bynajmniej. Wiem że wypadki takie się zdarzają, ale statystyka nie wykazuje aby zbrodnia morderstwa była częstszą w stanie duchownym niż u ludzi innego zawodu. (Wolałbyś raz inne wady duchowieństwa uderzyć.) - Zwłaszcza ów biskup!... tu już przesadziłeś. Ksiądz bo jeszcze jak ksiądz - ale biskup! Powiedz czy słyszałeś w nowszym czasie o takim biskupie?

— A co mi tam do tego! Ja nie piszę historji ale powieść...!

— Dobrze; ale powieść powinna być prawdopodobną! A tu postępowanie tej zbrodniczej osobki klerykalnej nie jest dostatecznie umotywowane!

— Eh, to je sobie sam każdy umotywuje jak mu się tam w głowie uroi. Tak najlepiej. Po co mi się wdawać w jakieś tam filozoficzne rozumowania - to w powieści nudne. Publiczności chce emocyi, a tu jak szkoda będzie ją miało. Co?

— Będzie ją miało.

— I rozgłos okrutny! We wszystkich dziennikach, tygodnikach krytyki, recenzje, sprawozdania zajmiste! Ci za mną, ci przeciwko mnie - ale hałas, krzyk okrutny, wszędzie o mnie tylko mowa!.. wszędzie o mnie i o mnie!...

I chodząc po pokoju żwawym krokiem, klaskał w ręce i zaledwie że nie podskakiwał z radości.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

— Powiedz-że mi mój Wilusiu, zkąd cię nagle opanował takie niepohamowane pragnienie rozgłosu i sławy powieściopisarskiej? Znamy się już tak dawno a nigdy podobnych zapędów literackich w tobie nie dostrzegłem. Kazać księżom mordować kobiety, biskupom przechowywać zrabowane przedmioty... Co cię to

ukąsiło? Tarantula?

— Ba! czyż nie wiesz że się mam żenić?

— Masz się żenić? Nie wiedziałem.. A z kimże to?.. I cóż to ma wreszcie za związek z twoją podróżą?

Wszedł do pokoju p. Hieronim i przeszkodził dalszej rozmowie.

„Maciej Tyrski był ostatnim gospodarzem"

(początek powieści)

Maciej Tyrolski był dostatnim gospodarzem w Łuckowcach, dostatnim, statecznym, zapobiegliwym i rozsądnym. W całej gminie miał sławę wielkiego rozumu i uczciwości. Była to powaga we wsi nie mała; i w każdej ważniejszej sprawie radzono się go i najczęściej słuchano. Kilka razy chciano go mieć wójtem, wyboru jednak nigdy nie przyjął. Przedstawiał na tem że nic w Łuckowcach nie dzieje się bez niego, – a każdy wójt gdy miał w czem jaką wątpliwość, zasięgał jego zdania. Od dworu i plebanii trzymał się on z daleka. Choć go proboszcz cenił a we dworze zwano „porządnym i uczciwym gospodarzem”, nie dał się ująć pochlebnym wyrazom i w sprawach gminnych [illegible]. Wiedziano o tem we wsi i tem też wielce obdarzano go zaufaniem.

Lat miał blisko 60, wdowiec; jednego tylko miał syna, wcale niepodobnego do niego z twarzy i postaci, podobnego tylko z siły. Obaj silne były chłopy jak dęby. Stary miał przytem prawdziwie atletyczną budowę, z siwym gęstym włosem, spadającym w kędziorach na ramiona, z zawiesistym siwym wąsem. Poważna to była postać, niemal imponująca: rosły, barczysty, trzymał się prosto, ruchy miał powolne, spokojne — tylko w dziwnych siwych oczach nie było tego spokoju. Poglądały one na ciebie przenikliwie, niemal podejrzliwie. Z pod fałdowanej powieki i siwych brwi, często błyskały iskrami piorunem gniewu a wtedy smagławą twarz i gęsto porytą zmarszczkami (dziś niskie) czoło mieniły się w czerwieni od napływu krwi. W takich chwilach rozdymały się nozdrza szeroko na twarzy osadzonego nosa a pod (siwym wąsem dojrzałeś jakiś ruch warg niemiły, niespokojny, coś podobnego do uśmiechu ironicznego, przekleństwa tłumionego zaciśnięciem zębów.

W postaci i w ruchach i w całem zachowaniu Maciej (Tyrolski) wyglądał raczej na zaściankowego szlachcica niż na chłopa i w samej rzeczy ojciec jego pochodził podobno ze wsi Tyrskawola, zamieszkałej przez zagonową szlachtę i przechowującej pisma urzędu gminnego herbowym klejnotem. Niezwykłe pewnie godności wdzięczny i bieda niedobytka, pozostały mu może z szlacheckiej prosapii.

Nie znosił upokorzenia a doznaną obelgę lub niesprawiedliwość pamiętał, długie lata, przypominał sobie dumając przed chatą o zachodzie słońca, z tajemnym uczuciem przypominał jakby o czemś najmilszem i niezapomniał do śmierci, nie przebaczył. Nie szukał odwetu, ale nienawidził całą duszą a gdyby zdarzyła się sposobność, mściłby się niechybnie. Jak myślicie, z tego com o nim powiedział? jako myśli, żeby się mścił.

Ciężkie on przebył raz więcej rody upokorzenia, lat temu ze dwadzieścia. Pamiętny to był rok dla gminy. I ten i te które go poprzedziły. Pożar po pożarze we wsi: to jedna chałupa spłonie, to dwie, to znowu kilka i kilkanaście a zawsze prawie widne ślady podpalenia a podpalacza ani sposobu pochwycić ani go odnaleźć. Sądy, śledztwa, komisarze, arentowania, dociekania: wszystko marne, wszystko na nic. Kogo więziono to i wypuszczono, bo się pokazało gdzie owej nocy był i co robił i że albo na pewno nie winien, albo że niema na niego dowodu. Wypuszczono. Przesiedział parę miesięcy i wypuszczono. A potem drugiego i także wypuszczono. A tymczasem już nowy pożar pożarł całe mienie jakiego gospodarza albo i kilku. Aż powzięto w gromadzie podejrzenie na Sobka Jurczaka. Sąd go więził i badał i puścił a znowu pożar we wsi. I po raz drugi dostał się do sądu i po raz drugi puszczono. Ale w Chuchowcach kto żył to mówił, że to on podpala a nie kto inny. A był to chłop niegdyś dostatni ale niezgodny i szukający tylko kogoby zaczepić i z kim się prawować. I prawował się i przeprawował cały swój majątek. Zadłużył się u żydów, zagon po zagonie, krowę po krowie sprzedawał na stemple i adwokatów. A chatę mu zlicytowali i został sam bez strzechy i bez kawałka chleba z papierami w ręku. „To nikt inny tylko on podpala!" mówiono w Chuchowcach. I nadpalony papier z aktów jego procesu, znalazł jeden gospodarz zatknięty z podpałką w strzechę swej stodoły: widać chciał i jego podpalić... Dał więc znać o tem do sądu i znowu więziono Sobka a cała

wieś mówiła: „No teraz to mu już nie ujdzie na sucho, nie wykręci się sianem, wyspowiadają go, będzie wisiał jak Amen w pacierzu.” Różne gadanie. Znowu Sobek wyszedł cało po kilku tygodniach indagacji. Jeszcze przytył na twarzy i rezonu nabrał. A we wsi strach był wielki przed ogniem i straszne oburzenie na zbója i na niemieckie sądy, które nie umiały z niego prawdy wydobyć. ~~i którym nie wystarczało,~~ że cała wieś gotowa była przysiąc że on podpalał a nie kto inny, a im to nie wystarczało jeszcze i puścili łotra. Chyba chcą tego aby znowu podpalał? aby cała wieś z dymem poszła? Jeżdżą do dworu ci panowie ze sądu, to może ich dwór przekupuje żeby go puszczali. Czem szkoda większa, tem robotnik tańszy: — jak się wieś pali to panom radość”. Tak rozumowano. „Ale niedoczekanie twoje! — dodawano: — jeśli jeszcze raz ogień podłoży, to sami sobie z nim zrobimy sprawiedliwość!”

Nie minęły dwa tygodnie, i w ciemną noc z Studziakowej szopy buchnął płomień jak świeca. Zbiegli się ludzie z drągami, osękami, siekierami, wiadrami, czem kto miał, aby ratować. Aż tu i chałupa się już pali. Jedni do ratunku a drudzy nuże wołać: „Dawaj tu Sobka Jurczaka!” i pobiegło po niego kilkunastu. Jak przybiegli do pustej kuźni cygańskiej, gdzie miał legowisko, wrota były zaparte i zadzione zawory. Stukają a on się nie odzywa. Udaje że śpi. I stukają i krzyczą żeby się i umarły obudził a on niby śpi. I wściekłość sroga w nich straszna i chcieli wrota wyrąbać. Wywalili okno a on wtedy niby się zbudził i przestraszył bardzo. Cały się trząsł i dzwonił zębami a odgrażał się jeszcze, aż go związali i powlekli do pożaru. A między niemi był także i Maciej.

Tu zmiękł Jurczak, bo już wiedział co się mu święci. Zaczął tedy zaklinać się na Matkę Najświętszą, na rany Boskie, że on niewinien i całować ludzi po nogach i rękach.

— Do ognia go rzucić! — wołali jedni. A drudzy: „niech się wprzódy przyzna!” I zaczęli go bić i katować okrutnie. Kto żyw to bił i mordował. Ale on jęczał tylko i na wszystkie świętości

zaklinał się że niczemu nie winien. I poradził wtedy Maciej aby go za ręce powiesić na belce a za nogi ciągnąć. Powiesili go tak a do każdej nogi uczepił się drugi chłop i targał. Wrzeszczał Jurczak i jęczał a nie wyznał nic. Powieszono go potem za nogi (głową na dół). Mdlał i nic nie powiedział. Wojciechowa doradziła aby mu ciernie za paznokcie zasadzić. Okropnemi głosami zawodził i łzami się zalewał ale się nie przyznał do niczego. Wtedy Grzeszczyna, której się przed rokiem dziecko w chałupie żywcem spaliło, doradziła, aby (wielkim głosem wołając) Sobków dwa żarzące węgle włożyć pod pachy...

To pomogło. (Przyznał się. Do wszystkich pożarów się przyznał odrazu.) ~~Ciało~~ ~~kontorsyach.~~ (Radość była wielka że nie próżno go męczono. Ulgę wielką wszyscy uczuli w sumieniu. A ciało jego skwierczało od żaru, wił się w dzikich kontorsyach – i wył z bólu. Wył jak zwierz, choć już go przestano przypiekać. Gałki oczne wybiegły mu z powiek, jakby wyskoczyć miały. Wreszcie ucichł i upadł bezwładnie. W łunie pożaru rozwścieczony tą sceną tłum rzucił się na niego i deptał po omdlałym, pół martwym i zakrwawione ciało kopał z rozkoszą podkówkami butów.

Dawno już nie żył, kiedy się ocknęli mściciele gromadzcy. Pod wpływem trwogi krzywdy i własnego przerazili czynu. Zdawało im się że zatrą ślady popełnionej zbrodni, rzucając ciało zamordowanego w ogień dogorywającej chaty. Tak zrobili, w tym mniemaniu iż władza nie powezmie znikąd wiadomości o tym doraźnym wyroku sprawiedliwości ludowej.

Łatwo było przewidzieć następstwa. Sprawa karna która stąd wynikła, ciągnęła się blisko pół roku a kilkudziesięciu włościan było w nią wciągniętych. Należał do nich także i Maciej. Kilka miesięcy przesiedział w śledztwie. Uwolniony wreszcie został dla braku dowodów gdy główni świadkowie którzy przeciw niemu zeznawali uległi panującej wówczas epidemii. Wójt i drugi jeszcze przewodnik lynchu skazani zostali na lat dziesięć więzienia. Srogą w tym wyroku upatrywała gmina niesprawiedliwość. Tak zawsze w takim razie, tak i teraz było.

5. 72

Gdy Macieja wypuszczono ze śledztwa, wieś cała przypisywała to nie okolicznościom i brakowi dowodów, ale jego sprytowi. Wszyscy wiedzieli że brał udział w zamordowaniu Jurnaka, żywszy może od innych, — a jednak uszedł kary i niczego dowieść mu nie zdołano. Podziwiano więc jego spryt, jego przytomność umysłu, zręczność z jaką się tłómaczył przy indagacji. On sam, nie rozumiejąc dobrze, jakich prawo do zasądzenia wymaga dowodów, uwolnienie swoje przypisywał bystrości własnej i sam w własnem urósł mniemaniu. Obudziło się w nim jakieś świadomość wyższości umysłowej — a to poniekąd choć oparte na złudzie, dało częściowo wyższość rzeczywistą, bo uchroniło od przyjmowania na ślepo cudzych mniemań i ~~[illegible]~~ podniosło do pewnego krytycyzmu, który na wszelkie sprawy spokojniej od innych a więc i jaśniej zapatrywać się dozwalał. Zapewne, że ten krytycyzm jaki dało zarozumienie, był jednostronnym, bo się do cudzych tylko a nie do własnych odnosił mniemań, ale na tym poziomie umysłowym gdzie ogół bywa zwykle we wszystkiem jednego zdania, sama już chęć wyróżnienia się odmiennem zapatrywaniem, usiłowanie zdobycia trafniejszego na rzeczy poglądu, nadaje pewną nad ~~[illegible]~~ tłumem umysłową przewagę.

Przewagę taką ~~[illegible]~~ zdobył sobie w Cmukowcach Maciej Tyrka i jej był winien nie tylko zaufanie jakie w całej gminie posiadał, ale nawet rzeczywiste zalety swoje. Roztropnym był, zapobiegliwym, statecznym — a co za tem idzie wywalczył sobie nie tylko poważanie, ale pewną niezawisłość i byt dostatni. Z biegiem lat zrósł się z temi poglądami które mu ową zjednały powagę i skostniał w nich. Wyrobił się z tego chłopa człowiek niezłomnych zasad, upornego charakteru. Świadomość wyższości własnej nakazywała mu być roztropniejszym od innych, roztropność czyniła go statecznym, stateczność uczyniła i porządnym gospodarzem a człowiekiem twardej i niezachwianej woli, który niezależnie od tego że go słuchano, sam postanowienia własne [illegible]

za nieomylne i niezłomne. Wszelki opór jakby cięższej obrazy i gdzie cudzej nie mógł przełamać woli, tam już nie mógł trzymać na wodzy gwałtowności swego despotycznego charakteru, czerwieniało mu czoło zryte bruzdami a z poza brwi obwisłych siwe niespokojne oczy błyskały tłumioną wściekłością, wargi przekrzywiały się tak, jakby pomiędzy nimi zacisnęły się i zgrzytnęły zęby. Nie wybuchnął jednak nigdy, zamilkł, ale urazę chował w sercu przez lata całe, nie przebaczył. Gdyby sposobność się nastręczyła, toby się pomścił. - Zrozumieć-

Szkoła życia i ciężkie nieciągłe szkoły wieloletniego sieroctwa wyrobiły w nim zaciętość, pewną dozę skrytości, nieufności, podejrzliwości. - takim go wyrobiło życie, takim był. Takim pozostał do starości. A im człek starszy, tem bywa i twardszy.

Jednego syna miał - Józka. Kochał go bardzo. Z matczyną niemal troskliwością pielęgnował małe dziecię po śmierci żony, ale gdy chłopak podrastał, coraz surowszą czuł nad sobą ojcowską rękę. Ojciec trzymał go ~~[illegible]~~ w karności i rygorze wojskowym, srogo karcił najmniejszy wybryk młodociany, uchybić rozkazowi swemu nie dozwalał i za nieposłuszeństwo mścił się jak na obcym. Pragnął go widzieć porządnym, statecznym, uczciwym gospodarzem, takim jakim był sam. Pragnął aby pracą, oszczędnością zapobiegliwością pomnożył kiedyś dziedzictwo które po nim obejmie i lepszego dorobił się, ~~[illegible]~~ dostatniejszego bytu. Chciał więc urobić jego wolę na swój obraz a zwyczajem wszystkich ojców o silnym niezłomnym charakterze, zaczął chodować tę wątłą roślinę (młodocianej woli) ~~[illegible]~~ nie pieczołowitą ogrodnika, ale brutalną ręką drwala, ~~który~~ sposobną do łamania ~~[illegible]~~ gałęzi, ale nie do naginania ich kształtu. Posłuch sobie zjednał bezgraniczny, ale wolę złamał i wyplenił z niej wszelką samodzielność. Józek pod kierunkiem ojca był parobkiem wzorowym, ale tak jak ojcowej, tak też niczyjej silnej woli oprzeć się nie zdolny i każdym wpływom uległy. (Ojca czcił i bał się jak Boga, wierzył w jego

(Silny jak dąb a chwiejny jak trzcina.)

rozum jak w słońce a każde jego słowo było mu święte. Była to cześć nieledwie bałwochwalcza ale nie była to miłość synowska. Dopiero gdy złożon raz śmiertelną chorobą, leżąc w ciężkiej gorączce, po kilku dniach bezdennego ~~bezprzytomnego~~ marazmu ~~przetworzył oczy i~~ odzyskał przytomność i przetworzywszy oczy ujrzał nad sobą siwą głowę ojca ~~[illegible]~~ i duże łzy spływające strugą po bruzdach jego oblicza, — dopiero wtedy odezwało się serce i srogiego tyrana swego ukochał Józek całem synowskiem przywiązaniem.

W pół roku później stanęła na skraju sadu Maciejowego, tuż przy drodze wiodącej do kościoła, mała murowana kapliczka z figurą św. Józefa. Wzniósł ją Maciej co ślubował świętemu patronowi swego syna, jeśli mu go wyratuje od śmierci.

Maciej był wielce nabożnym i syna również w twardej wychował wierze, przestrzegając bacznie aby nie opuścił nigdy mszy świętej i wszelkich praktyk religijnych najściślej dopełniał. Była to owa religijność prostych ludzi zasadzająca się na zachowywaniu form, przestrzeganiu postów, — uczestniczeniu w nabożeństwie, religijność egoistyczna z altruistycznemi popędami nie mająca związku, ale (wierząca że wszelkie przewiny można przejednać ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ modlitwą i przekupić ofiarą (zdrowy rozsądek, religijność mająca ~~do uzyskania~~ ~~[illegible]~~ na oku cel praktyczny uzyskania ~~wszelkich~~ (dostatków na ziemi a po śmierci „korony niebieskiej".

W tem rozumieniu obaj należeli do religijnych ludzi.

„Nie widzieliśmy się nigdy na oczy"

(początek noweli)

Nie widzieliśmy się nigdy na oczy, a kochaliśmy się jak bracia. Gdyśmy po raz pierwszy przemówili do siebie – będzie temu lat blisko trzy dziesiątki – dzielił nas gruby mur, a nie głosem rozmawialiśmy z sobą, lecz kłykciami palców i obcasami butów naszych. Porozumieliśmy się łatwo, bo nazwiska nasze nawzajem nie były nam obce a zbliżał nas los jeden, niedola jedna i jedno pragnienie. Po całych dniach, ba, po nocach rozmawialiśmy z sobą i tysiączne sobie nawzajem oddawali usługi koleżeńskie, udzielali sobie rad zdrowych i przestróg. Potem przyszła kolej na zwierzenia przyjacielskie i ~~po~~ kilku tygodniach takiego życia nie było najskrytszej serca tajemnicy która by nas nie tyczyła.

Ale wkrótce rozłączyły nas twarde życia koleje. Pewnego dnia rano zbudziło mnie ze snu gwałtowne stukanie w ścianę przy której stała moja prycza. Stukam, daję znak porozumienia. Przyjaciel mój zaczyna wypukiwać litery więziennego alfabetu:

W-Y-D-A-J-Ą M-N-I-E M-O-S ....

] ...i przerwał. Żywy ruch na korytarzu, hałas, otwieranie zamków. Doskoczyłem ku drzwiom i nadsłuchując zrozumiałem rychło znaczenie niezwykłego tego ruchu: wyprowadzano go z jego kaźni

~~Emeniul pii Domij voiiis.~~

i nie miał już do niej wrócić! Wywieziono go – skąd nie miał może wrócić już nigdy! Okrzyk jakiś usłyszałem – jego to głos był niezawodnie – ale prócz ostatniego wyrazu: „...koledzy!" słów nie mogłem pochwycić. Całą siłą ciała z rozpaczą uderzyłem we drzwi na pożegnanie – rozległ się odgłos tego uderzenia po korytarzu i powrócił do mnie echem ... Ucichło, kroki oddalające się ucichły po chwili i skończyło się wszystko... Rzuciłem się na pościel i z twarzą przyciśniętą do zgrzebnej poduszki wypchanej słomą, gorzkiemi zalałem się łzami.

Nie rychło znowu doleciały mnie o nim wieści. Byłem już na wolności. Nie wiedziałem czy się cieszyć czy smucić, gdy mi powiedziano, że z pod szubienicy ułaskawiony i wysiedlony został do Nerczyńska.

Mijały lata i znowu wieść mnie doszła o nim – i o owej łasce jaka mu się dostała w udziale. Znajdował się (od trzech lat) już w Tobolsku. Spróbowałem do niego napisać. W pół roku później otrzymałem odpowiedź – jedną i jedyną, po niej bowiem na listy moje nie dał ani śladu życia.

Minęło znowu lat kilka – aż nagle (: dnia tego i tej radości w życiu niezapomnę!) – otrzymuję list z marką francuską, z Paryża: list był od niego, od Kazimierza! Z jakiemi trudami, z jaką nadludzką odwagą i wytrwałością udało mu się z tego piekła wydostać na wolność, nie umiał tym opowiedzieć. Sam to on wiedział lepiej

opowie w swoich pamiętnikach.

Zawiązało się odtąd stałe między nami listowanie, które ścieśniło jeszcze bardziej węzły serdecznej przyjaźni. Nie widzieliśmy się nigdy na oczy, kochaliśmy się jak bracia.

Z Francyi przeniósł się do Anglii, później do Ameryki a korespondencya nasza nie zrywała się. Raz na miesiąc a co najmniej raz na dwa miesiące otrzymywałem list (dwuarkuszowy) i odpowiadałem obszerniejszym jeszcze.

Po kilku latach powrócił wreszcie do Europy i osiadł w Paryżu. Trwałe zajęcie i brak funduszów nie dozwalały mu odwiedzić kraju i strony matki, czego gorąco pragnął. W tym roku dopiero miało się stać zadość jego długoletniemu życzeniu, ~~[illegible]~~ stosunki jego materyalne polepszyły się nad spodziewanie a okoliczności różnego rodzaju składały się na to że go tu obaczę.

Składała się na to i okoliczność czysto familijnego charakteru. Po jego rodzonym bracie, zmarłym przed kilku laty, pozostała z pierwszej tegoż żony córka, zostająca pod opieką swej macochy. Kaźmierz, stryj panny Aliny, był oraz jedynym jej krewnym, poczuwał się do obowiązku poznania swej dorastającej już bratanki i zaopiekowania się nią, gdyby tego była potrzeba. A miał wszelkie powody przypuszczania, że potrzeba ta istnieje niezawodnie. Po ojcu panny Aliny został był dość ładny majątek, którym nie najlepiej zarządzali krewni jej macochy, — a panna na listowną wzmiankę stryja że nadchodzi

kupiec dobrodziej, kupca dobrodzieja, kupcowi dobrodziejowi, z kupcem dobrodziejem i t.d.

dla niej pora stosowna do zamążpójścia, odpowiedziała (bez ogródek) że o tem wcale nie myśli, ~~postanowiła~~ bowiem wstąpić do klasztoru doczekawszy do pełnoletności, jeśliby do tego kroku zezwolenia „mameczki" ~~matki~~ (: t. j. macochy :) i opiekuna uzyskać jej się nie powiodło.

Jeśli panna: primo poważna, secundo młoda, tertio urodziwa (: a mając jej fotografię widziałem że jest urodziwą :) wybiera się do klasztoru, wątpić nie można, że przyczyną takiej decyzji jest albo nieszczęśliwa miłość, albo chorobliwa, zwykle sztucznie wywołana egzaltacya, albo wreszcie prześladowanie ze strony rodziców, ojczyma, macochy lub opiekuna.

Podejrzywał też otóż panią Wielecką mój przyjaciel i postanowił bądź cobądź przyjechać do kraju i ująć się za swoją bratanką. Zdziwił go i korzystniejszą o bratowej natchnęło opinią, gdy na pierwszą jego wzmiankę o zamiarze przyjazdu, odpowiedziała mu listem pełnym wyrazów żywego zadowolenia, prosząc, aby nie zwlekał z dokonaniem zamiaru i wyrażając nadzieję, że może będzie szczęśliwszym w odwiedzeniu Alinki od niewczesnego postanowienia.

Zamiar przyjazdu jednak poszedł ~~wbrew~~ jego chęci w odwłokę – a tymczasem zaszedł wypadek, bardzo rzadki zwykle, który jednak zdaniem pani ~~Walentyny~~ Wieleckiej powiększył jeszcze potrzebę tegoż przyjazdu i zaważenia stryjowskim wpływem na losy bratanki. Wypadkiem tym było zjawienie się konkurenta, którego pani Wielecka, nader zresztą wymagająca i wybredna w wyborze, za dość stosowną dla pasierbicy przyjąć raczyła partyę.

Tym konkurentem był jej sąsiad a mój... kuzyn, bardzo wprawdzie daleki, jak jedenasty kół w płocie, ale zawsze kuzyn, czego miasto drzewa genealogicznego najlepszy w tem miejscu dowód, że nigdy do mnie nie przemawiał inaczej, jak: „Kuzynie dobrodzieju

83

„Panna Ludmila“

pocrátek povídky.

~~Wydziedziczony~~ ~~Panna Ludmiła~~

Powieść.

Młodym byłem naówczas chłopcem i właśnie na wakacjach ~~[illegible]~~ na wsi; dobrze mi tedy utkwiło w pamięci zdarzenie, od którego wypada mi rozpocząć niniejszą powieść.

Przez kilka tygodni opowiadano sobie z rozmaitemi warjantami wśród okolicy o zajściu hrabiego Leonarda z Protusiem Ornickim w domu jego rodziców, w Jarmużyńcach.

Rzecz tak się miała.

U hrabiego Leonarda gościł wuj jego, książę Adryan. Pamiętam tę małą a sztywną figurkę z sardonicznym uśmiechem na ustach, z jasno-blond peruką na głowie i wykrochmalonemi kołnierzykami. Drżały nogi pod starcem nawiedzone podagrą a jednak nie obaczyłeś go nigdy z laską. W ręku, na którem błyszczał brylantowy pierścień, trzymał on zawsze nieodstępną szpicrutę ze złotą ~~[illegible]~~ gałką.

Czy na żądanie księcia czy dla innych jakichś powodów, Leonard obwoził go wciąż po sąsiedztwie po znaczniejszych domach okolicznych.

Przyszła kolej na Jarmużyńce. [illegible], z którym Leonard zresztą w dość ścisłej był zażyłości, nie zastano w domu. ~~[illegible]~~ Zapalony myśliwy, wyjechał on był ze świtem na polowanie i jeszcze nie wrócił.

Towarzystwo bawiło w salonie. Stary pan

Księżna

Ornicki tłumaczył księciu że córka z drugiego małżeństwa książęcego dziada po kądzieli, była cioteczną siostrą jego matki, że zatem powinowactwo Ornickich z rodziną księcia jest dość bliskie.

Pani Ornicka nie brała udziału w tej rozmowie. Co chwila z wyrazem niepokoju spoglądała w okno, oczekując powrotu z polowania ukochanego swego jedynaka.

Leonard przechadzał się po salonie z hr. Henrykiem najbliższym sąsiadem p. Ornickich, żywą tocząc dysputę, której treść dla osób znających hr. Henryka łatwa była do odgadnięcia. Hrabia Henryk, dziedzic wielkiego w dziejach polskich imienia, słynął w okolicy z gorącego patrjotyzmu i postępowych, szczerze demokratycznych przekonań. Chociaż szczupły majateczek i kłopotliwe interesa niedozwalały mu większego w sprawach publicznych brać udziału, niemniej prawość charakteru, braterska dla sąsiadów uczynność, a wreszcie gruntowne wykształcenie, dawały mu całkiem wyjątkowe w okolicy stanowisko. Koligacje jego z najpierwszemi domami w Polsce, mimo mezaliansu który był uczynił żeniąc się z córką jakiegoś fabrykanta, otwierały mu podwoje najarystokratyczniejszych salonów. Matki pragnące uchronić synów od zarazy radykalizmu, prowadzącej wedle ich mniemania zawsze do mezaliansów, lękały się jego propagandy, której on, mimo siwiejących już włosów, z prawdziwie młodzieńczym oddawał się zapałem ile razy ku temu nadarzyła się sposobność.

3.

. . Łatwo tedy odgadnąć na jaki temat toczyła się rozmowa między Henrykiem a Leonardem.

Henryk zapalał się; Leonard dość obojętnie odpowiadał na zarzuty, widocznie nad temi kwestjami nigdy się nie zastanawiał, nie zdawały się go nawet interesować. Gdyby kto niewidząc, słyszał ich rozprawiających, w Henryku domyślałby się młodzieńca a starca w ~~[illegible]~~dziestoletnim Leonardzie. Później dopiero gdy Henryk zaczął mówić o spaczonem wychowaniu ~~[illegible]~~ kobiet wyższego towarzystwa, czyniącem z nich ~~[illegible]~~ postrojone lalki bez serca i duszy, Leonard ożywił się nieco, sam nawet zaczął mu potakiwać.

Książę Adrjan, jednem uchem słuchał genealogicznych wywodów Ornickiego a drugiem chwytał urywane zdania dysputujących. Odwracał czasem głowę i skrzywiał się przecierał usta jakby chciał wmięszać się do rozprawy.

— Mezalians! mezalians! prawił Henryk. Moim zdaniem tam tylko o mezaliansie może być mowa gdzie małżeństwo nieszczęśliwe... Mnie n.p. gadano mi o mezaliansie gdym się żenił z moją nieboszczką żoną! A jednak szczęśliwszego nie znam...

— N'est-ce-pas, kochany hrabio — wtrącił książę Adrjan, wszak się niemylę? masz sześcioro dzieci?

— Siedmioro, mości książę.

— A! to błogosławieństwo boże. Ale pardonnez moi, jestem wdowiec i to bezdzietny, ojcowskie uciechy me sont inconnues, gdyby jednak szczęście domowe trzeba zawsze okupywać siedmiorgiem dzieci, to myślę że wypadałoby się modlić: ~~[illegible]~~ que le bon Dieu nous preserve od szczęśliwego małżeństwa...

Henryk niewiedział ~~czy~~ co go bardziej dotknęło, czy cynizm czy niegrzeczność Księcia ~~zawarta w tem zdaniu~~. Mimo oburzenia, odpowiedział jednak chłodno:

— Ubolewać muszę nad tem zdaniem. Może mi książę wierzyć, że siedmioro dzieci niejest tak wielkiem nieszczęściem nawet przy tak szczupłym majątku jak mój... Jeśli Bóg mi da żyjąc jeszcze lat kilkanaście, wychowam synów na porządnych obywateli a córki wydam za poczciwych ludzi — choćby szewców...

— Przesadzasz Hrabio, przesadzasz! — zawołał książę i powtórzył za nim pan Ornicki.

— Nie, bo mając siedmioro dzieci, majątku dać im niemogę. Ale z majątkiem takim jak n. p. majątek księcia albo Leonarda...

— Wolno by było d'en avoir ~~une cinquantaine~~ au moins deux douzaines? nieprawdaż? I potworzyć potem osady zaściankowych Kniaziów. Merci.

Leonard się śmiał. Henryk nie czuł potrzeby odpowiadać na tego rodzaju argumenta.

Pani Ornicka nawiązała dalszą rozmowę.

— Przyznasz jednak książę, że ani samo nazwisko ani majątek żony nie stanowią jeszcze rękojmi szczęścia, a nawet ~~[illegible]~~ nie są to warunki niezbędne. Jabym sądziła że byle wychowanie było...

~~— Doskonałe~~

— ... à la hauteur naszych wymagań, — dokończył Leonard, podzielając zapatrywanie pani Ornickiej.

— Mais malheureusement niemoże być na tej wysokości, — przerwał książę, — niemożeby być bez tamtych dwóch warunków. Czyż pani sądzi że ~~[illegible]~~ dziecko

5!

d'une famille roturière, jakiegoś szewca, krawca, epicjera...

— Teraz z kolei książę przesadzasz, zauważyła pani Ornicka

— a więc n.p. córka dzierżawcy... Jak się nazywa Leonardzie twój dzierżawca o którym mi wczoraj opowiadałeś?

— W Skopańcu? Mydliński.

— Eh bien, córka takiego Mydlińskiego... Czy sądzi pani że ci ludzie zdolni są dać wychowanie? A gdyby byli zdolni, czy ją przyjmie? Na co się napatrzy w domu od dziecka to jej będzie wzorem. A gdyby ją w domu nie trzymano, to najwykwintniejsze nawet wychowanie nie przetworzy krwi, rasy. C'est plus fort que nous tout le reste. Taka Mydlińska na królewskim wychowana dworze sera de même jak jej matka. Znajdzie się pastuszek i będzie nowa sielanka.

— O jakiej to sielance książę mówisz? zapytał gospodarz domu z widocznem zajęciem.

— Comment? Nie słyszeliście państwo o tem? ah, to wyborna historia. Opowiedz-no Leonardzie.

Ktoby w ciągu tej rozmowy patrzał na panią Ornicką, nie mógłby nie dostrzedz w jej twarzy widocznego zakłopotania. Nagle spojrzawszy w okno rzekła z dziwnym jakimś akcentem

a capite

— Protaś powrócił! Chciała wyjść na jego spotkanie. Niepokój w jej silniej jeszcze się odrysował.

Protaś był już we drzwiach. Do przywitania się z gośćmi, nadstawił podaną rękę matce i zbliżył się

do Ojca.

— Jakież przynosisz trofea? zapytał Leonard

— Wcale nic.

— Tak? zapytał ojciec znacząco. — A w której stronie polowałeś? — i spojrzał synowi bystro w oczy.

— ~~Pod Sk~~ Skopańcem, odrzekł Dodzio całując Ojca ~~w ramię~~.

— Aa, rozumiem się, pod Skopańcem — powtórzył z szczególnym przekąsem stary Ornicki i nieodwzajemnił uścisku syna.

— Napędziłeś mi pewnie zwierzyny do moich lasów, — żartował Leonard

— Opowiedzże nam panie Leonardzie tę sielankę Skopaniecką, o której książe wspomniał — prosił znowu Ornicki. Gospodyni domu ~~[illegible]~~ rzuciła na męża wzrok błagający. Z niepokojem spojrzała na syna, który pobladł jak ściana.

— To nie Skopaniecka sielanka, rzekł Leonard. ~~[illegible]~~ Są to dzieje ~~pani Mydlińskiej~~ mojej dzierżawczyni z czasów przedślubnych, kiedy jej ~~dzisiejszemu~~ mężowi nie śniło się jeszcze, że będzie dzierżawcą.

— Czemże był naówczas? zapytał Ornicki

— Mogę państwu zaręczyć, ~~odrzekł~~ odezwał się Henryk, ~~[illegible]~~ uprzedzając Leonarda wyjaśnień; — że był uczciwym człowiekiem, tak jak nim jest dzisiaj. Pochodzenie mu nie ubliża. Parwenjusz. Ale protoplasta ~~[illegible]~~ każdej, najznakomitszej nawet rodziny był to zawsze parwenjusz. Z Mydlińskiemi sąsiaduję o miedzę i mam dla obojga wysoki szacunek. Mógłbyś panie Leonardzie nie ogadywać twoich dzierżawców.

który ci dobrze płacą. Znam tę anegdotkę i wierzajcie mi państwo że niewarta powtórzenia i nawet nieprawdziwa.

Potem zbliżył się do Henryka i ścisnął go ukradkiem za rękę.

— Oh, panie Henryku, jeśli o prawdziwość ci idzie, protestował Leonard, to mogę ci zaraz zaręczyć. Szczegóły te wiem od mego proboszcza, który znał doskonale rodziców pani Mydlińskiej, jej i jej brata, ~~który~~ tego, co gdzieś przeszedł bez wieści i jej dzisiejszego męża, protoplastę jak go nazwałeś.

— Kimże on był? zapytał Orlicki.

— Był... był... szukam najestetyczniejszego wyrazu... był pastuszkiem... trzody chlewnej ~~u ojca~~ swojej (i pana Hieronima Truszczy) żony.

— Czy podobna!

— Tak, tak, protoplasta rodu Mydlińskich! — zaśmiał się książę Adrjan.

— Otóż panna Sewera (Truszczanka), dziedziczka pani Mydlińska, hołdując nowoczesnym zasadom, pragnęła przyczynić się do ~~oświaty~~ podniesienia oświaty ludu i ~~[illegible]~~ w tym celu uczyła czytać parobków swego ojca. Najpojętniejszym z nich okazał się Bartek, podobno nazwiskiem Mydło...

— *Ma foi*, nazwisko niezbyt odpowiednie jego urodowi.

— Zaczęła się tedy sielanka. Stary ~~szlachcic~~ pan Hieronim Truszcza był wielkim demokratą. Wygadywał na magnatów, bratał się z poczciwemi chłopkami którzy mu wypasali łąki i kradli las; syna swego wychował na Karbonara a córkę na apostołkę.

~~[illegible]~~ już

~~[illegible]~~. Pochwalał ~~[illegible]~~ ich gorliwość w nauczaniu Adeptów i sam ich do tego zachęcał. Przypomniał sobie o swojej ~~[illegible]~~ herbowej Kościeszy na sygnecie, gdy już było po nieszczęściu. Zastał ~~swoją~~ Seweryę przy lekcji z Bartkiem, w której zasada miłości ludu zastosowaną była <u>sans reserve</u>. Bartka zbił na kwaśne jabłko a córkę przeklął i wypędził z domu. Po tem wszystkiem biedny stary dostał ataku paralitycznego, który mu odjął władzę w nogach, ~~a~~ w kilka dni później na domiar nieszczęścia dowiedział się, że syn jego jeszcze wplątany w jakiś niedorzeczny spisek politycznych fałszerzy banknotów umknął za granicę, ścigany listami gończemi, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Wrzasnął stary: „hańba!" i zwarjował. Do śmierci nie wymówił już innego wyrazu, tylko dniem i nocą wołał zachrypłym głosem: hańba! hańba! ~~[illegible]~~ Nikomu nie dozwolił się zbliżyć do łóżka ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ z którego nie mógł już powstać sparaliżowanemi nogami. Gestykulował, groził nabitą [illegible] wiszącą nad łóżkiem którą zdjął ze ściany, nie przyjmował jadła i napoju i ~~tak~~ skonał z wyrazem: hańba! na ustach.

— Ależ to nie sielanka! To okropne! – zawołała pani Orwicka.

Protuś oparł czoło na dłoni i trząsł się jak w febrze. Stary Orwicki nie spuszczał go z oka, w twarzy jego malowało się zadowolenie ~~[illegible]~~ z wrażenia jakie na synu wywierała opowieść Leonarda. Książę Adrjan tryumfująco spoglądał na Henryka

— <u>N'est-ce-pas? c'est tragique!</u> – i zaśmiał się

piskliwym głosem.

— Jakiż koniec historji? — zapytał Ornicki.

— Młody Truszcza zniknął bez wieści, ścigany listami gończemi po całej Europie. Testamentu nieboszczyka Truszczy, który podobno miał córkę wydziedziczyć, nie odszukano. Mydło został Mydlińskim i ożenił się z panną dziedziczką; a że nikt z nimi w tamtej okolicy żyć nie chciał, majątek obdłużony sprzedali i wzięli w dzierżawę Skopaniec... — dokończył książę obracając się do pani Ornickiej. — C'est pour le passé. Quant'au présent, oczywiście robią majątek, panna Mydlińska ma guwernantkę francuzką, elle touche du piano i będzie miała „wychowanie" jak się pani wyraziłaś. Daruj pani, ale sama przyznasz, że podobno wychowanie nie zastąpi braku urodzenia...

— Na tym się nie zawsze zgodzi kochany wuju, — zaprotestował Leonard.

— A! panie Henryku, winszuję — przerwał książę — lekcja pańska nie bez wpływu.

Henryk nic nie odpowiedział.

— Z panem Henrykiem się nie zgadzam, — odparł Leonard — ale i z wujem zgodzić się nie mogę. Wychowanie nie nada szlachetności jeżeli przykład matki rozwiewa wszelkie ideały, ale wszakże i niższego stanu kobieta może być une honnête femme. Zapewne że taka panna Mydlińska pójdzie za przykładem matki i lada dzień usłyszymy o jakiej skandalicznej schadzce z owczarzem lub kuchtą... ale...

— Panie Leonardzie! — zawołał groźnie Protuś i zerwał się z krzesła wpół nieprzytomny. — Panie Leonardzie! panna Ludmiła nie ma tu obrońcy... ale ja znam ją... ale ja bywam gościem w ich domu... ja nie pozwolę abyś pan lżył bezkarnie przezemnie...

— Co to jest? Protuś! — przerwał mu ojciec z wściekłością i stanąwszy między nim a Leonardem pochwycił go silnie za ramię. Wstrząsnął nim z całej siły jakby chciał go przyprowadzić do przytomności.

— Nie — Boże! — Panie Leonardzie — jesteś pan .... wybełkotał Piotruś jak w gorączce. Z ostatniem wysiłkiem i upadł zemdlony na ziemię.

— Wody! wody! zawołał Henryk otwierając drzwi do przedpokoju.

Piotruś rzucał się w konwulsjach na posadzce, (przewróciły się źrenice,) z ust toczyła się piana.

— Zabiłeś go! zabiłeś! — oskarżała męża pani Ornicka, łamiąc ręce z rozpaczy, podczas gdy Ornicki z Leonardem i Henrykiem przenosili Protusia na wygodny szezlong.

— Wszak wiesz że to nie pierwszy atak tego rodzaju, — uspokajał Ornicki żonę ([illegible]), i dodał do Henryka: w dzieciństwie miewał to dość często. To minie.

Henryk rozpiął Protusiowi krawatkę i kołnierz od koszuli, podłożył pod głowę poduszkę a rzekł do pani Ornickiej:

— Każ pani przynieść mocnego octu.

Pani Ornicka zanosząc się od płaczu nie słyszała już co dalej mówiono.

Ornicki przystąpił do żony i ~~[illegible]~~ tonem niby przekonywania zaczął ją uspokajać. Ale utajony gniew przebijał się w jego głosie i gestowaniach.

Konwulsyjne drgania chorego które się zaczęły już zmniejszać, znowu silniej skurczyły mu ramiona. Zacisnął zęby, pociemniał na twarzy i głuchy jakiś jęk wydobywał się z piersi.

II

Leonard przytrzymywał ~~sam~~ mu głowę która się zsuwała z poduszki, palce mu drżały a przerażenie malowało się na jego twarzy. Książe Adryan z niesmakiem przypatrywał się tej scenie; w pomarszczonych rysach starca malowało się raczej obrzydzenie (niż litość) na widok posiniałej i wykrzywionej okropnie twarzy Protazia.

Odwrócił się ku niemu Henryk i ~~[illegible]~~ szepnął:

— Octu!

Książe nie się ruszył.

— Octu! — zawołał ~~powtórzył~~ Henryk rozkazująco a widząc że to niewystarcza, powtórzył rozkaz raz jeszcze głosem ~~[illegible]~~ wojskowej komendy

— Książe! octu!

Na ten krzyk ocknęła się pani Protazia ~~[illegible]~~ z spazmatycznego stanu i bezmyślnym ~~dziwnym~~ jakimś głosem jakby naśladując komendę Henryka powtórzyła jego słowa:

— Książe! octu! ~~[illegible]~~

Zerwała się z kanapy i upadła na nią bezsilna ~~[illegible]~~ z spazmatycznym śmiechem...

— Książe... octu!.. chachacha!....

— Ludwiko! Ludwiko! opamiętajże się! — wołał coraz groźniej czuły małżonek. — Ach, do stu tysięcy djabłów!.. Przepraszam księcia za te sceny w moim domu!

Książe wyszedł do przedpokoju. Na jego rozkaz przyniósł wygalonowany ~~[illegible]~~ sługa octiniczkę na srebrnej tacy. Książe Adryan zwilżył batystową chustkę pani Protaziej i podał ją mężowi, który ją wytknął ~~[illegible]~~ do nosa. Silna woń otrzeźwiła ją niezwłocznie. Spazmy ustały. Z przerażeniem wpatrywała się milcząc w tę zsiniałą twarz Protazia.

Henryk nalał ~~[illegible]~~ na dłoń octu ~~[illegible]~~ i dawał choremu powąchać, nacierał mu skronie i pulsa. Wreszcie zmaczawszy palce w szklance wody, bryznął kilkakrotnie w oczy Protaziowi. Konwulsje ustały, a po chwili Protaś zwolna przychodził zaczął do siebie, jakby z ciężkiego omdlenia.

— Usuńcie się teraz państwo, aby was nie spostrzegł koło siebie gdy odzyska przytomność — rzekł Henryk.

Książe ujął ~~[illegible]~~ Leonarda za ramię i szepnął mu na ucho

— Jedźmy!

— Nie, — rzekł Henryk — pan musisz się zatrzymać

panie Leonardzie. Mam z panem do mówienia o tem wszystkiem.

I spojrzał mu znacząco w oczy.

Pan Drnicki wziąwszy żonę pod ramię, chciał ją wyprowadzić z pokoju. Na przemiany prosił i rozkazywał:

— Ale już dobrze jest, już całkiem dobrze! Bądź spokojna. Nic mu już nie jest... Musisz ztąd wyjść... proszę cię Ludwiko... musisz!.. Ach, przepraszam księcia... jakże mi to przykro!..

— Nie, nie. Ja zostanę przy nim — prosiła pani Drnicka. — Jam już zupełnie spokojna. Idźcie, idźcie państwo... ja przy nim zostanę... błagam cię...

Mąż obstawał przy swojem ciągnąc nieszczęśliwą za ramię mimo jej oporu, ale spostrzegłszy wtem że książę z Leonardem z salonu już wyszli, zostawił ją i wybiegł za nimi.

Protuś przetworzył oczy.

*

* *

W półtory godziny później przeniesiono chorego do jego pokoju. Przy łóżku siedział lekarz powiatowy, po którego posłał był swoje konie Leonard, nie czekając na polecenie gospodarza domu. Stary Drnicki czy to zajęty zaszczytnemi odwiedzinami księcia, czy też nie wielkie przypisując znaczenie chorobie syna, nie zdawał się wcale troszczyć o niego. Nie było to z jego strony obojętność lub brak miłości ojcowskiej. Protuś był jedynakiem synem, który odziedziczyć miał kiedyś nagromadzony przez niego majątek, Brnicki pokładał w jego bogatem ożenieniu z córką jakiej magnackiej rodziny wszelkie swoje nadzieje, niepodobna zatem aby go choroba syna obchodzić nie miała. Nie uważał jej jednakże za niebezpieczną, a że mu się dotąd wszystko w życiu szczęściło, niezdolny był przypuścić aby to szczęście opuścić go miało. Bardziej trwożył go romans Protusia z córką dzierżawcy i za niebezpieczniejszą uważał tę chorobę od powrotu na/ku Protuś od dzieciństwa zapadał.

13

Przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa ~~uległej~~ żony i syna, nie umiał zdać sobie sprawy z tego co zaszło. Protaś który w dzieciństwie pod razami ojcowskiej rózgi [illegible]raz dostał konwulsji, ulegał zawsze jego woli, drżał na każde jego skinienie i nigdy śmielszem słowem wobec niego odezwać się nie ośmielił. Gwałtowne tedy jego wystąpienie dzisiejsze wydawało się ojcu karygodnem zuchwalstwem, które surowo skarcić należy.

Starając się teraz ubawić jaknajlepiej księcia Adryana przypominał sobie co chwila buntowniczy ~~[illegible]~~ postępek syna i oparcie żony i oburzony do żywego sceną która w oczach jego gości dom jego mogła podać w pośmiewisko, gotował się do nowej (domowej) sceny którą po odjeździe księcia zamierzał wyprawić.

Przy łóżku chorego czuwał tymczasem lekarz. Trzymając go za rękę liczył uderzenia pulsu z zafrasowanym ~~[illegible]~~ wzrokiem patrzał na bladą twarz ~~[illegible]~~ pacyenta. – Po nadzwyczajnem wysileniu nastąpił nagły upadek sił. Protaś w półśnie z zmrużonemi oczyma wymawiał jakieś niezrozumiałe wyrazy a ręka jego w dłoni lekarza drgała od czasu do czasu.

W wezgłowiu siedziała matka milcząca i smutna. Z twarzy lekarza wyczytać chciała swój wyrok a co chwila ocierała łzy które jej się cisnęły do oczu.

W saloniku tymczasem rozmawiał Henryk z Leonardem

Protu. – Rozmowa [illegible] [illegible] Polowanie, Henryk
… [illegible] – [illegible] Wyprawa [illegible]

Powód [illegible] – Leonard [illegible] [illegible] wobec [illegible]

Śmierć. [illegible]

[illegible] ? Domysły

Protu [illegible]

Leonard. [illegible] Rewizytów [illegible] Kraśnicki [illegible]
Słowacki – Niedowiarstwo [illegible] [illegible]
Wygrana Leonarda. Józio. [illegible] Z Protusiem –
Podobne [illegible] … II
Henryk I [illegible]
[illegible]
To [illegible]
[illegible]

Powrót [illegible] [illegible] Obrazek. Porachunki
[illegible] [illegible] [illegible]
Leonard [illegible] [illegible] [illegible]
Leonard [illegible]
[illegible] – [illegible]
Stryj. [illegible]
Leonard [illegible]
Pożyczki Leonarda
[illegible] [illegible] z [illegible]
Józio [illegible] Protusia
[illegible] – [illegible] Protu [illegible]
Józio [illegible]
[illegible]. Leonard [illegible]
[illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

Początek powieści

Pani Flawia

Pani Flawia

powieść

I.

Czerwiec. Dzień jasny, pogodny; ani chmurki na niebie. - Słońce dobiega południa. Parno, - do wieczora niewątpliwie zgromadzą się chmury, burza będzie a przynajmniej deszcz ulewny. -

Równina - jak daleko okiem dosięgniesz. Olbrzymi kobierzec z zielonego aksamitu w różne dziergany pasy i desenie. - Tu łan niezmierny którego końca niedojrzysz - tu łąka bujną zarosła trawą: to widomie pola dworskie. Tam dalej węższemi wstęgami ~~[illegible]~~ a różnej odzieni zieloności suną się zagony: to pola włościańskie. -

Na całej szerokiej tej równinie nie ujrzysz chaty ani drzewa. Gdzieniegdzie tylko czteroramienny biały krzyż z ~~k~~ kamienia, lub na rozstaju od słoty sczerniały drogoskaz. - Tu i owdzie wśród zieleni przemyka się nieokopana rowem żółta drożyna, niby wygryziona przez mole plisza w aksamitnym kobiercu. -

Liczne tumany kurzu po drogach. - Rosnąć się zdają - widocznie zbliżają się do nas z różnych stron. -

Bryczki, wózki węgierskie, koczyki, taradajki, kałamaszki - ku jednemu gdzieś środkowemu dążą punktowi. - Punkt ten naraz jeszcze niewidzialny, wkrótce się oczom odsłoni. - Jest nim wioska podolska Hawryńce - w głębokim leżąca parowie. -

Kto znał Podole galicyjskie temu lat trzydzieści, znał niewątpliwie dwór Hawryniecki. - Był to najgościnniejszy dom w okolicy - może jeden z najgościnniejszych w kraju. Należy wspomnieć o tej przeszłości, nim powieść naszą zaczniemy. -

Major Ryblewski wróciwszy z pod Ostrołęki o kuli (a z szeroką blizną na skroni) - przybudował do starego piętrowego domku dwa skrzydła - urządził dom z wielkim gustem, zasadził ogród - a następnie wyjechawszy na kilka tygodni niewiadomo dokąd - przywiózł sobie żonę. - Była to kobieta starsza od niego o lat kilka, przeszło trzydziestoletnia ale niezwykłej piękności.

Zadziwiło wszystkich tak nagłe ożenienie, tembardziej iż nikomu o zamiarach swoich matrymonialnych Pan Antoni przedtem nie wspominał - a będąc człowiekiem prawdziwie żołnierskiego otwartego charakteru niezwykł był z niczem się taić. Zadziwiającem było jeszcze bardziej że małżonka prócz kosztownych klejnotów żadnego nie przywiozła z sobą

/o

z sobą wiana ani wyprawy panieńskiej. Służąca nawet, która z nią przyjechała – w drodze dopiero była przyjęta.

Gdy wieść o niespodziewanem ożenieniu Majora gruchnęła w okolicy – zjawił się z pośród sąsiadów w Hawrynicach pierwszy Pan Stefan Glinicza, najbliższy przyjaciel ś.p. jego ojca – a nawet daleki krewny jego ~~matki~~ nieboszczki matki. –

— Ożeniłeś się Majoreczku! Chwała Bogu! winszuję Ci z serca! – choć mi przykro żeś się mi nie zwierzył. – Nieboszczyk miał do mnie zaufanie – miał! – a Ty ....

— Przebacz mi Panie Stefanie! – wszak wiesz jak Cię kocham i szanuję, jakby Ojca, – rzekł Major obejmując go w ramiona – a po chwili dodał: Czemu tak zrobiłem – nie pytaj proszę.. Wiesz że kłamać nie umiem – a mam powód milczenia. Proszę zatem: nie pytaj. –

— No, no, pojmuję, pojmuję. – Dać Ci jej nie chcieli – a więc .....

— Proszę Cię – nie domyślaj się – bo domyślasz się mylnie. Proszę – i zaklinam – nie mówmy nigdy o tem. –

— Ale rodzice z czasem przebaczą ... wyszumią gniewy, wykipią – a stary zatęskni za córką...

– Dajmy temu pokój. Rodzice mej żony nie żyją.
– Hm… a któż z domu? – kto z domu? pytał dalej stary.
– Rybkiewska – odrzekł Major sucho.
– Jakto? krewna?
– Nie..

Tyle tylko można było z Majora wyciągnąć.

Dziwne po okolicy zaczęły o Majorowej obiegać pogłoski. Może to nie żona… mówiono. –

Minęło pół roku – Majorostwo nie wyjeżdżali nigdzie z domu, nikogo nie odwiedzili w sąsiedztwie. – Żony wysyłały mężów na zwiady do Hawrynice. Mężowie wracali zachwyceni pięknością, wykwintnem wykształceniem i uprzejmością Pani Majorowej. – Kobiety ginęły z ciekawości. O każdym szczególe domowego pożycia (Majorostwa) chciwie zbierały relacye. Pożycie to było jaknajprzykładniejsze. – Sługi nie mogli się nachwalić dobroci i szlachetności swej Pani, włościanie kochali ją jak matkę. – Sąsiadki jednak zaklinały się że jeśli Majorostwo objadą okolicę z wizytami, przyjmą Majorowę gorzej niż obojętnie a wizyty wcale nie oddadzą, póki nie będą wiedzieć „kto ją rodzi." –

Spodziewany jednak objazd nie nastąpił. – Minęły dwa lata a pokłosie Majorowej wzrastały ciągle. Od arendarza który polisty na pocztę jeździł, dowiedziano

/. się

się, że przez ten cały czas Majorowa ~~[illegible]~~ regularnie co miesiąc list otrzymywała z Warszawy ~~[illegible]~~, – ~~a~~ nikt ~~[illegible]~~ jednakże z krewnych jej do Ławrynicz nie zawitał. – Zwątpiły panie sąsiadki czy ją gdzie obaczą.

Prócz Dra Stefana Glińczy, który codziennym stał się gościem owego domu i prócz kilku bliższych sąsiadów nikt prawie w Ławrynicach nie bywał. – Major zajmował się pilnie gospodarstwem – zresztą prawował nad jakiemś dziełem strategicznem czy też nad krytycznym rozbiorem kampanii 1830. Majorowa – chodziła koło domowego gospodarstwa, czytała wiele, ~~[illegible]~~ po większej części dzieła poważnej treści, uczyła dziewczęta wiejskie w założonej przez siebie szkółce – a najmilszem jej zatrudnieniem było mal~~[illegible]~~owanie. – Widoki malowane przez nią świadczyły o znakomitym talencie pejzażystki – i o wprawie przechodzącej zwykłe maximum amatorskich robót. Obeznanie z kilkoma zagranicznemi językami dozwalało jej zapoznać się z nowszą literaturą francuską, angielską włoską i niemiecką. Na fortepianie grała jak artystka. W obejściu miła i uprzejma, – w rozmowie wesoła i pełna dowcipu. Przytem piękna. Przy rzymskim profilu w kruczych jak jedwab lśniących lokach – ~~świeżej~~ białości delikatna cera szczególnym jaśniała urokiem. ~~[illegible] z Kararyjskiego marmuru [illegible] ją ujrzał z spuszczoną wdół powieką, [illegible]~~ – Gdyś ją ujrzał z spuszczoną wdół powieką – był to niby posąg z Kararyjskiego

/.

marmuru, melancholijnym ożywiony uśmiechem. Lecz gdy podniosła na ciebie duże swe oczy, olśniony blaskiem jaki z nich strzelał, niemogłeś wyjść zpodziwu; oczy te bowiem na przekór smętnemu wyrazowi ust, dzieciną jaśniały swobodą i szczęściem. Usta pełne cichego smutku, oczy śmiejące jak u rozswawolonego dziecka. – Niepojęta dysharmonja ust i oczu ~~[illegible]~~ – jak mistrzowski w Bethowenskiej sonacie dyssonans, w cudownej w jej rysach zlewała się całość. – Czarodziejka umiała zwyciężyć każdego a niechętnych nawet i uprzedzonych pozyskać życzliwość.

Bóg dał Majorostwu syna. – Na chrzcie św. dano mu imiona Flawian-Antoni. – Antonim nazwano po ojcu i matce, gdyż oboje nosili to imie, lecz czemu nazwano go Flawianem? Imie obce w kraju i w rodzinie Majora. Nie przyniosło go też dziecko z sobą na świat – urodził się bowiem chłopiec w ~~[illegible]~~ zimie – a świętego Flawiana mamy w czerwcu. – Różnie to tłumaczono. Mówiono że Major zamiłowany w łacińskiej literaturze dać chciał synowi imie

mówili inni że matka dała mu imie bohatera jakiegoś francuzkiego romansu. – Zwrócono uwagę i na to że major zwał żonę pieszczotliwie „Lanin” – a wyraz ten

nie zdawał się pochodzić od imienia Antoniny. - Przypuszczano
tedy że Majorowa nosiła imię Flawii. - Zapytał ktoś
Majora czemu synowi dał tak niezwykłe imię. - „Czemu?
odrzekł Major, - zakłopotanie rubasznym pokrywając śmiechem -
każdy się przecież nazywać musi, - tak lub inaczej - to wszystko jedno.
~~[illegible]~~
Chybił - trafił - wybrałem: Flawian. Może dobrze będzie. Czyż to
~~[illegible]~~
brzydkie imię? - i zwracał rozmowę na inny przedmiot. -
~~[illegible]~~

Majorowa nie słuchając rad lekarskich wykarmiła
chłopca sama. Flawianek zdrów był i silny - żywy portret ~~[illegible]~~
Matki, na lewej skroni miał jednak znamię przypominające
kształtem ojcowską bliznę. -

W półtora roku może po urodzeniu chłopca a we trzy
niespełna po tajemniczem ~~[illegible]~~ ożenieniu Majora, więcej
gości zaczęło uczęszczać do domu Majorostwa. Major zyskał był
sobie sławę zawołanego gospodarza - zaprowadził u siebie
wyborny chów bydła, staranna uprawa roli niepraktykowane
dawała mu urodzaje a odziedziczona po ojcu stadnina zakupieniem
kilku czystej krwi arabów podniosła się tak dalece że z najpierwszemi
w kraju rywalizować już mogła. - Zjeżdżali się sąsiedzi bliżsi
i dalsi, bądź z ciekawości oglądania wzorowego gospodarstwa, bądź w chęci
kupienia holenderskiej krowy albo arabskiego źrebca, zaradzenia
się w własnych interesach, bądź nakoniec pomówienia o sprawach

publicznych, które po latach odrętwienia i powszechnej martwoty, skutkiem wybuchu emigracji i licznych w kraju emissarjuszów żywiej w owym czasie zaczęły znów ogół obchodzić. – Major stał się każdemu radą i pomocą w interesach osobistych, kierownikiem opinji w sprawach publicznych. – Major był niezbędnym dla każdego z osobna i dla wszystkich razem. Starano się i ubiegano o jego względy i poważanie. Majorowa jednała sobie serca wszystkich. – [illegible] kobiet jednakże nikt dotąd u Majorostwa nie był. Plotki jednakże i wypytywania o ród i pochodzenie Majorowej zupełnie ucichły.

Pewnego dnia w [illegible] r. 183* najniespodziewaniej w świecie zjawili się Państwo Majorostwo oboje z pierwszą wizytą w najbliższem sąsiedztwie. W kilku tygodniach objechali całą okolicę – dwadzieścia i [illegible] domów. – Wszędzie przyjęto ich najgościnniej, najuprzejmiej, najserdeczniej. Nigdzie ani słówkiem nie wspominano o opieszałości ani o powodach tak długiego zaniedbania sąsiedzkich stosunków. Nieświadomy rzeczy mógłby myśleć że Majorostwo dopiero przed tygodniem sprowadzili się w tę okolicę. – Tydzień nie upłynął a dwadzieścia siedm domów sąsiedzkich oddało wizytę w Ławrynicach. Dwadzieścia siedm sąsiadek ubiegało się poczem na wyścigi o przyjazną zażyłość z Panią Antoniną. –

Trzynastego Czerwca, wdzień Stego Antoniego jako wdzień imienin obojga Państwa Majorostwa – całe sąsiedztwo zjechało się do Hawrynicy. – Przyjęcie było serdeczne, szczeropolskie. – Ani śladu sztywnej, wielkoświatowej etykiety. Każdy czuł się jakby wrodzinnym domu. – Niektórzy zdalszych sąsiadów natrzeci dzień dopiero odjechali do domów. – Między odjeżdżającemi nieznalazłbyś nikogo ktoby nie żałował że tak późno do dworu Hawrynickiego zawitał. – Odtąd niezamykały się wrota Hawrynickiego dworu. Dnia niebyło wktórymby ktoś z gości nieprzybył. Hawrynice były jakoby punktem środkowym okolicy wktórym całe skupiało się życie towarzyskie. –

Tak było aż do roku 1842. – Wszystko wiodło się Majorostwu Rybłewskim jak z płatka. – Zyskali sobie już powszechną miłość i szacunek – a zkażdym rokiem wzrastało ogólne dla nich obojga poważanie. – U włościan okolicznych umiał Major serdecznem wkażdem nieszczęściu i strapieniu współczuciem i pomocą zaskarbić sobie przywiązanie a jednem taktu obejściem zdobyć sobie zaufanie ludu tak nieufnego zwykle wobec bogatszych. – Młodzież wykształceńsza kochała go i czciła jak drugiego Kościuszkę. Dla gospodarzy głos jego był wyrocznią. Starzy nawet zatwardziali w przesadach konserwatyzmu ulegali często jego wpływom. – Miłość obojga Państwa Antoniostwa

/.

zdawało się wzrastać z każdym rokiem. Patrząc na nich – mógłbyś myśleć mimo siwiejących (z lekka) włosów Majora że to młode małżeństwo. – Pani Antonina już blisko czterdzieści lat mająca – nie zdawała się mieć trzydziestu – zawsze młoda, piękna, wesoła. – Gdy była potrzeba, poważna jak sędziwa matrona, a otoczona dziewczętami sąsiedzkich domów pełną była poezji i młodości ducha – jakby ich rówieśnica. Nieraz w wieczór zimowy usiadła w gronie panien i czytając im Mickiewicza lub Słowackiego, budziła w młodem pokoleniu miłość ojczyzny i żądzę poświęcenia. – Czytała ślicznie – a głos jej dźwięczny i w najchłodniejszem nawet sercu musiał odbrzmieć echem, najbardziej uśpionego ducha rozbudzić. – Lica jej przytem nieraz okraśniały zapałem – a pełnemi natchnienia i rozumu oczyma piękniejszą była od szesnastoletnich dziewcząt. Nie było swadźby, nie było zaręczyn, wesela, chrzcin, rady familijnej w sąsiedztwie – aby do niej nie zaproszono Pani Majorowej. – Mimo zezwolenia rodziców i skłonności serca dziewczęta za mąż iść nie chciały nie zapytawszy wprzód Majorowej o radę. –

/. Flerianek

Flawianek rósł zdrowo na pociechę rodziców – wiele wielkie do nauki okazując zdolności. –

W gospodarstwie i interesach majątkowych wiodło się Majorostwu nadzwyczajnie. Żniwo bogate nawet w latach powszechnego nieurodzaju, – rezultat wszelkich wkładów i przedsiębiorstw pomyślny. – Na Majora spadła sukcessia po dalekiej krewnej której nawet nie znał; – Dwa duże folwarki przybyło do majątku. Dwa drugie przykupił z dochodów pomnożonych własną pracą. –

Pan Stefan Glińska który jako stary kawaler często brał udział w zabawach młodzieży, przy licznie zebranym razie w zimie r. 1841. zjeździe sąsiedzkim w Hawryńcach trzy fanty pannom zdobyć musiał. Gdy przyszło je wykupić dano mu trzy trudne pytania do odpowiedzi:

Gdzie wiecha szczęścia?
Kto najgorszy na świecie?
Kto ma wszystko czego pragnie?

Na pierwsze pytanie odpowiedział: – W Hawryńcach.
Na drugie rzekł: nieprzyjaciel Pani Antoniny – jeśli ma na świecie nieprzyjaciela (najgorszym na świecie)
Na trzecie: Major Rybkowski jeden tylko na świecie ma wszystko czego pragnie. –

Przyklasnęli wszyscy tym odpowiedziom – Majorostwo tylko weseli i swobodni przez cały wieczór, sposępnieli nagle oboje jakby ktoś niebacznym bolesną serca potrącił strunę.

— Nie przyjaciół? rzekła Majorowa, którzyby ich nie mieli? ~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~ dodała prędko niezdając sobie sprawy z tego co mówi: — a cóż ja dopiero!... Panie Glinicz, pochlebiasz Pan — to niedobrze.

— A ja, czyż niemam już czego pragnąć na świecie? ~~[illegible]~~ zapytał Major ~~[illegible]~~ z bolesną ironią w głosie.

— Czegoż? spytało kilka głosów równocześnie.

— Ojczyzny — rzekł ~~[illegible]~~ z cicha i smutnie pochylił głowę na piersi. — Milczenie powszechne po tem słowie główną przerwało zabawę — a nikt przerwać ~~[illegible]~~ nie śmiał tego milczenia.

Po chwili wstał Major i zbliżył się do żony. Chwycił ją za rękę i ~~[illegible]~~ gorący na jej dłoni złożył pocałunek.

— Ale „mieszka szczęście w Hawrynicach"? rzekł patrząc jej w oczy. — Cóż Panie?

— Mieszka — odpowiedziała z głębi duszy. —

Tak było do roku 1842.

Zjazd na pogrzeb Majora.
Testament: ~~[illegible]~~ Florjance;
Jej ~~[illegible]~~ mąż drugą prawną odbiera Florjankę jako „swego syna" i Matka która zrazu wróciła do swego ... przyjmuje z łaski wielkiej —

Powolnie zabija Florjankę & Pisarz go trzyma aby syna odmówić ...

110

„Pogodny dzień zimowy"

I

Pogodny dzień zimowy — dwudziesty grudnia. ([illegible]) Niema samy, ale po świeżo spadłym śniegu, stroją w okiść wszystkie drzew gałęzie. W drobnych kryształkach skrzą się promienie słoneczne jak w drogich kamieniach.

Przed ganek szlacheckiego dworku, aleją wysadzaną świerkami, zajechała bryczka, zaprzężona parą żwawych mierzynków. Zaledwie stanęła, nie stanęła nawet jeszcze przed gankiem, gdy z niej wyskoczył, młody, przystojny, dwudziesto kilko letni brunet.

— Panicz! panicz przyjechał! — zawołał z miotełką, zdążając ku niemu radośnie, siwy jak gołąb staruszek. I wypadła mu z rąk miotełka, którą czyścił dywanik zawieszony na poręczy krzesła.

Objął go panicz wzruszony i uściskał przyjaźnie:

— Ojciec zdrów?

— Zdrów! zdrów! wyjechał do lasu, gdzie sągi rąbią, ale tędy go już nie widać z powrotem. Tośmy się niepokoili o panicza! czekaliśmy na święta, panicz nie przyjechał i listu nie było!.. Smutno było staremu panu...

— Nie mogłem, mój Wojciechu, nie mogłem. — A cóż zresztą tu słychać w Posiewce? wszystko dobre?

— Ha cóż? smutno, posmutniał nasz pan bardzo od lata, bo już nikogo we dworze. A póki jeszcze żyła nieboszczka panna babcia, to niema do kogo słowa przemówić. choć z nią się przecie rozmawiał, bo leżąc w łóżku, do pokoju jako panna puścić go nie chciała mężczyzny. A teraz to chyba raz w tygodniu kto przyjedzie.... Ale pojutrze to się pewnie goście zjadą, na imieniny panicza, na Nowy Rok.

Wyjaśnić należy że gospodarz tego dworku obchodził imieniny w dzień swego patrona, św. Fulgentego, na Nowy Rok.

— Powiedz-że mi Wojciechu o babce; długo chorowała? wspominała o mnie przed śmiercią!

— Leżała może ze trzy miesiące, prawie przez całe lato. Oj, często panicza wspominała. Innej rozmowy z panem nie było, tylko o paniczu. A ciągle mówiła że osiemdziesiątego roku nie doczeka. a jak doczekała, na trzy dni przed śmiercią, to już była pewna że wyzdrowieje i że do stu lat dożyje. I zasnęła spokojnie rozmawiając z panem przecież [illegible]. Przestała panu odpowiadać a pa

myślał, że zasnęła rozmawiając, jak się to nie raz zdarzało, i odszedł. A ona nie zdrzemała się, ale zasnęła snem wiecznym... Świeć panie Boże jej duszy!...

— A cóż o mnie mawiała z ojcem?

— Z starszym panem i z swoją panną ciągle mówiła o paniczu, że jak panicz prawo skończy, to mu wytłómaczy cały ten proces który jej brat, a dziadek panicza prowadził z księciem Radziwiłłem i wymawiała starszemu panu że tego procesu zaniechał. Cieszyła się, że panicza namówi, aby ten proces odnowić i kazała sobie przynosić z swojego kufra te papiery powiązane sznurkami, to jeden plik, to drugi i przeglądała i nakładała okulary na oczy i ślepała nad niemi, po całych dniach ślepała póki jej sen nie zmorzył.

— A cóż ojciec?

— Pan śmiał się i mówił: „Dałabyś ciotka pokój temu procesowi, bo już dawno przegrany i pretensye od trzydziestu lat przedawnione." A ona się gniewała: „Dziecka własnego nie kochasz, jeśli go chcesz pozbawić milionów. Co ci szkodzi spróbować." A pan: „Ja nie mam na to majątku aby na takie procesa wydawać." A babcia: „Ja Józiowi cały mój majątek zapiszę pod warunkiem aby ten proces wytoczył na nowo." — Pan się śmiał i mówił: „Ciotka zrzekłaś się majątku na korzyść mego ojca i nic już nie masz tylko dożywocie." A babcia na to: „Co ty wiesz! W tych aktach jest wielki majątek. Ja to akta Józiowi zapiszę a pod błogosławieństwem żądam od Józia aby je przeczytał."

— Coście z niemi zrobili po śmierci babki?

— A leżą tam w szafie nieboszczki. Dowiedział pan, że jak potrzeba papieru do podpalania w piecu, to można zabierać. Chciałem kilka razy wziąć parę arkuszy, ale panna Gertruda zaczęła lamentować, że to paniczowi trzeba oddać wedle woli nieboszczki... to i zostawiłem. Owóż niech panicz mógł tam zabawić, bo starszy pan kazał aby panicza umieścić w pokoju babci jak przyjedzie, bo w panicza pokoju teraz gromada...

— Jakto gromada?

— A jakże! chłopom pan oddał na jakieś czytania i jakieś

„kółko." Na stole gazety tam leżą a w szafie książki, organista tam gospodaruje a chłopi się schodzą jak panowie i czytają i rozprawiają... świat się do góry nogami przewraca... bez obrazy panienkiej.... Ale mnie nie do tego...

Roześmiał się wesoło młodzieniec i uścisnął starego sługę.

— Nie martw się poczciwy Wojciechu tą zmianą. Świat się nie przewróci, pomimo czytelni ludowych i kółek rolniczych. To tylko naturalnie nowy rok się zaczyna! Nowy rok... i nowe lata...

— Ot, pan jedzie! pan jedzie!

W samej rzeczy od strony lasu, wzdłuż zamarzłej rzeczki przemknął wózek węgierski, na którym siedział pięćdziesięcioletni mężczyzna o siwym, zawiesistym wąsie, wysoki, barczysty, w lisiurze, z potrzebami, z strzelbą przy boku, a w futrzanej czapce na głowie. Radością rozjaśniło mu się oblicze na widok syna stojącego na ganku, powitał go wesołym okrzykiem:

— Józek!

A za chwilę ojciec i syn wpadli sobie w ramiona.

* * *

Siedzieli przy kominku i rozprawiali. Było o czem mówić po czteroletniem blisko niewidzeniu. Józef kończył właśnie praktykę adwokacką i wydalał się często nie mógł dla oddalenia ojca, zajętego gospodarką na małej wiosce. Kilkaset morgów urodzajnej gleby, dziś szczupły przynosiło dochód a dochodem tym trzeba było opłacić podatki gruntowe, krajowe, powiatowe i dodatki do podatków i raty bankowe i rozliczne inne ciężary i należytości, a wreszcie utrzymać dom i nie zostać w tyle z wydatkami na przeróżne publiczne cele. Nie zostawał też w spełnianiu obywatelskich obowiązków obywatelskich, w tyle p. Fulgenty a przeciwnie przodował w każdym razem usiłowaniu a wielu w powiecie uważało, że go nie uznawał między jednym z najszczerszych ziemian.

Siedzieli przy kominku i rozmawiali. Ojciec i syn podobni do siebie z twarzy, ruchów, postaci a jednakim tętnem biła krew w ich żyłach. Zgadzali się w poglądach, wyobrażeniach, dążnościach. Te same cenili zalety, te same umiłowali zasady, ta sama idea była ich życia przewodnią gwiazdą i celem. W ~~każdej~~ kwestyi ~~[illegible]~~ łatwo było im się porozumieć i zgodzić za jedno.

Po dłuższej pogadance o sprawach publicznych – zeszli do spraw czysto osobistej natury.

– Otworzyłem wreszcie biuro adwokackie. Czas by się się ożenić.

– Ja o tem myślę ojcze.

– Myślisz o tem? – z radością podchwycił stary ~~ojciec~~. – Jakto? czy już wybrałeś? powiedz!

– Wybrałem ojcze i ~~[illegible]~~ pokochałem [illegible] a gdy ją poznasz, pokochasz także.

– Któż ona?

– ~~Córka jednego z twoich dawnych przyjaciół.~~

– ~~W mieście?~~

– ~~Nie, na wsi.~~

– Najlepsze, najpoczciwsze dziewczę wiejskie, wychowane staraniem, piękne jak anioł, niewinne jak....

– Dobrze już, dobrze – zaśmiał się stary – wiem że w twych oczach posiada wszelkie zalety, ale powiedz nazwisko.

– Jutro, Ojcze! Proszę Cię, dziś mnie o nazwisko nie pytaj.

– Czemu taisz dziś? nie rozumiem powodu. Czy ~~[illegible]~~ sądzisz może że nazwisko dość mi się wyda zaszczytnem? ~~[illegible]~~ Wszak ~~[illegible]~~ znasz moje zasady i wiesz że na tem mi tylko zależy aby żona z zacnej jakiej ~~[illegible]~~ pochodziła rodziny a mniejsza o to czy to mieszczanie, szlachta czy chłopi.

– ~~[illegible]~~ Rodzina równie zacna jak nasza

– A więc? nazwisko?

– Nie ojcze – nie mogę ~~[illegible]~~ odważę wyjawić ci nazwiska.

– ~~Śmieszny jesteś Józiu~~ Czemu? Śmieszny jesteś Józiu!

– Dlatego musiał Ojcze zrobić dla mnie pewną ofiarę – ~~[illegible]~~ boję się aby ci to nie przyniosło zmartwienia.. I dla tego nie chcesz mi wymienić nazwiska?

– Ofiarę? z trudnością? Ojcze czy to ofiara Nie rozumiem – wszakże przestałem mnie. [illegible] w twych zamiarach, które mam ci z mojej strony mieć? Czy masz jakie [illegible] usunąć? – Czy o majątkowe sprawy idzie?

115

III

Nie ojcze, póki jak Marynia otrzyma, wraz z moją pracą wystarczy by nam nie zbrakło do ostatniego tchnienia. Tyle po prostu tylko o to, że

— ~~Nie ojcze~~, bez twego zezwolenia i wstawienia się za mną, ojciec panny, nie odda mi swej córki za żonę.

— I to wstawienie się za tobą, miałoby być ofiarą z mej strony? Niepokoisz mnie. Chyba przypuszczasz że to wstawienie się byłoby dla mnie zbyt wielkiem(?) zupokorzeniem?

— Być może że tak — ci się wydawać będzie ojcze.

— Czy to może panna wysokiego rodu, gdzie bym się spotkał z dumną magnatką, która by mi ubliżyć chciała?

— Nie, nie, bynajmniej, to wyłącznie dumnych. Zamykamy się w szczupłym(?) poza naszą sferą towarzyskiej.

— O cóż więc idzie? Niepokoisz mnie swoją tajemniczością! Powiedz że nareszcie!

— Do jutra, ojcze, do jutra!

— Obawiam się trudności z mej strony, mówisz o ofierze? Wiesz, że rad bym chętnie wszystko uczynić aby tylko zapewnić ci szczęście. Powiedz?

— Do jutra! — [illegible] z uśmiechem.

— Może ojciec tej panny, to człowiek wstrętnych mi przekonań? Może uczciwy(?)? Starczyk? Ultramontanin? Kosmopolita?

— Nie, nie! to człowiek natychmiast [illegible] nowej, nawet pragnienia i dumności. (Odwieczny nieznajomy,) I wyciągnął ku niemu ramiona. Uścisnął się. — Powiedz że mi nareszcie, czy ofiarą wstawienie się może za tobą do takiego może?

— A więc rzecz się może?... Czy go znam?

Młodzieniec się zawahał z odpowiedzią. Twarz mu pokraśniała rumieńcem.

— Znałeś go ojcze — odrzekł po chwili. — Byłeś z nim w przyjaźni.

— Przyjaźni?

— Tak! ale od lat wielu zerwały się stosunki....

— Któż to?... — z pewnym zapytał niespokojem.

— Ratował ci życie...

— Ha! Sylwester? Co? Sylwester?...

Kazimierz kiwa głowie, spojrzał na syna i potrzebował jeszcze powtarzać pytania. Wyczytał odpowiedź w jego twarzy.

Doktor. Zmarszczył jakiś czoło wielkiemi krokami i stanął potem przed synem, zawołał:

— Sylwester Córka Sylwestra? Skądże ta znajomość? Skąd?... Co? on zod córki wymaga, abym ja poszedł go prosić?... Jego prosić? Do Zbyszka namówił i chce mnie przymusić do takiego kroku? Do nawiązania stosunków zerwanych? Piękna koligacja!... piękna!... Nie,

to się chyba nie stanie! Nigdy! póki żyję!... Rób co ci się podoba, pełnoletni jesteś — ale mnie tej żony nie przywiedziesz, ja jej (jeśli się tak ocenia to) znać nie chcę i żadnych stosunków z tą rodziną mieć nie chcę!... Rozumiesz mnie?

— Niech się ojciec nie unosi gniewem. Nie stanie się to, czego ojciec nie chce, bo bez zezwolenia się twojego, p. Sylwester więcej nie wiedział...

— Jakto? takiż ci postawił warunek! to bezczelne!..

— To słowo boli mnie ojcze — bo ja p. Sylwestra tak cenię i kocham — jak ojca!

— Jego? jak mnie? cha cha! pięknieś sobie obrałaś przedmiot czci synowskiej! Otóż wiedz o tem, że gdyśmy się rozstawali temu lat blisko trzydzieści, przysięgał mi p. Sylwester że przez całe życie żadnych z nami nie będzie miał stosunków.

— Nie miał ich też. Jam to poznawszy jego córkę starałem się o nawiązanie stosunków z jej rodziną.

— Umiano się o to postarać abyś je nawiązał!... Boże.

— Nie widzę jakaby p. Sylwester mógł w tem upatrywać korzyści. Nazwisko jego nie mniej zacne od naszego a majątek (aby mnie mieć zięciem) od naszego większy.

— Ho, większy! większy! wiem o tem... daleko większy!... A coś? posag ci znaczny obiecano? a z czyjej kieszeni? z mojej czy z twej własnej?..

— Nie umiem sobie wytłomaczyć powodu dla którego ojciec w tak ubliżający sposób wyraża się o człowieku, który ci życie uratował...

~~[illegible]~~

— A więc o niewdzięczność mnie obwinia przed tobą? Nie brak mu na to czelności?... Wiedz tedy, żem mu się za ten czyn odpłacił — wypłacił całkowicie — i nic mu już jestem winien! Nie dość, żem mu się wypłacił ale wypłacam ciągle jeszcze — w tej chwili nawet — słowo dotrzymując słowa i przemilczam o powodach dla których z nim zerwałem stosunki, pomimo niedotrzymania warunku z jego strony, że mi nigdy więcej w drogę nie wejdzie...

— Nie znam tych powodów zerwania i domyśleć się ich nie umiem, ale w każdym razie ciężej go ojciec obwiniasz mówiąc o zamilczaniu tych powodów, niż gdybyś najgorszy przeciw niemu jawnie podniósł zarzut.

IN

„Po wielu, wielu latach, po latach dwudziestu kilku wybrałem się w odwiedziny do starego przyjaciela"

(początek noweli)

Po wielu, wielu latach, po latach dwudziestu kilku, wybrałem się w odwiedziny do starego przyjaciela. Cóż mówię, że w odwiedziny? kiedy to na ślub jego córki. P. Jacek sam mnie zaprosił.

Daleka to podróż dla mnie, przywykłego do jazdy koleją, daleka droga — bo końmi. Łatwiej by mi się było wybrać do Warszawy, do Wiednia lub nawet Paryża, niż w owe lasy rozległe pogranicznego pasu, tak mi zresztą dobrze znane z owych lat, z owego pamiętnego roku — pamiętnego dla wszystkich. W owym to roku gorączkowych porywów, w owym roku właśnie poznałem gospodarza tych lasów, leśniczego, starego Helmera.

Powiedziałem: starego? Wówczas on starym nie był: miał może lat trzydzieści kilka, choć z twarzy trudno było dopatrzeć się metryki. Taką już miał twarz — nieczytelną. Ospowate, piegowate lice niewyraźnej cery, w plamy różowe, białawe, żółte; dziób koło dzioba na czole szerokiem, marsowem, na rozdętych nozdrzach, na policzkach porosłych kępkami rzadkich rudawych włosów. A i na głowie włos rudy i rzadki, krótko obstrzyżony... No, jużci powiecie, że pięknym nie był? Otóż mylicie się: brzydki był gdy miał wzrok spuszczony ku ziemi, ale gdy z pod gęstych, najeżonych brwi zwróciły się na ciebie te jego duże, jasne, piwne, przenikliwe oczy, świecące jakimś tajemniczym blaskiem — to już nie mógłbyś powiedzieć że był brzydki. Jeśli ci imponował niezwykły wzrost jego i silna koścista budowa, to zgodnem a przenikliwem spojrzeniem jego jasnych złotawych oczu czułeś się jakby pokonanym: jakaś tajemna promieniała z nich siła

jeśli nie umysłowej wyższości, to potężnej woli i niezłomnego charakteru.... Czy go widzicie?

Radbym abyście go widzieli z tego portretu wyobraźnią waszą, bo nie ja ale on opowiadać wam będzie tę powieść którą czytacie. Z jego ust ją słyszałem i powtarzam.

Z jego ust. Jak te zaciśnięte wąskie usta otworzył i z szerokich piersi wydobył głosu, toś się zdziwił tym głębokim harmonijnym basem, o tak niskiej intonacji jaka rzadko zdarza się słyszeć. Choćby mówił najciszej, zdawało się że drży powietrze od urywanych akordów ostatniej basowej oktawy kościelnego organu.

A jak opowiadał! Dziwnym jakimś, zwięzłym, lakonicznym urywanym stylem, jakby słów skąpił a krótkość zdań okupić umiał ich dosadnością. Dosłownie opowiadanie zdaniami jego słowami? Nie potrafiłbym. Ani mi to w myśli. Ale mimowoli, mimo wiedzy zatrącę czasem mowę o jego nutę i nadam tokowi myśli taki sam zakrój. Nie moja wina, wybaczcie. Znam pewnego znakomitego oratora niedoścignionej wymowy, który ile razy mówi o swoim przyjacielu, jąkale, sam się mimowolnie jąkać zaczyna. Tak i ja, powtarzając opowieść p. Jacka, rąbać czasem zacznę lakonicznym jego stylem. Już zaczynam.

Ale jeszcze o nim parę słów. Gdy go poznałem — opowiem jak to było — młody był jeszcze naówczas i niedawno żonaty. Śliczną miał żonę i gruchali oboje jak gołębie. Oboje równi byli sobie szlachetnością myśli i wykształceniem. Na dość niskim obecnie szczeblu hierarchii społecznej, miał on jednak wykształcenie wyższe. Nie dziwne — bo on był leśniczym. Majątek miał niegdyś własny, ale będąc wplątany w polityczne wypadki zaledwie zdołał umknąć z życiem, zostawiając rodzinną wioskę na pastwę grabieży. Przemknąwszy się przez granicę, znalazł schronienie u poczciwego proboszcza w najpierwszej wiosce na którą natrafił a dzięki tejże protekcji uzyskał posadę leśniczego w Łuchowcach u starego hrabiego Rogusiewskiego. Na tej leśniczówce go poznałem.

3. 121

W tej samej leśniczówce mieszkał i teraz, w tym samym domu. Ale zaciekawny nie poznałem, gdzie jestem. Jakże byłbym poznał spotkawszy gdzie niespodzianie na szerokim świecie – a do jego domostwa jechałem, zajechałem i nie poznałem. Nie poznałem okolicy nawet. Cóż bo za zmiana!

] Leśniczówka stała niegdyś na małej, zielonej polanie w głębi nieprzebranych borów, których może siekiera jeszcze nigdy nie tknęła. Była to jakby zielona wyspa na Atlantyku – tylko że wyspę dojrzałbyś z daleka, a stu kroków nie dostrzegłbyś w tej gąszczy tajemniczej ani na kilkadziesiąt kroków, dopóki nie stanąłeś pośrodku. Do tej polany jechało się cały bezbrzeżny kniejami, drogą i bezdrożem, to dziką gęstwiną brzóz, osik, leszczyny, to pełną grozy świątynią bukowego uroczyska, to pomiędzy lasem zawaloną, fantastycznym olchowym, po spróchniałych pniach, obalonych, mrugającemi z lewej i mchów kobiercem, pomiędzy złowrogo porosłych rzadką mokradeł, w których grzęzły prawie łachami, a w których bezdennej głębi mógłbyś z końmi i wozem zapaść się bez śladu. W chwilę oś twego wózka jechałeś i jechałeś pośród tych fantastycznie, potwornie sterczących w górę po nad wyschłym bagniskiem olchowych korzeni; błotne ptactwo zrywało się z krzykiem z przed koni, dziwnie w tym odludziu nastrajając się umysł. Zdawało ci się czasem, wśród czarnych chaszczy i zielska, znaczące jakieś wypukanie, to ludzkim głosem niezrozumiałe słowo, to boleśnie trwożnie zniów głuchy jęk z pomiędzy tłumionych wyjąkane słowo, to zniów na zarosłym tataraktem stawisku podrwiących wiatru, potrząsając uschłemi łodygami suwarów szelest niemy i dźwonił dolatując do twych uszu, niby ponęty biłem kruchy ukrytych nahenie a zynią woda strumyka ruchając, który się dławi w mękach wyjścia bełkotała jak konający pomiędzy próbującemi wody przedśmiertnej.] Śmieszne to wszystko przywidzenia i igraszki fantazyi, w której wszystkie tajemnice odgrywa wywołuje wspomnienia podobnych szeptów, krzyków i jęków, zasłyszanych gdzieś w życiu, dziwne i niedorzeczne wszystkie nasuwając obrazy. Broni się człowiek od nich i z całą trwogą rozsądku

otrzą
obleg
ciąż

Ze
Dob
to
wo
a

le
st
za
po
he
be
po sa
Str
D
w
m
I
i ko
po
z
Grób zbl
na
w
ze
we
wielk

pr
sw

otrząsa, ale one się jawią niewołane, i siłą wspomnień i podobieństwa oblegają umysł. I bronić się muszę i otrząsać znowu. I za chwilę znowu. I ciągle tak — do zmęczenia, póki wyobraźnia nie weźmie górę nad ściemniałemi wrażeniami ~~[illegible]~~ duszy.

Takiemi to ostępami i dziczą leśną jechałem wczoraj do leśniczówki. Do dziś dnia po latach tylu pamiętam dobrze, pamiętam szczegół każdy tej wyprawy, jakby to działo się wczoraj. Czas był gorący a chwila ważna. Ważne też było polecenie które wiozłem a w dodatku... parę worków prochu na dnie wózka.

Zbłądziliśmy. Trzeba było zboczyć z głównej drożyny leśnej, aby uniknąć niepożądanego spotkania z nadgraniczną strażą. Zboczyliśmy też i zbłądzili. Gustaw który zastępował w tej wyprawie furmana, znał dobrze te lasy polując w nich nieraz po całych tygodniach. Nie przechwalał się, ale był pewny siebie. A jednak zbłądził. Jechaliśmy bez końca po wertepach, ~~[illegible]~~, ~~[illegible] z moczarami~~ po ~~zapadłych~~ trzęsawiskach, to gąszczą dziką, to pustkowiem. Straciliśmy kierunek, szukali drogi, znaków leśnych po drzewach, z największem wysiłkiem przedzieraliśmy się przez wądoły i urwiska i błędnem kołem wracali w to samo miejsce, zkąd przed dwoma godzinami ~~[illegible]~~ z nadludzkim wydostaliśmy się trudem. I znowu przestrzeń zalana wodą i sterczące ponad nią wykroty i korzenie olch, czarem wynoszące się ponad nasze głowy pokurczonemi, potwornie ramionami ~~[illegible]~~, jakby olbrzymich ~~[illegible]~~ węży i potoczów ~~[illegible]~~, z wyciągniętą chciwie ~~[illegible]~~ szyją czatujących na zdobycz. ~~[illegible]~~ Zbliżał się już wieczór, słońce za las się schowało, czarem tylko czerwonym blaskiem omieszczając wszystko. Głód nam dokuczał, usta paliła gorączka. Brodząc po kolana w moczarach Gustaw ~~[illegible]~~ idący naprzód, ciągnął upadające ze zmęczenia konięta za uzdy a ja z tyłu popychałem wózek i podważałem koła ~~[illegible]~~ ile razy utknęły na pniakach. Wilgotna, gnijąca atmosfera bagniska przygniatała nas od dziwne jakieś chorobliwe uczucie ~~[illegible]~~ [illegible], którego określić nie zdołam.

Położenie było rozpaczliwe. Zdawało się że chyba zginiemy przypłacić nam to przyjdzie. Po całogodzinnem brodzeniu w wodzie, szukaniu płytszych miejsc, kiedy by konie ~~[illegible]~~ przeprowadzić się udało,

zapadaniu w moczar po pas, po pachy, wracaniu tą samą drogą, gdy dalsza w obranym kierunku obserwacja się niemożliwą, udało nam się wreszcie wyciągnąć wózek po oślizgłym gruzowatym zboczu na suchszy jakiś szmat ziemi starego karczowiska, zarosłego gęszczem obszerny. Z zwieszonemi łbami zwolna (odpoczywając co paręset kroków) ciągnęły konie. Śmiertelnie znużony iść dalej nie byłem w stanie. Bezwiednie usuwałem się z nóg na ziemię i usypiałem w tej chwili. Gustaw silniejszy, ujechawszy kawałek drogi, spostrzegłszy moją nieobecność, musiał się po mnie wracać i sprowadzać. ~~Do wózka, wreszcie na jego naleganie~~ Powtórzyło się to dwa razy, wreszcie na jego naleganie wgramoliłem z jego pomocą na wózek i zająłem tam miejsce.

Zwolna jechaliśmy dalej, zdawało nam się że znaleźliśmy jakąś drożynę. Zmrok zapadał coraz gęstszy i gubiliśmy ją co chwila. Suchemi gałęziami i chrustem trzebieży zasłana ziemia nie dozwalała jej rozpoznać. Na grubszych niedogniłych pniakach, niewykarczowanych, dawnego wyrębu, utykał wózek co chwila, podskakiwały koła lub też przechylając się gwałtownie na jedną stronę, groziły przewrotem. Pod wpływem znużenia niezwalczona gnębiła mnie senność; kołysząc się w siedzeniu zadrzemywałem i budziłem się przy każdem silniejszem wstrząśnieniu lub przechyleniu wózka.

Spostrzegłem że zmienia się drzewostan. Wjechaliśmy w stary mieszany las. Pojawiły się graby i dąb gdzieniegdzie rozciągał nad nami stuletnie konary. Zatrzepotało czasem coś gwałtownie w gałęziach. Głosy jakieś słychać było w powietrzu. W górze niebo jaśniało jeszcze wieczornym blaskiem, w dole całkiem już było ciemno. Chybotały się poruszane wiatrem w górze wierzchołki, na dole była cisza, czasem tylko wionęło na nas jakby ciepłe tchnienie zapewne zapachem leśnych ziół. – Zdawało mi się że mnie ten zapach rzeźwi i chciwie chłonąłem go oddechem. Napróżno. Przemogła senność.

Osunąłem się na dno wózka i z głową opartą o siedzisko, usnąłem.

Nie wiem jak ~~..~~ długo spałem. Przy silniejszem uderzeniu koła o jakąś kłodę, ocknąłem się. Zdawało mi się że mnie ktoś woła. Otworzyłem oczy: noc była, w górze świecił księżyc. Wołał mnie Gustaw po imieniu.

— Słyszysz? — zapytał z dziwną jakąś intonacyą. [Gdym się mu odezwał, powtórzył pytanie: [— Słyszysz?....

Wytężyłem słuch i zdawało mi się że słyszę dalekie naszczekiwanie i wycie psów.

— Blisko musi być chata! — zawołałem z radością.

— To wilki! — odrzekł ponuro, ale spokojnie.

— Czy się nie mylisz?

Nic nie odrzekł. Nasłuchiwał. Po chwili popędził konie do dalszej jazdy. Nic nie było słychać.

— Rwały się konie — rzekł, — czuły z daleka. Nie parskać... może nie wilki.

Znowu wycie dalekie dało się słyszeć. Konie zaczęły się szarpać [illegible]. ~~..~~

— Czy potrafisz wdrapać się na drzewo? — zapytał.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, wóz przechylił się gwałtownie i wyrzucony wbok na kilka kroków, ~~..~~ z całą siłą uderzyłem sobą o pień drzewa. Straciłem przytomność i nie wiem już co się ze mną dalej działo....

Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny. Obudził mnie ciepły oddech na mojej twarzy i jakieś dotknięcie wilgotne i Otworzyłem oczy i ujrzałem zwierzęcą mordę — ale nie wilka, tylko ~~..~~ dużego psa, który mnie lizał w najlepszej intencyi. ~~Pogłaskałem~~ Odsunąłem go ręką i spojrzałem wokoło siebie. Człowiek jakiś olbrzymiego wzrostu, zbliżył się i pochylił nademną. Skoro się przekonał że żyję i mam oczy otwarte, rzekł do mnie swoim najniższym basowym tonem:

— Jestem Helmer. [Głos ten zabrzmiał mi w uszach jak wezwanie ocalenia.

Z trudnością wyciągnąłem ku niemu skurczoną okrutnie prawicę.

— Wstań — rzekł. — Musisz się ukryć.

— Czemu? przed kim?

— U mnie żandarmi. Rewizja. Pochwycili twego towarzysza. Ale mi dał znać. ~~Myślał, że się zabił.~~

Próbowałem się ruszyć. Nadaremnie. ~~Wtedy Helmer wziął mnie jak piórko na ręce, dźwigając~~ Od silnego uderzenia straciłem władzę w nogach, zdawało mi się, żem krzyże przełamał. Wtedy Helmer jak mógł najostrożniej pochwycił mnie w ramiona i podniósł. Krzyknąłem z bólu.

— Cicho! – szepnął – mogliby usłyszeć. – I szybkim idąc krokiem w gąszcz leśny, unosił mnie jak piórko.

Dowiedziałem się przez drogę, że Gustaw po wypadku z wozem naprożno starał się mnie docucić i sądził wreszcie, żem się zabił. Tymczasem rozpoznał naszczekiwanie psów a idąc za ich głosem dostał się do chaty Helmera. Tam pochwycili go żandarmi odbywający właśnie rewizję. Udało mu się jednak szepnąć kilka słów Helmerowi o mnie, wózku i workach z prochem, nawet o depeszy zaszytej w krawatce, o czem na wszelki wypadek zwierzyłem się ~~?~~ był Gustawowi.

Sięgnąłem ręką ku szyi aby depeszę doręczyć, miał ją bowiem Helmer bezzwłocznie wyprawić przez granicę. Struchlałem: krawatki na szyi mej nie było!

— Nie bój się. Mam ją. Zdjąłem chcąc cię ocucić.

~~Pod...~~ Niósł mnie jak dziecko może przez jakie dziesięć minut, biegnąc raczej niż idąc. Wreszcie w gęstym zagajniku złożył mnie na murawie i zostawił samego, zanim słowo zdołałem przemówić. Po chwili wrócił znowu. Przyniósł spory tobół mchu, usłał mi łoże, przykrył własną burką.

— Leż tu – rzekł, – idę ukryć worki z prochem, depeszę wysłać. Jutro rano już ich u mnie nie będzie, przeniosę cię do domu.

Sądziłem że ~~d~~ jutra nie doczekam. Powiedziałem mu to. ~~to.~~

— Śmiej się z tego. Będziesz zdrów. Zresztą... wrócę tu jeszcze w nocy... wymasuję cię i opatrzę. Ale nie prędko, aby w domu nie zwrócić podejrzenia.

Nie wrócił jednak. Żandarmi zdziwieni jego nocną wycieczką, którą usprawiedliwiał czatowaniem na złodziejów leśnych

zabawiali się do późnej nocy, nie udając się na spoczynek. Gdy wreszcie posnęli zamknąwszy więźnia swego, Gustawa w stodółce, Helmer ~~sam~~ wybiegł do gajowego, który miał depeszę przenieść przez granicę. Gajowy mieszkał o dobre ćwierć mili od leśniczówki. Helmer nie zastał go w domu, sam więc musiał podjąć się niebezpiecznej przeprawy, która w razie schwytania, jemu jako wywrotowcy bardziej niż komukolwiek groziła śmiercią.

Przeprawa udała się szczęśliwie, z powrotem jednak o mało nie został schwytany i wrócił do domu z kulą w lewem ramieniu. Świt już szarzał. Opatrzył co prędzej ranę a gdy żandarmi dom jego opuszczali, żegnał ich w najlepszym humorze, jakby noc był przespał najspokojniej.

Wtedy dopiero udał się do mnie. Był to zaiste czas ostatni. Ciężko zdjęty niemocą, trawiony gorączką, bezprzytomny, nie poznałem go już. Z pomocą gajowego przeniósł mnie do swego domu i ulokował na strychu w małym pokoiku, ~~na [illegible]~~, którego do śmierci nie zapomnę.

Pod jego i jego żony troskliwą opieką, po trzech tygodniach przyszedłem do zdrowia.

Takie było moje z nim poznanie i pierwsza bytność w jego domu. Związała nas ona węzłem przyjaźni, którego ani czas ani koleje życia zwątlić nie są w stanie.

Przez tych lat dwadzieścia kilka nie widzieliśmy się ani razu. Korespondowaliśmy rzadko i w ważnych tylko wypadkach. W lat kilkanaście po mej bytności u niego posłał syna do szkół i mnie go powierzył opiece. Wtedy zaszły wypadki które mi dozwoliły odwdzięczyć mu się choć w części. Przez jakiś czas ożywiła się nasza korespondencja, ale nie długo to trwało. Syn wróciwszy na wakacye do domu uległ śmiertelnej chorobie a wkrótce potem umarła mu żona. Została mu tylko córka jedynaczka.

Na ślub tej córki teraz mnie zaprosił.

127

9.

List jego był następującej treści

Zakopane 16 maja. Kochany Bracie! Postanowiłem wydać córkę zaraz. Zapraszam Cię na ślub, który się ma odbyć 20 lipca. Nie tylko Cię zapraszam – ale po Twej przyjaźni domagam się abyś przyjechał – i to nie na ślub, ale zaraz najwcześniej. Gdybyś mógł zaraz przyjechać – dobrze by było, ale to pewnie trudno. Potrzebuję przed Tobą wywnętrzyć się z myśli które trochę ciężą. Nie mam już przed kim, wszyscy mi pomarli. I rady Twej chcę zasięgnąć, choć to rzeczy nie zmieni. Co już raz zadecydowałem, to już tak jakby się stało, bom długo myśli ważył i sumiennie. Wszak to o moje jedyne dziecko idzie. Wiem żem się nie zwykł cofać gdy co postanowię. Ale tak mi naraz w domu moim smutno że chyba weselej mi będzie gdy mi i córkę przyjdzie [illegible] zabierze. A naraz kołaczą mi dziwne myśli w mózgownicy że ja na starym pustkowiu zdziczałem i wyzbyłem się uczuć ludzkich, gdy tak postępuję jak zrobiłem z Henią. Ot, i dziś mi tak jest. Żal mi bardzo dziewczyny, która nie idzie za mąż wedle własnej woli i teraz nieszczęśliwą się czuje. Ale ja myślę że z czasem pokocha męża i szczęśliwą będzie – bo to zacny człowiek i z uczciwego rodu i kocha ją szczerze. Mogę mu bezpiecznie dziecko moje powierzyć. Drugiego takiego męża któryby z panną bez posagu się chciał żenić, nie łatwo znalazł. Po szerokim świecie za zięciem uganiać nie będę. A za mąż wydać ją czas. Henia ma lat 22 a w razie mej śmierci niezawodnie niema nigdzie przytułku, ani po ojcu ani po matce niema krewnych, muszę zaś pamiętać o tem że w mej rodzinie niema długowieczności. Ojciec mój i stryj i dziad przed sześćdziesiątką umierali na apoplekcję a ja przeszłego roku, jak wiesz, miałem także już lekki atak. Nie długo mi zapewne czekać na drugi, czas więc nagli. Chcę widzieć córkę bezpieczną od nędzy i poniewierki między ludźmi. A w zbójeckie ręce jej nie oddam. Ale ona tego nie rozumie, co innego jej w głowie a to być nie może – i właśnie aby się nie stało, za mąż wydam ją choć wbrew jej woli i dziewczęcym marzeniom, ale mi jej żal. Rady Twojej potrzebuję, bo wiem że gdy Ci wszystko wyłuszczę, to rada Twoja umocni mnie w przekonaniu że dobrze czynię, to co czynię.

128
10.

A choć utwierdzać cię w tem dla mnie zbyteczne, to radbym aby moje pobudki zrozumiała i uznała choć jedna dusza ludzka. Gwałcić cudzą wolę to rzecz ohydna a cóż boleśniejszego jak krwawić serce własnego dziecka. A jednak choć to złe, to są powody które nakazują mi to złe czynić aby gorszego złego uniknąć. Wiem jednak że Heni serce pęka – toć mi i moje pęka i radbym już gryzł ziemię. Daj Boże rychło, bo mi się już przejadło łykać zatrute łzami powietrze. Przyjedź do mnie zanim pójdę na tę biesiadę upragnioną. Przyjedź na wesele mojej córki, wesołe, arcywesołe wesele. Wroga bym nie zapraszał na nie a Ciebie zapraszam. Przyjedź mój bracie.

Helmer.

— Na pana Marcelego kolej! — odezwał się wesoło kapitan zapalając świeże cygaro.

— Na pana Marcelego! — zawtórowaliśmy wszyscy, ciesząc się prawie z zadumy, w jaką nas wprowadziło opowiadanie Adama. Adam milczał, zwiesiwszy głowę na piersi. Zdawał się bardzo wzruszony.

Doktor spojrzał przez zamarzłą szybę okna, czy już świta — a potem na zegarek. Myślał pewnie o swoich pacyentach.

— Szósta... Za godzinę trzeba jechać na stacyę... Prosimy, prosimy!

Dopalała się nafta w kryształowej lampie, knot przygasał. Gospodarz postawił na stole dwie porcelanowe lichtarze zdobiące jego biurko i zapaliwszy świece, przykręcił śrubkę w lampie i zdmuchnął płomyk.

— Słuchamy! — rzekł, zwracając się do pana Marcelego.

— Słuchamy, słuchamy!

Ale p. Marceli się nie ruszył. Rozparty w wygodnym fotelu, osunął się w siedzeniu i głowę w tył przechylił. Lewą ręką gładził nerwowo czoło i łysinę a prawą złożywszy niedbale na piersi, wybębniał głośno palcami po [illegible] (wyglądającym) [illegible]. Uśmiechem jakimś filuternym, rozciągnęły mu się zaciśnięte usta okolone siwym zawiesistym wąsem — ale milczał. Wzrokiem ślizgał po suficie, niekiedy rzucił wejrzenie na Adama i uśmiechnął się znowu.

— Czas leci! — odezwał się znowu lekarz i spojrzał raz jeszcze na zegarek — czas leci a jeszcze dwa mamy wysłuchać romanse: p. Marcelego i Józia...

Józio, dwudziestoletni młodzieniec zaczerwienił się jak róża.

— Stara gwardya jeszcze [illegible]! — dodał kapitan [illegible] we wszystkie strony [illegible].

— Nuże Marceli! — rzekł gospodarz — ucz najmilej się, wybierz przeżyty lepszy romansik. Ależ miał ich mnie w życiu: — Tomy całe spisać by można.

Zaśmialiśmy się chórem z tej uwagi, która nam się trafną wydała. Adam tylko brwi ściągnął nad oczyma z widoczną niechęcią: może żałował zwierzeń swoich, może się obawiał że Marceli opowiadając teraz bezwzględnie po nim o jakiej historyjce miłostce starokawalerskiej, sprofanuje tem świętość uczucia jakiem

⁋ Łudziłam z razu, że ci tęskno. Wtej
chwili jednak ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ grobowe spostrzeżenie
nie ulegało już dla mnie wątpliwości. Jakie
powód uczucia może ~~[illegible]~~ ono mieć do ~~[illegible]~~ słowa
którego używa ~~[illegible]~~ powracać i kołacze

Tchnęło jego (udane) zwierzenie. Wzrok przez ciąg opowiadania swego utkwiony w ziemię i unikał [illegible] (porozumiewawczego) p. Marcelego, ścigającego go spojrzeniem prawie nienawistnem. Wciąż całego dnia tego, spędzonego na wsi wśród ogólnej harmonii [illegible], kilka razy zdarzyło mi się dostrzec wyraz jakiejś niechęci w twarzy doktora, gdy [illegible] (z uśmiechem) na p. Marcelego. [illegible]

Wtem wnet odwiązały i zaskakanemi oczyma powlókł po [illegible] leżącym stole wokół którego [illegible] (przegawędziliśmy) noc całą. Gospodarz [illegible] wypróżnione butelki i kieliszki, (świadczące o niemałych [illegible]) [illegible] wysłuchanych zaś (gospodarz) [illegible] i [illegible] z nas [illegible] a [illegible] został tam z czajniczkiem i [illegible] szklankami. [illegible]

— No, panie Marceli! zaczynaj! — wezwał go gospodarz, przysuwając [illegible] szklankę herbaty.

— Nie tak to łatwo! nie tak to łatwo! — odezwał się wreszcie p. Marceli, bębniąc po (wyraźnie) palcami.

— Embarras de richesse! — szepnął p. Franciszek.

— Oh, nie... Zdziwicie się bardzo... zawiedzie się [illegible] wasze oczekiwanie... Zdaje się wam, że jako (p. Adam jako poeta) artysta mój cały żywot marzył o ideale lat swoich dziecinnych, to [illegible] otworzył mego zawsze tak szybko zmienia mnie... [illegible] pasowy na gorsie [illegible]. Otóż w tej mierze mylicie się panowie. Może się wam to wydać nieprawdopodobnem, może nawet śmiesznem przy moich siwych włosach, ale ja wam [illegible] powiem iż w tej mierze opowiadanie moje będzie miało wiele podobieństwa do opowieści p. Adama, bo w ciągu moich lat pięćdziesięciu, (ozwanie jak on) raz jeden tylko w życiu doznałem [illegible] uczucia, które godne zwać się miłością...

— A dawno to było? — wtrąciłem. P. Marceli ciągnął dalej.

— Swatano mnie nieraz za młodu, swatano częściej jeszcze gdym się dobił stanowiska i majątku... Ale te kobiety z któremi mnie swatano — albo mi się wcale nie podobały, albo, choć ładne... były niemi, bardzo ładne nawet... były mi tak obojętne jak kosztowne figurki (z saskiej) porcelany, albo też posągi marmurowe. Aby posiadać cenne dzieło sztuki i móc je codzień oglądać w swoim salonie, — któżby nie zapłacił, choćby drogo, choćby bardzo wysoką cenę? [illegible] Ale daj sobie (kraść) [illegible] wyłowić (całe) [illegible] [illegible], oczy wytrzeć — aby [illegible] Venus Milo lub Junonę Ludovisi? [illegible] to posiąść za to (żona) żadne [illegible] dystar nie łatwo kto się zdecyduje. [illegible] — to znaczy [illegible] zdobyć choć [illegible] majątek ukochaną kobietę tak bardzo, aby być gotowym oddać za nią nie tylko krew swoją i [illegible] ... (wytrwać) nić w posiadaniu jej, ale za jedną chwilę ... [illegible] za jeden jej uśmiech świadczący o wzajemności... a dla niej zaciąć, oddać wszystko, (wszystko) ciało i duszę, nawet własne sumienie i nadzieje [illegible]... Uczucie takie chyba niema nic wspólnego ze [illegible] wszystkiemi naporami i zachceniami zmysłów, które idzie do dalszej restauracji, [illegible] i nie o tem dobre [illegible] wytworniejszem [illegible] wtedy tylko smakuje gdy się kuchnię zmienia i co dzień jada co innego. O miłości, podobnych do takiego smakowania

[illegible] Kupujemy dzieło sztuki

[illegible] Targować się [illegible] (amator) [illegible] będzie o warunki — szczególnie jeśli jest finansistą, jak ja. To też targowałem się (targowałem) [illegible] ile razy mnie swatano i nic kupiłem. Nie znalazłem nawet takiej za którą bym dał [illegible] cały mój majątek... tak, był raz dać mogę parę razy, ale to było zamało. Nie chciałem dać więcej: nie kochałem.

opowiadać wam nie będę, bo to są wszystko tajemnice (a myśmy miłości wyprzysięgli opowiadanie co za dziesięć [illegible].)

... Prawda, czasem dłużej którego [illegible] się i na kulki nazwie, albo nas ciągnie żądanie, w ukrytości pani Franciszka — [illegible] zwycięstwa do [illegible] ... ukrytości co odmienieniem wypierałem [illegible] się jeszcze równo [illegible] i zaciągnieniem się pod inny sztandar. Ja tego nie nazywam miłością.

— Oho! a czemu? — zapytał kapitan

— Na to chyba doktor dałby ci odpowiedź kapitanie... fizjologiczną.

— No, nie opierajcie się panowie o teorie miłości i pamiętajcie że czas krótki... trzeba będzie wrócić jeszcze aby się nie spóźnić na pociąg. [illegible] nie chcę umrzeć bezimiennie.

— Ano do rzeczy — zaczął dalej p. Marceli. —

— Było to w roku... — podddał opowiadającemu.

— Nie... tak nie mogę zacząć. Gdybym wam z góry rok powiedział, tobyście nie tylko odrazu domyślili rozwiązania i powodu dlaczego sprawa taki a nie inny wzięła obrót, ale zaczęlibyście dochodzić osób i przewodniczył nawet, które za waszym przykładem wymieniać. Tyle wam tylko powiem, że byłem wówczas... młodym nie dziś, zdaje, ale jeszcze dzisiaj i [illegible] dziś. No, wiecie, wam że jesteście wśród dlatego [illegible]. Tak, jak: żywym, świeżym i zakochanym jak kot szczęśliwy! Ta miłość nie zawiodła mnie dostatecznie? [illegible] prawda że doznałem odmowy. Ale czy wiek mój był jedynym powodem [illegible] odmowy, czy co innego stanęło na przeszkodzie?... Obaczycie. Ja sam właściwie nie wiem, czy dostałem odkosza, czy też dobrowolnie wycofałem się z terenu, który mi łatwo było zdobyć. Czy dobrze postąpiłem czy źle sam nie wiem.

Moja historia podobna jest do historii pana Adama. On się sam jeden tylko wszystkim zachwycał i ja także w tym rozumieniu że on już poznał swój ideał a w rzeczywistości pannie. Jego pomiędzy [illegible] dla starego kapitalisty, [illegible] o czym już dawno myślał wcale. Odważę się przypuszczać, że dostał nie mniej z mnie mojego nie miał zamiaru się żenić. A tu mam różnicę wszakże taką, że pan Adam nie mógł odważyć się oświadczyć i czekał dopóki panna sama się nie oświadczy, a moja panna oświadczyła mi się sama a potem pojęła mnie nie dała.

— Jakto? jakto? — zapytaliśmy wszyscy: — sama się oświadczyła i nie dziękuję ci? Czy nie myliłeś się raczej?

— Nie, nie myliłem się: nigdy nie miewam zamiaru oddać mi ręki.

— A czemuż się oświadczyła?

— To tem właśnie rzecz. Zgadnijcie.

— Trudno... trudno

— Dalej, dalej panie Marceli! czas leci!

[illegible]

[illegible]

([illegible])

132

Powieść na tle wypadków z 1863 zaczęta w Céligny

1. (: Powieść na tle wypadków r. 1863. - zaczęta 1866 r. w Céligny :)

— P, r, a, - pra; c, o, - co; pra co.....

— Dobrze, dobrze...

— ...w, i, - wi; pra co wi....

— Bardzo dobrze...

— ...t, o, ś, ć, - tość: .... e, e, e!...

— No, jakże? Złóż razem.

— ...t, o, ś, ć, - tość: prze-czy-tać.

— Ależ mój Kaziu zmiłuj się na miłość Pana Boga! - Składaj że raz jeszcze.

Kazio skrzywił się jak po najprzykrzejszem lekarstwie, - zamiast dalnego składania spojrzał na przeciągniętą zamyśleniem twarz swego dwudziestokilkoletniego ~~[illegible]~~ nauczyciela i rozgrymaszony zawołał:

— Tak mi się już nudzi! Proszę Pana Kowalskiego, może już będzie dość na dzisiaj?

— Ależ Kaziu, dopierośmy zaczęli!

— Mama mówiła żebym się nigdy długo nie męczył przy lekcji.

— Kaziu, masz blisko lat ośm — a jeszcze nawet czytać nie umiesz. Co inne chłopcy powiedzą...

— Papa mówił Panu Kowalskiemu że jak mi się kiedy nie chce to żebym się tego dnia nie uczył, bo stracę całkiem chęć do nauki.

— Ależ kiedy bo tobie chce się tak rzadko. - Pamiętasz jak na egzaminie u wszystkie w szkółce dzieci w twoim wieku płynnie czytały — jaki to wstyd dla ciebie...

— Ee, co tam! Kasia mówiła że mi niepotrzeba męczyć się nad książkami i oczy sobie psuć — ja zawsze panicz ~~[illegible]~~ i będę miał wieś a tamto chłopskie dzieci.

— Mój Kaziu — pańskie dziecko czy chłopskie - to wszystko jedno: Jak dziecko niegrzeczne i jak się uczyć nie chce i nic nie umie — to czy pańskie czy chłopskie - nikt go nie kocha i wszyscy się z niego śmieją. - Pańskie dziecko i chłopskie takie same ma oczy, uszy, nos, usta, ręce i nogi, a gdyby ci kto twoje sukienki odebrał i w chłopskie cię ubrał - to ktoś by tam poznał czy ty panicz czy nie?...

— Ee już by tam poznali — ja mam rączki delikatne jak Mama mówi — a tamte dzieci mają spracowane i brudne rączyska

— To właśnie pewnie że tamte dzieci pracują. To-wstyd być próżniakiem
— Kto ma majątek – to nie potrzebuje pracować. Papa mama wiesz to nie
pracuje.
— Ale twój Papa uczył się jak był młody. A teraz czy nie zarządza majątkiem?
czy nie dogląda gospodarstwa? to także praca.
— Ee, to Ekonom robi.
— Ale tato mu wydaje rozporządzenia –––
— Tylko raz na tydzień w środę.
— .. Papa czyta książki ...
— Ja nie widział nigdy.
Maurycy westchnął ciężko. – Mój Karolu, rzekł po chwili, Papa i Mama
pisali do Lwowa do mnie abym tu przyjechał – nie na to abym z Tobą czas
tracił na rozmowie, ale abym Cię czytać uczył ... – No, syllabizuj.
— Papa mówił Panu Rewalskiemu (ja sam słyszał) aby ja się najwięcej czytać
uczył – a Pan Rewalski mnie tak uczyć nie chce – ja się zaraz
Papie poskarżę –––
— Syllabizuj – bo ja się poskarżę że się uczyć nie chcesz .. i nie dostaniesz dziś z podwieczorku
— O wa! – Mama mi da. – Mama mówiła Panu Rewalskiemu (ja sam słyszał) – tak mówiła: „Panie Rewalski, niech się mój Karol nie męczy bo zmizernieje i będzie chorować – to się nauka nie opłaci ..“
— Mój Karolu, nie ja Ciebie ale Ty mnie męczysz nie do zniesienia ..
— Papa zato Panu Rewalskiemu płaci. – Papa mówił żeby ja z Panem Rewalskim chodził na spacer do ogrodu jak pogoda – a dziś taki piękny dzień – a Pan Rewalski ...
— Karolu! (siedź grzecznie i nie grymaś a nie drzyj książki palcami. Nie nazywaj mnie ciągle „Pan Rewalski, Pana Rewalskiego Panu Rewalskiemu“ ale po prostu „Pan“. Nazwiska nie trzeba ciągle powtarzać bo to niegrzecznie. (dzieci) przez pada i zawierucha –
— Mama także tak Panu mówi – (i Karol przewracał dalej niezwrotnego abecadła)
— Mamie wolno, a Tobie nie. – A teraz siadaj i czytaj dalej .. tak
— Mama mówi że się tak mówi do każdego co u nas służy a co siada do stołu z nami ... a do Ekonoma to tylko po nazwisku: „Kosiewicz“ bo nie siada do stołu ..
— Siadaj i czytaj.
— Nie będę – nie, nie będę – Pan Rewalski mnie męczy ... I Karol
przerzucał kartki abecadła energiczniej.
— Karolu! – groźniejszym głosem zawołał Maurycy, usiłując
łagodnej swej twarzy surowszy nadać wyraz.–
— O wa! czy ja się Pana Rewalskiego boję, czy co? .. Ja
Pana oskarżę że Pan się mnie dopytuje co Papa robi a co Mama,
./. co

co Mama mówiła a co Papa mówił. — Mama i Papa mnie pytali się (Pan nie wie,) czy Pan Rewalski mnie się o to nie wypytuje... ja Pana okłamię!...
— Tobyś skłamał bo się o to nigdy Ciebie nie pytam smarkaczu:
— Co to znaczy smarkaczu!" Pan nie śmie tak grubiańsko mówić bo (Mama już mówiła że Pan źle wychowany) Pan miejsce straci, a Papa mówił że Panu Rewalskiemu i tak dużo płaci... ja zaraz Papie powiem... ot Papa idzie...
W tej samej chwili słychać było silne zatrzaśnięcie drzwi prowadzących z podwórza do oficyny w których powyższa scena się odgrywała w małym, skromnie a nawet ubogo umeblowanym pokoiku Pana Rewalskiego guwernera w domu bogatego Filipa A. we wsi Wiśniowce w jednym z obwodów wschodniej Galicji.
W sionkach oficyny odezwało się silne tupanie nogami jakby ktoś śnieg lub błoto z butów otrząsał — wreszcie śmiało otworzyły się drzwi a we drzwiach stanął — —
... po twarzy Karola można było poznać że to nie jego godny Papa... We drzwiach stanął młody przystojny mężczyzna w zwykłym wzroście w ciemnej burce na plecach. Dziwnie jasnemi oczyma pełnemi życia i młodzieńczej swobody spojrzał na zmęczoną, znudzoną, bladą twarz Rewalskiego który pochylony nad książką troniem pióra pokazywał Karolowi litery abecadła. Przybyły radośnie postąpił na środek izby, a zdejmując przyprószoną śniegiem baranią czapkę, ruchem głowy zarzucił w tył długie trochę, lśniące jasne blond włosy i rozkrzyczał przy zawołaniu: — Augusie!
Umęczony pedagog oderwał oczy od książki i od rozgniewanego twarzyczką Karola który szymczarz wnet też aż nadaremnie usiłował uśidwania aby się rozpłakać.
— Walku drogi! to Ty! przecież! tandem aliquando!...
I uścisnęli się obaj długim serdecznym uściśnieniem. — Tak byłem niespokojny (o Ciebie! o Was wszystkich)! takem Ci oczekiwał! No cóż? jak tam idzie?
A dodamy dla wiadomości czytelnika że działo się to w pierwszej połowie miesiąca Stycznia 1863.
— Powiem Ci wszystko — Pazienza! — rzekł Walenty rzucając burkę na krzesło. I dodał spoglądając na Karola który ... grymasić ciekawie mu się zaczął był przypatrywać: Czy to Twój elew? zapytał.

/: ...

— Ale tak! odrzekł August ~~[illegible]~~ usiłując stłumić westchnienia które mu się mimowolnie z piersi wydobyło. — A matka twoja? a siostra?
— matka cierpiąca, jak zwykle; Basia zdrowa. — Kazały ci obie najprzyjaźniej pozdrowić. — Twoich nie widziałem
~~— Ale tak — odrzekł August z westchnieniem [illegible] pod brodę~~
ale wiem że, obie zdrowe. — Opowiem ci wszystko, ale może skończysz wprzód z twoim pacierzem?
— Mój Kasiu, (rzekł August głaszcząc go pod brodę) widzę że nie masz dziś wcale chęci do nauki — daję ci ~~[illegible]~~ wakacye, ale pamiętaj żebyś się za to jutro gorliwie uczył. Weź futerko i szalik: ~~odprowadzę~~ cię do Mamy.
Kasiowi rozjaśniła się ~~krągła~~ jak jabłuszko twarzyczka — pokoczył co prędzej do futerka i śmiejąc się grzeczno-filuternym uśmiechem, zawołał:
— Jabym teraz miał ochotę uczyć się, ale Pan Kowalski ma gości!...
Augustowi lekki rumieniec przebiegł po bladej twarzy — widocznie wyczerpywał mu cały zasób cierpliwości. — Kasiu, rzekł wolniej spokojnie — całą godzinę grymasowałeś i wymawiałeś się od lekcji: skąd że ci tak nagle przyszła ochota? Nie wierzę ja temu. Ale, chcesz? — siadajmy. — Przebacz mi ~~Walku~~, — za półgodzinki skończymy. Siądź tam przy stoliku pod oknem i baw się jak możesz. Masz tam Macaulaya, Buckl'a, Mochnackiego — Ale, ty poezje wolisz: ~~[illegible]~~ Słowackiego tam leży na szafie — poszukaj.
~~Walenty~~ Walentyny wzruszył z lekka ramionami — usiadł przy stoliku — (jakiś uśmiech przebiegł po twarzy) rozłożył przed sobą ~~[illegible]~~ poemat Słowackiego — obyczajem swoim wstrząsł głową zrzucając tym ruchem ~~czoła~~ długie swe włosy i począł czytać. Książka ~~otworzyła~~ się samaz na kartce którą ~~[illegible]~~ prawdopodobnie właściciel ulubioną, ~~[illegible]~~ (bo widocznie często w tem miejscu była otwieraną)

... „Bóg sam wie tylko jak mi było trudno
Do tego życia co mi dał przywyknąć,
Iść codzień drogą rozpaczy odludną,
Codzień uczucia rozmarzać, czuć, niknąć.
Codzień krainę mar rzucony cudną
Powracać między gady — i nie syknąć,
Codzień myśl jedną rozpaczy zacisnąć
Tę myślą modlić się — i nie przeklinać...

Oo i puklerzy gwiazdy lazurowe
I zachodzące za morzami słońce
I jedno serce ludzkie †... Lecz to nowe

† Tu Walenty westchnął mimowoli

~~[illegible]~~
Głóg dla mojej kobiety — te cierpiące...
Miłe serce — alba....

— P, r, a, — pra; c, o, — co: praco; w, i, — wi .... zaczął tymczasem płaksiwym już głosem syllabizować Kazio. Walek przestał czytać — ~~spojrzał~~ (ciemnym) przez okno w zaglone, sine niebo, — i myśl jego uleciała gdzieś daleko ~~[illegible]~~ przy nieporównanej (Kaziowego) harmonii syllabizowania, wypaliwszy przez drobny (błąd) wyjątek. Lecz harmonja ta jakby żelaznym łańcuchem najprozaiczniejszej ~~[illegible]~~ rzeczywistości ściągała ~~[illegible]~~ go z powrotem na ziemię. — Litery i zgłoski wymawiane ślamazarnie

przez Kazia – to były niby ogniwa tego łańcucha. – Za pozwoleniem przesadne to cokolwiek porównanie – niech się nie razi szanowny czytelniku – nie sam je wyroił – t. j. nie ja Twój sługa, autor niniejszej powieści, ale rozmarzony i excentryczny poniekąd tenże Walek, który westchnął ciężko, pomyślawszy że na tym piekielnym łańcuchu (zwojnym z sylab) przykute dnie żywota jego przyjaciela lat najmłodszych i najserdeczniejszego niegdyś (szkolnego) kolegi. + „Ale czemu on to znosi? (myślał Walek) Gryzmoły takiego dzieciuka! czemu nie zmieni miejsca? On, ze swemi zdolnościami – czemu nie przeniesie się do miasta, gdzieby mógł być tak pożytecznym. Szczególnie w tej chwili! w tej chwili właśnie! – Biedny Gucićko! taki wesół niegdyś – trzpiot – pusty najweselszy z nas wszystkich – jak on pobladł wyzmokły, wychudł. Jak mu się twarz przeciągnęła. Zpoważniał, spoważniał widocznie!” – I spojrzał Walek w sympatyczne rysy Augusta w samej rzeczy pełne wyrazu dziwnej jakiejś melancholji. „Miałożby być prawdą co mi opowiadano wmieście? – pomyślał Walek i mimowolnie przyszły na myśl świeżo co odczytane wiersze:

„i pustyni gwiazdy lazurowe,
Zachodzące za morzami słońce,
I jedno serce ludzkie ....!? Nie jedno, ale jak mi mówiono we Lwowie – dwa naraz? Eh, to niepodobna... Coś jednak w tem jest. (On tak niecierpliwy z natury) On z tak wyrafinowanem „aż do przesady posuniętem uczuciem godności własnej ...” W tej chwili August ocierał pot z czoła i rzekł: „Wiesz Kaziu, jeszcze nie miałem ucznia któryby tak kaprysował” – Papa Panu Rewalskiemu za to płaci! odpowiedział na to Kazio (bez namysłu) aż podskoczył na swem siedzeniu z oburzenia – oczekiwał odpowiedzi – obawiał się nieledwie gwałtowności – ale August pobladł tylko bardziej i spuścił wzrok powieki jakby unikał badawczego wzroku przyjaciela. – „No Kaziu – uważaj – (rzekł drżącym głosem) tu! – czytaj że: 2, 1, 0 ....”

– „Coś w tem jest, wątpić niemożna! Dawać sobie jeździć po nosie takiemu dziecku – i w sposób tak dotkliwy – najboleśniejszy wyrafinowany nieledwie – dziwna rzecz zaiste! I kto? August? mój August – mój lew niegdyś nieokiełzany! – Szarpną go to trzyma jakaś tajemnica – Wyrwę go z tej przepaści – wyrwę na Boga! – skarlałby mi tu, znikczemniał! –” I zapomniawszy o prośbie Augusta aby nie przeszkadzał mu w wykładzie najszlachetniejszej umiejętności

+ Kazio tymczasem przypomniał sobie z całym zapałem skrzypców, mówiąc o zdolnościach na których nauczycielu z takiem lekceważeniem, które okazywał obrońców, że to nad prosty kaprys dziecka, aż wpadł ten w taki humor, nie wiedział, August tak strasznie

opowiadania, Walek rzucił na stolik książkę którą trzymał w ręce i wielkiemi krokami począł przechadzać się po pokoju. –

– Walku! Walku! zreflektował go August

– Co takiego? pogrążony w myślach zapytał Walenty, niedomyślając się o co idzie. –

– Nie przeszkadzaj.

– Mógłbyś już przestać – rzekł zniecierpliwiony, prawie z gniewem.

– Niemożę. Siadaj. Bądź cierpliwy! Tu spostrzegł August że jego gość zabiera się do zapalenia cygara – ale nie pal teraz, proszę cię – bo kanarkom dym szkodzi. – Walek cygaro rzucił na stół i prawdziwie byłby musiał być jeszcze jakiś czas cierpliwym i słuchać jak karzeł wyjąkiwał literę po literze – ale wybawił go od tej moralnej tortury wygalonowany lokaj który wszedł w tej chwili:

– Pani Hrabina kazała Panu Gubernerowi powiedzieć żeby już panicz przyszedł do podwieczorku – a żeby Pan Guberner pamiętał żeby mu szyję dobrze szalem owinął.

Tak skończyła się lekcja ku wielkiemu zadowoleniu ucznia i nauczyciela i wreszcie Walentego. – August ubrawszy mała w strojne futerko aksamitne i okręciwszy mu szyję szalikiem wyszedł z nim, aby go odprowadzić do głównego domu zwanego pałacem i oddać w ręce mamy. – „Wrócę za chwilkę!" rzekł odchodząc Walentemu. – Ale chwilka ta wydała się Walentemu zbyt długą. Nachodziwszy się do woli po pokoju – zasiadł znowu do czytania, – w głowie było tyle myśli, w sercu tyle uczuć które co prędzej pragnął przelać w piersi przyjaciela – toż niesporo mu szło czytanie – wyjął z kieszeni puszkę z tytoniem, skręcił papierosa i zapalił. † Do chwili gdy mu wpadła jakaś myśl jakaś najdowcipniejsza – rzucił się do książek Augusta na stoliku i szafie zebranych. Zdaje mu się że chciał z wyboru dzieł poznać kierunek umysłowy przyjaciela. – Buckle był pełny notatek, – Morlinaski zapisany uwagami na marginesach. Zrentę Supińskiego, Skarbek, kilka dzieł ekonomicznych francuzkich i niemieckich. Milla złota książeczka o Wolności. Kanta między na półce wypadały dzieła przyrodnicze widocznie pilnie studiowane: Geologja Lyell'a, Fizjologja Molleschotta, Vogta odczyty i inne. Nakoniec kilka nowych dzieł francuzkich treści filozoficznej: Aug. Comte, Littré, Michelet Cournot, Renan, Simon, Vacherota „La democratie" i t. p.

† wydmuchiwał zadumany duże kłęby dymu, marszczył przytem czoło, ściągał brwi gniewnie, uderzył nawet raz pięścią w stolik z niecierpliwości.

Sierocy'a „Listy"

– Poezja poszła w kąt – zawołał Walek – hm, hm! – i spuścił smutnie głowę na piersi – ./.

a o Strategji, taktyce i naukach wszystkich nad którą dawniej tyle czasu trawił – widocznie zapomniał zupełnie. Hm, hm! Ani Regulaminu nawet nie znajdziesz u niego! – ~~[illegible]~~ – Co się stało z mego Augusta! co się stało! Ekonom polityczny? Filozof materjalista? – Co to znaczy? co to znaczy?

Powrócił August i stanąwszy przed zadumanym Walentym, milcząc wyciągnął ku niemu obie ręce. Walenty machinalnie podał mu swoje. I tak stali jakiś czas przed sobą – mierząc się oczyma – jakby chcieli wzrokiem odczytać nawzajem wzajem jakie tam czas wyrył ślady, jakie w głowach ~~[illegible]~~ wśród kilkomiesięcznego niewidzenia zrodziły się myśli, jakie przez serca przewracały uczucia. Ciemne oczy Augusta głęboko osadzone spokojne były ale pełne wyrazu dokumnego skupienia ciemne zmrużone. – Czy pracą zmęczone powiekami? czy bezsennem ponocnem dumaniem? Daremnie Walek silił się odgadnąć. Siwe, jasne oczy Walka – pełne nieskrępowanego życia i swobody, w których każde uczucie każda myśl jak w czystej odzwierciadlały się krynicy, czytelna nawet niepowołanemu, tym razem niepokojem były i pełne ~~[illegible]~~ przybrały wyraz. jakby z niedowierzaniem spoglądał na gładkie, wysokie ~~[illegible]~~ wypukłe czoło Augusta – ~~[illegible]~~ przed którym odtąd wszystko w życiu uczynić nad tajnego, – jakby z boleśnem wspomnieniem i obawą razem. – August zdawał się odgadywać myśl przyjaciela – uśmiechnął się i rzekł:

– No, teraz siadaj mój drogi – i opowiadaj. Teraz jestem wolny. –

– Ty – wolny? – i wzdrygnął się roześmiał, szydersko a boleśnie, Czyż może być większy niewolnik od ciebie!

– ~~[illegible]~~ Hm – tak poniekąd słusznie. Quem dii odere – pedagogum fecere. Ale o tem niemówmy. Na to nie poradzimy ani ty – ani ja. –

– I owszem – przeciwnie: – mówmy o tem a poradzim. Ty sam poradzisz jak zechcesz. Byleś chciał. – Coż ci tak wiele każe zatracić to miejsce które cię niszczy i gubi moralnie i fizycznie, – bo wiecie jakoś zmizerniał, wychudł, jaka znudzona i zmęczona masz postać – jak wracasz Kapitulnych, jakie masz zapadłe i podsiniałe oczy. – A moralnie myśl się wcale od Erebu

Ależ jakiś – zdrętwiałeś! – zhartniałeś! – zdrewniałeś! – Nie jakoś typ jakim byłeś. – To nie Ty. Nie poznaję Cię Auguście! –

— Hola-hola – nie feruj tak rychło wyroku. Audiatur et altera pars. Niechże się oskarżony broni.

— Tu nie ma obrony. Corpus delicti na twojej twarzy, w twojej całej postaci, w twoich ruchach, w twoim [illegible], w tem co mówisz, w twoich książkach na stoliku – we wszystkiem. Tu nie ma tłumaczenia. Jesteś skazany –

— Że zbiegu okoliczności? dodał August śmiejąc się.

— Nie żartuj i nie śmiej się – bo to zupełnie nie przystaje do twej dawniejszej fizjonomji.

— Rozgrymasiłeś się mój chłopcze drogi jak Kario. Czegoż chcesz odemnie? Sądziłem że będziemy mówić o tem co nas obu w tej chwili najbardziej obchodzi – o sprawie naszej – a ty zacząłeś od jakichś apokalaktyntosis na [illegible] [matczyną mówką. Dobrze więc – bo widzę że cię Kuzynie uparty nie zwiodę z tego tropu: – wyczerpmy tę kwestję – wypijmy też przelićmy do dna jeśli taką masz do niego „zachciankę" jak się wyraził nieboszczyk „Przegląd." – Czegoż chcesz odemnie?

— Nieboszczyk Przegląd że wypadki przeszły (wyraził się gdzieś w artykule wstępnym) bez śladu „jak halba piwa przez gardło" – a ja patrząc na ciebie myślę że i twoje przeszłości – twoje zamiary, projekta plany...

— A więc nie mnie oskarżasz, ale siebie samego: że tak myślisz o mnie..

— A więc nie?

— Skądże te przypuszczenia? – gdzie dane na których opierasz takie wnioski?..

— A więc pewno nie? (i rozjaśniła się twarz Walka)

— Mój drogi!.. czy dlatego że źle wyglądam, jak mówisz? No, bom niezdrów.* jak wszystko – Czy dlatego że mam oczy podsiniałe jak się wyraziłeś? Wiele czytam po nocach. – Sądzisz może że tu rozpustne – [illegible] wiodę życie? – nie? – Czy to że mam znudzony wyraz twarzy jak powiedziałeś? – Dalej drogi, ale przy lekcji abecadła trudno się bawić – a prócz [illegible]! Wierzaj mi że z Buckle'm, Mill'em, albo z „Panem Tadeuszem" w ręku wcale się nie nudzę. – No, dość o tem. Powiedz że mi Ty teraz: czy byłeś tam? –

* wszak wiesz jak liche mam zdrowie.

— Wymijasz kwestję, – chcesz mi się wyśliznąć jak węgorz stary, chcesz mnie zbyć czem bądź! [(i pogroził mu palcem) Nie tak bratku. Najprzód

1/3.

3. //

Najprzód odpowiedz mi na to pytanie: czy chcesz być ze mną zupełnie szczerym – tak jak dawniej? Czy będziesz wobec mnie takim jakim byłeś? Żadnych tajemnic między nami?...

August zamyślił się – widać było w twarzy pewne wahanie – jakby się w duchu obliczał z jakąś trudnością w daniu tego przyrzeczenia.

– Więc nie?! (zawołał Walek ~~[illegible]~~ o ile zdołał najspokojniej, bez mimowoli w tej chwili przegryzł zębami cygaro które trzymał ~~[illegible]~~ a zatem: nie!... Dobrze że jesteś szczerym... (wołał) ha, ha dobrze. – I czuł że urwał się wątek ~~[illegible]~~ między nimi, że nawet ~~[illegible]~~ możliwość dalszej ~~rozmowy~~ – to wszystko z czem przyjechał do Augusta, co wiózł w piersi, co go palił wydobyć ~~[illegible]~~ musiało tam niepodzielone pozostać nazawsze... „Ha dobrze, dobrze że jesteś szczerym...” powtórzył raz jeszcze.

– Jestem szczerym – rzekł wkońcu August – i moje namyślenie się miało być dowodem że takiego ~~[illegible]~~ przyrzeczenia nie daję lekkomyślnie, – a o ile go dać mogę – to daję i dając żądam szczerości: Żadnych między nami tajemnic – o ile one ~~mnie~~ samego dotyczyć się mogą...

Walkowi rozjaśniły się oczy...

– „...mnie samego” (powtórzył) – rozumiem, rozumiem. To jest o tyle, o ile nie wiązałoby się z kim drugim... rozumiem: tajemnice sprawy... związku (dodał ciszej) (czy wiele nas tu słyszy?) – ah, dobrze! to niepotrzebne zastrzeżenie z twej strony (zawołał z radością) i ja tak samo – i ja tak samo! (śmiał się znacząco i ściskał rękę Augusta)

– Mów ciszej (rzekł August i wskazał na drzwi sąsiedniego pokoju) wprawdzie tam nasz mieszka – ale ostrożność zawsze nie zawadzi. – Ale wracam do rzeczy. Nie zrozumiałeś mnie. Nietylko takie ~~[illegible]~~ milczenie między nami mimo zupełnego zaufania, gdzieśmy danem słowem do milczenia zmuszeni – ale tam gdzie rzecz mogłaby odsłonić tajemnice trzecich osób...

– „...trzecich osób”? (powtórzył Walenty pytającym tonem:) ~~[illegible]~~ ah, rozumiem! (i – z uśmiechem spojrzał w oczy Augusta:) „...trzecich osób”? (powtórzył raz jeszcze z ... głosem jakby pytał sam siebie czy on wobec jakich „trzecich” nie związany obowiązkiem milczenia) Nie – ja się niepotrzebuję wobec

+ Przyjaciele których przyjaźń rozwiązał czas lub rozerwały koleje życia, zeszedłszy się nie wiedzą nigdy o czem mówić ze sobą i jak mówić do siebie. – Walek czuł że

Ciebie wiąże tą klauzulą, – ja nie znam „trzecich osób" – a o mojej ~~jedynej~~ „trzeciej" Twoje cośś wszystko powiedział, wszystko, wszystko – boć to nieletety tak mało! tak mało! Ogranicza się wszystko na kółku stwarz – i to nie sam-na-sam – bo ~~[illegible]~~ mi myślę o tem.

To którą wiesz od dawna

Walek się zadumał. – Pierwszy o kim ty mówisz. Co do ciebie, – odpowiedź Ci znam, zmieniłeś się ta trzecia osoba o tem ⊕

~~[illegible]~~ – Ależ ty – ty Gucin ~~Kochanie~~, skąd tobie owa trzecia osoba? ~~[illegible]~~ Czy mi przynajmniej powiesz jej nazwisko?..

August zaśmiał się gorzkim jakimś śmiechem. –

– Ależ Walku drogi, rzekł, czyż ta trzecia osoba ma być koniecznie jużci tylko tą, którą ~~[illegible]~~ nazywają w poezji i powieściopisanie „Ona"?

– Nie wypieraj się, nie wypieraj, (wołał Walek) Przyrodni krótka na Matyska!... Ależ zaspokój już nie moją ciekawość ale moje obawy – i powiedz: wszakże to nieprawda co słyszałem we Lwowie o Tobie? że ty a one idzie osoby – nie o jedną...

August zmieszał się i pobladł widocznie...

– ~~Nie rozumiem~~ – Cóżeś przeto powiedział? – co mówią o mnie we Lwowie? – pytał natarczywie.

– Cha, cha, cha, cóż się tak mieszasz? prosta plotka i nic więcej....

– Ale jaka, jaka?.. pytał August coraz więcej zmieszany. (Wargi drżały mu konwulsyjnie.)

~~Walentego~~ zastanowiło (na chwilę) to pomieszanie ~~Augusta~~ – lecz wkrót wybuchnął ~~głośnym~~ śmiechem i zawołał:

– Ah pojmuję, już jako zrozumiałeś (wzmianki mojej że tej) plotkę że ~~o dwie~~ osoby tu idzie. Nie – nie, – nie tak skandalicznego. – Oto mówią po prostu w tym domu, podobno że w jego żonę strzała – „guwernantki" i jej nauczycielki. – Prawdaż to? ~~[illegible]~~

August odetchnął (głęboko), jakby ochłonął ze strachu. – Ależ bajki, bajki wierutne! zawołał. Pani Hrabina ze swej wysokości ledwo raczy spojrzeć na mnie biedaka – a ~~Guwernantka~~ – Panna Teodolinda, zacna osoba ale wcale nie do zakochania. – Skąd mogła powstać taka bajka? Nie pojmuję.

(Przestarzała Panna Celestyna – to zawszeby prędzej na myśl mojej* Dzienta – nie w moim guście)

– A wiesz ~~[illegible]~~ w kim że?.... August znowu gorzko się zaśmiał.

– Ależ w nikim, w nikim na świecie – zaręczam ci – o innych wcale „trzecich" osobach mówiłem.

– Nie nie pojmuję – rzekł Walenty po chwili namysłu.

– I nie staraj się badać naprożno. Proszę Cię o to.

– Dobrze, dobrze; ale teraz zacznę pytania na inny temat.

– Słucham Cię.

– Powiedz mi, rzekł Walek patrząc mu w oczy, dlaczego nie porzucisz

⊕ z mej razy przynajmniej:... – Eh, Ten to wielkiej miłości prawdziwie, to było dziecinstwo... zawołał Walek – Ale teraz to wołam jak Archimedes „znalazłem! Heureka! Znalazłem malowany ręką prawdziwie – Nie żarty, z największym mówię wesół! – Oh, przyjdzie prawdziwa – ostatnia – jedyna! Marzyłem! – Ale potem o mnie!... [illegible]

* Zatrzymał się może, bo tylko oczekiwanie [illegible]

⊕ [illegible]

posady która widocznie jest nieodpowiednia dla niej, która ją widocznie wyczerpuje i niszczy moralnie – która jest prawdziwą torturą ducha dziewczęcia, dla cztowieka [illegible] pojęć i dalszego ~~całego~~ życia? Dlaczego nie porzucisz domu w którym (jak służącym i [illegible]) jesteś wciąż ze wszystkiego – nie umieją Ci należycie ocenić i uszanować, nie przyznają Ci stanowiska jakie Ci się należy? (Wnoś w tym domu guwerner albo guwernantka nigdy nie są czymś więcej nad kwartał?..)

– Czyż może być zawód piękniejszy, szczytniejszy od nauczycielskiego? – odrzekł na to sentencjonalnie i z nienaturalnym jakimś deklamacyjnym ~~[illegible]~~ August, usiłując nadać swemu frazesowi oklepanemu akcent głębokiego przeświadczenia o jego prawdzie. –

~~Walek~~ zdawał się urażony takim brakiem szczerości ze strony przyjaciela

⊛ – Zawód (nauczycielski – zawód zacny) piękny – ale tam gdzie uczeń zawisł od nauczyciela a nie nauczyciel od ucznia. Gdzie taki malec jak Karol nie ma prawa wodzić swego preceptora za nos, lekceważyć go i obrażać w najdotkliwszy sposób. Zawód piękny (tu chwycił Augusta za rękę, jakby chciał mu sam (nie tam gdzie nauczyciel wobec wyższego wykształcenia, jest niańką, kamerdynerem) najboleśniejsza zadać ranę:) ale nie tam gdzie połączony (zawód ten) z upokorzeniem, z poniżeniem ....

Ręka Augusta zadrżała z lekka w dłoni przyjaciela... chwilę czekał odpowiedzi.

– Marnujesz młodość! (mówił Walek dalej), marnujesz czas, siły, zdolności, zdrowie; depczesz sam pod nogami godność własną...

– No – przesadzasz! przesadzasz (z twoim uczuciem godności). Zapewne że u nich (tu) zbyt nie honorują ale i to samo byłoby w każdym innym domu [illegible]. A tu zresztą w innych względach lepiej niż gdzieindziej... Ot i czasu wolnego mam, tyle i....

W tej chwili wszedł spoza tenże sam lokaj i ~~[illegible] [illegible] [illegible] przychodził był po Karola~~ i rzekł: Pan Hrabia potrzebuje Pana Gubernera: – kazał powiedzieć żeby Pan zaraz przychodził. –

– Idę natychmiast, odrzekł August chwytając za czapkę z pośpiechem.

– Czekaj! (Tam Cię potrzebują, ale czekaj!) rzekł mu Walek biorąc go za rękę. Jedno słowo. ~~[illegible]~~ ~~[illegible] z tego [illegible] się z nauczycielstwa [illegible] się.~~ Wiesz i widzę jako Ci tu jest. – (Nie tłumacz się. – Powiedz tylko) Czemu tu zostajesz? – Czyś ty tu ~~[illegible]~~ zakochany?..

~~August~~ wzruszył ramionami: – Tobie tylko romanse w głowie. (Mówiłem Ci już nie raz: kobieta bez majątku, jak ja – ani się żenić, ani nawet kochać nie godzi.)

– Więc? Więc czemu? No, gadaj: słuchaj, Wacku. Krótko a węzłowato.. Tak łatwo mógłbyś inną znaleźć posadę we Lwowie. ~~Jesteś~~ ~~teraz~~ ~~[illegible]~~ Tam niezbędnie potrzebny! (Musisz jechać ze mną!) (Przyjechałem po to, chcę Cię zabrać. – Jesteś tam niezbędny. – rzekł z zapałem)

– Ja – to czemu? ... – Ale puść mnie – potem pomówim.

– Nie, nie. Bądź znowu z godzinę czekał na Ciebie – chcę widzieć ~~aby~~ raz zakończyć tę rozmowę. Twoje stanowisko upokarzające

i w tym

⊛ W tej chwili ~~[illegible]~~ drzwi na oścież przedtem i ukazała się w nich głowa tego samego lokaja który przychodził był po Karola, – „Pan Hrabia prosi Pana Gubernera” – Karol [illegible] i [illegible] wszedł nawet, ile [illegible] – Walek [illegible] w Augusta [illegible] odpowiedzi: – Przyjdziemy [illegible] [illegible]

w tym domu spokoju mi nie dali. Chcę wiedzieć teraz, zaraz – bo czekać godzinę na usprawiedliwienie twoje obej mi nie – to dla mnie strasznie długo!

– Mój Walku drogi! Jesteś jak dziecko niecierpliwy i kapryśny w twych zachciankach. – A więc krótko: Jeśli po to przyjechałeś aby mnie zaciągnąć do biurowa wir warszawskich robót – to przyjechałeś na próżno. (Nie pojadę. To moje stanowcze słowo. Nie pojadę. – Zostaniesz na próżno.) Ideolog jesteś. Przydasz się wam tam na wiele nie przydam – a posady takiej jak ta nie łatwo znajdę: tu mi płacą 600 guldenów i mam światło, stancję i pranie – a gdzieindziej nie dali by mi i 400. – Taką cenę warto czasem znieść, jeśli kaprys pozwoli.

– Jakto? żartujesz chyba?

– Ale z największą pewnością takiej posady nie łatwo bym znalazł..

– Żartujesz mój drogi! Więc ty, ty mógłbyś dla tych dwóch guldenów znieść upokorzenie ciągłe? Ty? Nie wierzę! – –

– Ideolog! Jak się prędzej oswoisz z życiem (rzekł August z przekąsem) to się przekonasz że dwóch guldenów to nie mała rzecz – – –

– To mówisz na serjo? (Walek wypuścił z rąk swej dłoń Augusta)

– Najzupełniej. – (rzekł August swobodnie) A tymczasem przez jego twarzy nie drgnął ani jeden muskuł wyrażającego żartobliwego usposobienia. August już był przy drzwiach i chwycił ręką za klamkę. – Walek, któregó twarz cała oblała się rumieńcem oburzenia czy gniewu – a potem zamarła nagle w jakiejś pokorze – nagle przyskoczył raz jeszcze do Augusta i obejmując go wpół, ze przyjacielskim uśmiechem zawołał, nadając głosowi swemu prawie kobiecą miękkość

– Niedobry, niewierzę żebyś tak się zmienił. – Drażnisz mnie Auguście – i ty nie byłeś nigdy w ogóle.

August niecierpliwie wzruszył ramionami. – Walek już męskim barytonem – i wyprostował się i patrząc ostro przyjacielowi w oczy: Auguście! – jeszcze raz cię pytam: czy na serjo to mówiłeś?

– Ależ na serjo! Cóż w tem tak nadzwyczajnego, strasznego?

– Ty masz jakiś tam kapitalik – ja nie mam nic. Trzeba przecież pamiętać i o przyszłości…

– Czy słowo?

– Słowo. – Walkowi opadły ramiona równocześnie z twarzy jego coś aż znikło zupełnie. August był już za drzwiami. Słychać było szybkie jego kroki i wesołą piosenkę gdy znanego nam wiersza: „Pan Hrabia czeka."

Walek stał jakiś czas nieruchomy na miejscu. Otarł ręką oczy, przejechał po dłoniach – jakby mu z przykrego snu chciał ocucić. Długiej potrzeba było chwili zanim przyszedł do siebie i przekonał się że to nie sen – że to rzeczywistość. – Przeszedł się wolnym krokiem po pokoju blady – to nerwy jeszcze. Opadł się wreszcie o ścianę przyciskając czoło dłonią – westchnął ciężko i jedno tylko słowo, – słowo które wszelkie jego myśli i uczucia streszczało: „Umarł!" ….

4.

Wstrząsł się Walenty na dźwięk tego mimowolnie wymówionego wyrazu. Zdało mu się że tem słowem wszystkiego, przypieczętował wieko trumny nad przyjacielem – oddzielił się od niego nieprzebytą przepaścią, która żyjących od umarłych dzieli – że pożegnał się na wieki z najmilszemi wspomnieniami przeszłości – z najpiękniejszą nadzieją przyszłości, jak sowicie mu się przedstawiała w marzeniach (a mógł się już czytelnik domyślić, jak wysokim stopniu marzycielem był Walenty :), zdało mu się że się pożegnał z tą przyszłością w której widział się zawsze i wszędzie idącym ręka w rękę z serdecznym swoim druhem.

— Niemam tu co robić !.. rzekł ponuro .. Tu wszystko zgnilizną .. nawet w takim sercu jak Augusta !... Ha, to okropne !.. (i znowu słowa zakryt. obry. Pierwsze Malczewskiego przyszedł mu na myśl :) „Ohyd natury, święcie Robak się legnie i w bujnym kwiecie !" [Walenty, który niczego się w życiu tyle nie naczytał co poezyi – wszelkie uczucia swoje reminiscencjami z rozmaitych poetów. Mimowoli tego i wtedy przychodziły mu one na myśl. Ścisnął pierś i uderzył się w piersi jakby tem chciał uciszyć burzę serca. Gest ten zwykł on był czynić deklamując owe ciche strofy Słowackiego :

Miłe serce ! ......

....

Wzywam Ciebie w złości : miłe szalone ! – Uczucia jego tak się zrosły z tym gestem że teraz mimowolny podobne wywołało go uczucie takie sam gest : Patrząc na niego, na jego deklamatorskie wykrzyki i aktorsko tragiczne gesta posądziłby go można o udanie. Ale przed kim że by udawał będąc samotnym ? W pokoju Augusta nawet zwierciadło nie widziało na uczucie. Zresztą Walka była tak szczerą boleść w tej chwili tak prawdziwą iż [illegible] byśmy wyrządzili jego poczciwemu sercu posądzając go o udanie. Gorączkowym ruchem zarzucił on burkę na plecy, ścisnął nakrycie głowy, kostur okuty który był w kącie postawił, chwycił w rękę i zabierał się do odejścia :– zatrzymał się chwilę jeszcze jakby namyślał się nad czemś :–

Nie – widzieć go już niechcę ... nie . Nawóż by się przydało ? chyba na to aby ściskać rozdrażniać ranę w sercu,

aby przeskoczyć tę otchłań między nami... Nie, – ale choć kilka zostawić ~~mu~~ mu... ostatnie... ostatnie słowo do niego.

I porwał się na stoliku i napisał ćwiartkę papieru. [illegible] + odsunął szufladę stolika w której klucz zostawił był August. –

Czemuż nagle ruszył się tak wkrótce? Rumieniec oblał mu twarz pełną wyrazu zdziwienia – niełatwo przerażenia. Cóż tam zobaczył w szufladzie? –

Na białej ćwiartce jakiś wiersz zaczęty – a zatem leżała fotografia młodej kobiety.

~~[illegible]~~

~~za głowę~~ Walenty chwycił się obiema za głowę. (nie, na to nie zezwolę nigdy!")
Kilka może pierwszych minut zanim przyszedł do siebie.
~~[illegible]~~. – Wyjdź! – zawołał zdziwiony pisząc wstał. † Chwycił ćwiartkę papieru i zaczął pisać ... „Augusiu! ..... Ostatnie to wyjmij mem słowa do Ciebie ....

+ Porwał skwapliwie wiersz na którym leżała fotografia – próbował ~~odczytać~~ – lecz pismo Augusta nadzwyczaj drobne ~~[illegible]~~ niewyraźne ~~[illegible]~~ nie tylko przedstawiało trudności. Walentemu zresztą ćmiło się w oczach a zmrok zapadał na dworze. Z kilku odczytanych słów ~~[illegible]~~ poznał się że to wiersz miłosny. To mu wystarczało. Nie czytał więcej.

Ten zawahał się... Czy powiedzieć mu że wiem? że mnie przypadek naprowadził na odkrycie jego tajemnicy?...

Wtem kroki jakieś dały się słyszeć w sieniach. Walenty rzucił pióro i list zarzucił do szuflady i zasunąwszy ją co rychlej ~~[illegible]~~ i odskoczył na środek pokoju. Wszedł parobek z skórzaną torbą na plecach.

— Niema Pana Rewalskiego w domu.

— To nic (odrzekł chłopak), – ja list przyniosłem z poczty do niego. – I ~~[illegible]~~ wyjąwszy list z torby, położył na stole ~~[illegible]~~ i wyszedł. – Walenty jakby instynktem wiedziony, wziął list do ręki i spojrzał na adres. – List był oddany we Lwowie. ~~[illegible]~~ Adres był pisany widocznie kobiecą ręką. Walentemu zdawało się że poznaje pismo. Obrócił – spojrzał na pieczątkę. – Na pieczątce była jedna tylko litera: W. – Zamyślił się. Ta litera widocznie skrępowała, jego domysły.

— „W!...W!...W!..." powtarzał trzy razy. Spojrzał znów na adres, i do pewnego zdawał się wracać podejrzenia

podejrzenia. Jeszcze ~~chwilkę namyślał~~ („Nie, nie, to nie jej pismo!”) ~~Nagle~~ ocknął się – rzucił ~~[illegible]~~ list na stół: – zdawało mu się że słyszy głos Augusta na dworze. Spojrzał przez okno. Istotnie August powracał. Walenty skoczył ku drzwiom – wybiegł jakby go kto gonił. – August wracając nie spostrzegł widocznie stojącego w ciemnej framudze sieni. – Wszedł do pokoju – nie zastał tam Walentego. Usłyszał tylko silne zatrzaśnięcie drzwi z sieni na dwór wychodzących. –

W jednej z niższego rzędu piwiarni przy ulicy Ormiańskiej we Lwowie, o późnej godzinie siedziało dwóch młodych mężczyzn. – Pośpiesznem wiedli z sobą obaj żywą rozmowę i łatwo było można odgadnąć że nie dla pokrzepienia się narodowym niemieckim nektarem lecz dla rozmowy zaszli w piwiarni, obie [illegible] postawione przed nimi przez uslużnego gospodarza szklanice stały prawie nietknięte. Izba była zresztą próżna jako zwykle o tej godzinie; – tylko w rogu pod oknem zasiadł był zdala od nich mężczyzna (z szpakowatym jej włosem i takiemiż wąsami. Miał na sobie mocno podnoszoną zielonkawą chłopską przeciwdeszczówkę,)

Kapota;– [illegible] stojący na [illegible] po stroju jego, postaci i ruchach łatwo było poznać rzemieślnika. – Twarz miał jakoś* poczciwą ale wyrazem nacechowaną jakąś była dziwna jakaś boleść – smutek

– Mów ciszej! – szepnął do towarzysza wyższy z dwóch młodych, o ciemnej czuprynie, smagłej cery, pogodnych ale męskich rysów, szatyn, średniego wzrostu ale krępej i muskularnej budowy. – Mów ciszej! – i lekkim, niedostrzegalnem prawie ruchem zwrócił jego uwagę na siedzącego z przeciwnej strony izby rzemieślnika.

– Nie obawiaj się – odrzekł cienkim głosem zapytany, drugi, nadzwyczaj małego wzrostu, blady, mizerny brunet z ciemnemi czarnemi oczyma, z czarną bródką, starszy o lat kilka od swego [illegible] kolegi – owiec [illegible] trzydzieści lat mający. † Nie obawiaj się i uśmiechnął się złośliwie.

– Czy znasz go? zapytał [illegible] młodszy poprawiając niebieskie okulary które mu co chwila umykały się z nosa

– Nie jego nie znam – ale znam ludzi: przypatrz się dobrze jaki to poczciwy prawdziwie polski wyraz twarzy... Takich twarzy nie ma się czego obawiać

– Ostrożności nie zawadzi nigdy. – Mnie się ta twarz wydaje dziwnie ponurą – i zdaje się po sprzeczności niewiele tym zowiesz temu indywiduum

– Wszystko po sprzeczności ludzi sądzisz! zawołał Konstanty

– Nie żądaj tak ale Ty przecież uważałeś umiarę przyrodzenia za dostateczną gwarancję jego sprzeczności aby się nie obawiać zdrady. – Znowu

– Dajże pokój tym sprzecznościom które mi co chwila wytykasz. Wynajdujesz ich tam gdzie ich wcale. Zresztą... prawda – są one wszędzie w pewnem znaczeniu tego słowa cały Świat jest tylko jedną wielką harmonią sprzeczności... Das höhere Dritte. (Słowa Hegela)

– „Harmonia sprzeczności!" powtórzył Zdzisław wzruszając ramionami. Słusznie powiada Tocqueville „qu'il n'y a rien de plus favorable à la philosophie que le brouillard!" – „das höhere Dritte!" Ale mówiąc z Tocquevillem i twoją francuszczyzną pozytywne strony

† Na głowie miał olbrzymiał rozmiarów konfederatkę która prawdopodobnie chciała nadstarczać wzrostu, którego mu Matka natura odmówiła.

zawołał Konstanty kręcąc się na swem krześle z niecierpliwością

[Harmonja sprzeczności czy to może także owo Heglowskie! –

* który tylko jego poznaczy [illegible]

5.

którzy strawić niemoge. – Francuzi w jednem tylko wielcy i wszelkiego naśladowania godni: w swojej rewolucji

— Wielcy – zapewne, ale nie idzie zatem abyśmy ich małpować mieli: tam inne, były stosunki, – inne u nas.

— Małpować! – któż mówi? ale w ich ślady wejść nam należy koniecznie jeśli przyjdzie powstania ma…

— Ciszej, ciszej! Niepoprawny jesteś! odrzekł z gniewem (: I znowu tenżam uśmiech szyderczy przebiegł mu po twarzy :) Zdzisław. – Tchórzym dziś wszyscy… boim się cienia – Czego tym żeś miał Ty obawiać? Wszak ty nie między szlachtą jesteś.…

— Chacha, zaśmiał się Zdzisław, – nie między szlachtą – ale… w szynku. Między szlachtą bezpieczniej by może było. – Mój drogi Kostku! Kochałbym Cię daleko więcej gdybyś co chwila nie prezentował się tak z Twoją demokracją jak kokieta z pięknemi zębami … Jeśli nie przestaniesz, pomyślę w końcu że to wstawione zęby. Czem mniej o niej będziesz mówił – tem ja więcej w nią wierzyć będę.

— W moją demokrację? Jakto? czy w nią nie wierzysz?

— Wierzę, już wierzę, tylko o niej tak często nie gadaj, bo mi się od ckliwo robi… Zresztą te Twoje dicta acerba: „Wszak ty nie między szlachtą jesteś" i tym podobne (czerwone szermierstwo) – to ściśle biorąc nawet nie Demokracja – ale Szlachtofagja, Szlachtożerstwo. – Gdybyś sam nie był bene natus i possessionatus – prędzej byłoby to prędzej wybaczalnie – mnie naprzykład.

— Właśnie, (: przerwał Konstanty :) właśnie! – Któż mieć większe prawo roztrząsania podobnych zdań o szlachcie: – wy? którzy nie znacie jej i wyrokujecie jako ślepi o kolorach, – czy ja który pośród niej wzrostem, i pośród niej i z nią żyję? – Wy jej nie znacie. Wy sobie pod szlachcicem wyobrażacie zawsze jedną i tę samą przestarzałą a stereotypową postać z kartonowych naszych komedji – ot jak n.p. Cześnik w „Zemście": – – wąsaty i szablasty, trochę bruchaty, trochę przesądny, (dawniejszej ...) wielki pasyonat i raptus, w gruncie poczciwy, z narowami, niemało śmieszności w nim i dziwactwa, ale serce! – serce złoto! … i t. d. i t. d. Requiescant in pace – te zabytki archeologiczne! Pokaż mi choć jednego takiego szlachcica w Galicji – a dam Ci jako mówi Pan Seweryn „konia na rzędzie"… I te typy należą do niepowrotnej przeszłości. Dziś szlachta inna całkiem – podobna tak do owych Cześników jak ypsilon do X, choć w alfabecie w historji, jedno po drugiem następują.

— A po niej Z nastąpi? zapytał Zdzisław śmiejąc się.

mamuta

(z wyprzedawnictwie narodu.

— Tak jest bracie — Z. nastąpi. Ty się śmiejesz — a ja mówię na serjo: Z. to jest Zdzisław — Zdzisławy takie jak Ty — ale nie jako bene nati ... nie jako kasta uprzywilejowana ... nie jako stan ... lecz ...

— A więc Kostku kochany — usuń się! (przerwał Zdzisław śmiejąc się na całe gardło) [i posuwając się nabrzmie ku Konstantemu pulchną jego małą filigranową figurkę tak silnie że na rosły tamten że ten chcąc wcale ustać musiał — skrzywił się nieco lecz znać przywykły do podobnych żartów! na jakie jego mały wzrost go narażał — nie gniewając się nie wstał zbliżył się wraz z Zdzisławem) Ôte-toi que je m'y place! powtarzał Zdzisław, Oddaj mi Twoję Koszadówkę ... a sam zajmij miejsce dependenta u Adwokata ...

Ôte-toi que je m'y place!

mały Kostek

— Shoking! (wrzeszczy Konstanty udając zgorszonego) żarty nieprzyzwoite — mauvais genre .... co moje, to moje — co Twoje to Twoje. Jaki twoich dwóch rygorozów t. j. Twego Bakalaureatu nie odbieram .. a Ty mnie nie bierz Woli Koszadowskiej — bo wiesz że Koszadówkę już mi odebrał Twój zacny patron.

— Nie on, serce, duszko, ale Twoje długi ...

— No, dobrze, moje długi! (rzekł Kostek zniechęcony) niech i tak będzie — ale oto nieszczęście — każdą najpoważniejszą rozmowę obracasz w żarty — i w końcu schodzisz na osobistości. Święta cierpliwość trzeba mieć z Tobą. —

— Mój Kostku kochany, nie gniewaj że mi się (rzekł Zdzisław łagodząc go) boś za mały na to abyś się mógł gniewać na tak bardzo tego chłopa jak ja. Jeśli schodzę na osobistości jak mówisz — to nie bez racji bo wiesz (ile od osobistości zależy i) ile nam waży Twoja osobistość a raczej osoba Twoja (aż fizycznie biorąc nieduża.) A jeśli wtrącam o Twoich długach — to i to nie bez racji, bo one są główną przeszkodą — nie, nie główną ale jedyną, dla której nie możesz czynić tyle dla sprawy ile byś czynił gdyby Koszadówka była Twoja i Wola Koszadowska bez długów — a przynajmniej z czystą tabulą. Czy nie prawda?

mówisz poprawnie

— Prawda — rzekł Konstanty [— wszystko mam jure całą ... t. j. niestety nie ja je mam ale moi wierzyciele ... Ale, ale, powiedz mi czy potrzeba o którą się staram przez twego patrona da się uzyskać? Tak nagląca potrzeba — —

[i dodał z gorzkim uśmiechem ale gdyby to tylko — to mniejsza! ale nadto jeszcze

— Mój drogi, przebacz: jeszcze z Patronem nie mówiłem o tem.

— Ani Zdzisławie! — to nie do darowania! wszak wiesz

[ile ... mało to, ... jest ... a z Twoich ... nastęem ... (Ot, będzie ...

że te pieniądze nie dla mnie – ale na broń....

– Cicho Kostku, cicho! – Otóż na tę broń złożyła składkę z Polonią dał coś Pan Nikazy, zebrał coś Pan Marceli – i posłało się naszemu agentowi tyle – Wszystkich dniach musiałem w kancelarji całą noc przesiedzieć dla wypracowania rekursu w sprawie Chaima Patkeles przeciw Sarze Knochenstrahl, – upływał termin a idzie o grubą sumkę. Mój patron niemało zdaje się zarobi na wygranej kiedy mnie za przesiedziane noce przyrzekł całomiesięczną gażę – jeśli rzecz pójdzie pomyślnie. Otóż przed świtem skończyłem. Rano wiesz że miałem pójść z Wacławem do nich. Miałem wolnego czasu trzy godziny: – umiechciałem się położyć mimo nieprzespanych dwóch nocy – bom się bał aby nie zaspać terminu – a wiesz jaki Wacek punktualny. Wziąłem się do czytania przeglądania Twoich papierów. Serce, duszko! toż Ty prawie pół niż niemasz! a raczej prawie po spłaceniu wszystkich długów mieć nie będziesz!... Dziś, siedź tyle co najwięcej! Taki piękny majątek!...

– On wa! przebąknął Konstanty..

– Otóż serce, ciągnął Zdzisław dalej – nie miałem ja serca aby Ciebie wyciągać na tak dużą sumę. – Twój majątek jest potrzebny wielce potrzebny! Stokroć potrzebniejszy dla sprawy niż ta suma którąby teraz z twojej zgodną rzeczą wyciągnąć z niego można. – Ty bez majątku tracisz wpływ, znaczenie, stanowisko które tak dobrze umiesz między szlachtą zużytkować dla sprawy. Ty bez majątku tracisz swobodę ruchów – przepadasz... Ty bez...

– Stój! stój! przerwał Konstanty – i najprzód otarł ramionkami oczy a następnie rzucił się na szyję Zdzisławowi ściskał go serdecznie:) Jesteś poczciwy, najpoczciwszy w świecie. – Ale lepiej wyciągnąć ile można z Konradówki teraz póki czas niż skąpić czas szczędzić dla przyszłych możliwych korzyści przyszłych zwłaszcza notabene do osobistej takiej która dziś żyje a jutro wziąć ją mogą djabli...

– Ja wiem: nie. – Możliwie dzieła gwałtowniejszej potrzeby niż obecna – wtedy sam Ci powiem: daj! – ale teraz wbrew Tobie i Twojej gotowości do ofiar bronić będę Twego majątku. Majątek to wielka rzecz... a Ty nie umiesz go cenić...

– Ow wa! straciłem Konradówkę i Wilczkowice – stracę ostatnią wieś – ale nim mi ją sprzedadzą – będę miał pięć wsi i jeszcze żonę w dodatku...

– Cóż znowu! – rzekł z przykrym wyrazem zgorszenia Zdzisław

[Margin notes:]
ile ich miało posłać mało to, mało – ale jest już i czas jeszcze.
a z Twoich przyjaciół rzecz się ma jak następuje:
(Ot, będzie za to parę karabinów!)
przesiedziane
godzin do
dla sprawy

Tybyś też miał żenić dla majątku?...

— Czemuż nie? A Ty?... Bogactwo nie warto aby jeść i pić, grać, wyjeżdżać zawsze pieniądz — (to brud!) to wara! To tylko można zapewnić a i to nie zawsze. Ale ożenić się ze starą babą lub panną

kontrdanem
aby oddać Odzyskać co ojczyźnie należy?... grosz wyciśnięty może przez jej ojca za czasów pańszczyźnianych na Litwie... Dzieciż Ty nie hołdujesz starym przesądom wiejskim...

— Konstanty — patrz. (przerwał mu Zdzisław pokazując wyjęty z kieszeni zegarek) Co znaczy że Marcinka nie ma? już 9ta dawno minęła...

— Przyjdzie on, przyjdzie... Otóż nie tylko że najbliższe, dziś w tej niemal mam postanowienie wejścia w stan małżeński zanim mi lata uciekną... ale nawet ci mogę powiedzieć, gdzie sobie już upatrzyłem zdobycz... A wcale nawet nie szpetna gąska...

— Powiedz, powiedz — ~~[illegible]~~ nie aprobuję tych zasad ale chciałbym wiedzieć... Ah, otóż i on!

W tej chwili otworzyły się drzwi od ulicy i wszedł młody może 18letni stojący w małej rogatywce (na głowie z kitką pod pachą) — Obejrzał się uważnie po wszystkich i powitawszy przelotnem uściśnieniem ręki Konstantego i Zdzisława, zbliżył się do rzemieślnika siedzącego w rogu izby.

— Jak się macie Panie Stanisławie! ~~[illegible]~~

Pan Stanisław uścisnął serdecznie podaną mu rękę. — Marcinek usiadł też przy nim i uderzywszy pięścią w stół: Piwa! zawołał — Dwie halby!

— Nie trzeba dla mnie Panie Marcinie, — już piłem jedną...

— Ależ musimy się napić razem Panie Stanisławie — ot, i rozmowa lepiej jakoś idzie przy szklance... hej, piwa! dwie!

— Szkoda wam pieniędzy — a pewno nie dużo macie z domu...

— O jeszcze co! miałbym na halbę piwa żałować! i to z kim? z wami! — Chuda kość człowieka to prawda — ~~[illegible]~~ nie jak kość studenta — ale toć znajdzie się lekcyja jedna, druga, to i zarobi na tydzień z parę guldenów...

— .. I przepuści potem! dodał ponuro rzemieślnik..

— No, starczy na tyle aby co zjeść — i starczy zapłacić (i z domu przysłali mi kapotę, buty i bieliznę.) — a zawsze co z lekcyi zostanie to starczy co fajkę wypalić i razem halbę wypić z poczciwym człowiekiem...

— Oj, Panie Marcinie! — (Tak zawsze młodość przyszywał... (i westchnął Pan Stanisław)

— Cóż — czy w nałóg wejdzie? (i zaśmiał się młody:) to przecież aż na szklankę piwa nie rozpije?

— (Rzemieślnik znowu westchnął) Eh, co wam gadać — wy młodzi to nie wierzycie.. Halba, to halba — to co to halba znaczy... a potem dwie

(tu popił Pan Stanisław z podanej mu szklanki.) – Dziś – to dziś – to co to dziś – toć ino grzmi! – a nuż już wtedy bestyja wróg ... nie obejdzie. – No ... ale co Panu gadać! –
– Mówię, mówię dziś ... – Dobra rada to zawsze ustami wspomina. – I Marcin wetknął ... [illegible]
– Ano mi Pan, że ja mam recht! i nie [illegible] ... Bo to ... wszystko ... a potem ... A gdyby ... Ale ...
oko! to z dwóch ... ta i przepadł! a co zarobił to furt przepuści! ... ho!
(i znowu westchnął ciężko przyglądając się ... kufel do ust) ho! a na stare lata ... (i nie kończąc ...
i pokazał dziurawe swe buty) hej, hej! ...
– Wypoczął kiedyś może coś naszego grosza? ... (zapytał Marcin)
– Et, co teraz gadać! (zawołał znów ... Pan Stanisław ... wóz) ... wszystko ... – składał ... ta i składał ... ta i ... i pierwszy ... i dorobił się spokoju ... (i wszystko!) ale przyszły ... na ostatku ... i córka! i żona! ... he Ta i poszło ... ... teraz znowu składaj ... Diabelskie ... Bij, nie przyrzekaj Panu ... ... Marcinie ... ja Panu radzę. (I znowu popił Pan Stanisław. I Marcin smutno się spojrzał na starego)
– Czy wam córka umarła? i żona? (... bo wyrazu ... oczy – ... siły)
– Ha ... umarła żona ... a córka ... ha córka ... (i zatonął wzrokiem ... zdrowym blaskiem)
– ... Córka ... (błysnął Marcin) ... ...)
– Córka! (wtedy zawołał Stanisław ... ... przebudzony – ocknął się ... tajemnicy ... ... – ... co Pan mówił ... córka? – ... córce Pan mówił?
– O waszą córkę ... pytałem was – (i rzekł Marcin ... ...)
– O moją? (zapytał z boleścią w głosie) moją? Ja nie mam córki! – Nie rozumiem, co Pan! ... A mówi to Pan?! (zawołał ... patrząc w oczy Marcinowi ... i ... górną ręką ... (... ... ... zrozumiał) ... przeciągnął ... twarz ... ... i rzekł jakby sam do siebie:) Eh – nie – co zawody na to ... jeszcze smarkacz! ...

Marcin doskonale usłyszał komplement który mu ... w ... – ... ... przeciągnął ... – ... ... Stanisława ... z ... ... poklepał szeroką dłonią ... po plecach i rzekł: Bo to – ja stary ... jakby coś przypominał sobie ... ... Wreszcie Stanisław rzekł:
– Ale ... ... gadać! ...
– A, o naszym interesie Panie Stanisławie. (... Marcin który jeszcze nie ochłonął z ... wrażenia jakie na nim cała ta scena wywarła.)
– Cóż? jakże będzie? – możecie za dwie godziny tam przyjść? – to więcej nam nie zabierze. Czemu nie, – przynajmniej tak się wdzięk przyszłość dobrego. A jest tam dość tych ... (i dodał ciszej:) ... ? ...
Marcin chciał coś odpowiedzieć i ... się ... Zdało mu się że scena której dopiero co był świadkiem i ... ... z ... ... Stanisława ... ... wzrokiem. Stanisław ... się ... i nie zdradzę.
– No (rzekł cicho) nie bój się Pan – Panie Marcinie! (Przecież to nie ... ... prawdziwy polak) Przecież ja przyjacielem, ... to
– Ja wiem że wy ... ... i polak prawdziwy ... ale ... – to tak czasem przy szklance ... z przyjaciółmi ...
– A brat Pani ...? ... ... i ... to ... ... ! ... ... toć ... także ... w ... ... i ... ...

Marianowi znowu się przeciągało z odpowiedzią na ten komplement i.

— No, ja wiem (ciągnął dalej Stanisław) że Wy Panowie Studenci to zawsze się starzymami rozum — no, ależ niebyście się Panie Marianie (poprawiając się) — toż ja wcześniej byłem przed kiedy wygadał — przyznaję wina — kiedy oni opowiadali jak cała sesja opowiadał — a zresztą cóż ale to mnie który widział przyjemnie Pani Marianie? — Za co ja mam [illegible]? może by się [illegible] i nie wytrzymał — od [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] może by się i zapisał na powiedzieć — ale nie ma za co! (i roześmiał się niewinnym [illegible] śmiechem) Ale bardzo mnie chwycił Panie! — —

Zaczynała się cichna miedzy

Mr. Aurpian [illegible]

Angus [illegible] Walerek [illegible] Mr. [illegible] portret Ernest [illegible]

[illegible] siostra [illegible] wojsk. [illegible] Emilia [illegible]

Wanda (i [illegible]) Konstanty (nie [illegible]) [illegible]

życie [illegible] [illegible] Prospe [illegible]

[illegible] w [illegible] i [illegible]
scena w Wiedniu [illegible]
[illegible] na pensji. siostry Wal. i Ang. – Wal.

Wandy [illegible] – Ernest i Ang. – (scena [illegible]) [illegible] Ang. [illegible] i Emilii

Zgromadzenie [illegible]. – [illegible] Ang.

[illegible] w Wiedniu : [illegible] i [illegible] : [illegible] Wandy : [illegible] (w [illegible] Ang.

[illegible] na [illegible] i Konstanty i Ang. i Zgrom. [illegible]

Ang. i Wanda
– i [illegible] i [illegible]. [illegible] Konstanty

144

Ang.
[illegible]

Walerek
[illegible]
[illegible]

Zdziś [illegible]
Dr. [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

„Szl. = konserw. żywioł"
„potrzeba korupcji – nie terroru."

Konst. Jadam. [illegible]
[illegible] – [illegible]
[illegible] – [illegible]. – [illegible]
[illegible] terror.

[illegible] prawdziwa [illegible]

Szlachta
Stryjowy
[illegible]
[illegible]
Tomasz

[illegible] – [illegible]
ale woła pod [illegible]

Odpowiedź szlachty: [illegible] zebrania tow. gosp. [illegible]. – [illegible] tow. gosp.
Pan Tomasz. [illegible] do [illegible].

Tytuł bez powieści

nowela - powieść

147

„Tytuł bez powieści" nowella.

Wstęp. List do Redaktora „Dziennika literackiego"

Szanowny i kochany Redaktorze! — Listem Twoim z dn. 14-go b.m. raczyłeś mnie zawezwać do współpracownictwa i przypomnieć daną niebacznie może, w poufnej pogawędce obietnicę, przesłania Ci rozpoczętego szkicu powieściowego z czasów obecnych.

Najchętniej uczyniłbym zadość zaszczytnemu wezwaniu, lecz odczytawszy ów szkic o którym Ci wspominałem, przekonałem się iż na każdej prawie stronnicy zaczepia o kwestye polityczne — że zatem do Twego szanownego pisma się nie przyda i ad meliora tempora pozostać musi w teczce. — Już to duch taki wieje w nieszczęsnym kraju i w narodzie naszym że czego się tkniesz — jakąkolwiek myśl snuć poczniesz przy Twoim stoliku, musisz uderzyć ~~zaciśniętą~~ pięścią w stół, — a gdy uderzysz — odezwą się nożyce... nożyce polityki które myśl Twoją przetną w połowie. Pomyślisz o czemś najniewinniejszem n.p. o papierze — to na myśl przychodzi Ci papiernia... papiernia Czerlańska, i — smutny stan przemysłowy krajowej — polityka. ~~[illegible]~~ O piórze lub biurku Twoim? a na myśli biurokracja i znów polityka i t.d. i t.d.

Ale do rzeczy. Czuję iż z danego zobowiązania wywiązać się muszę i niemogąc przesłać szkicu o którym była mowa, ~~[illegible]~~ winienem napisać szkic inny.

Otóż niemogąc Ci naraz uraczyć czemś lepszem, postanowiłem przesłać Ci szkic, który dla mnie osobiście wielką ma wartość — powtarzam wielką — bo jest to szkic złamanego mego życia — ustęp z mojej biografii. Dwa garnki ugotuję przy jednym ogniu — bo tem samem zadość

/.

udziel Ci najnowszych o mnie wiadomości – z czem oddawna jestem Ci dłużnym – a co, który się jak ~~dawniej~~ wprzódy nie będzie Ci obojętnem – jeśli choć cząstkę ~~dawnej~~ starej Twej dla mnie zachowałeś życzliwości. – Czy Twoich czytelników te dzieje moje interesować będą? – nie mnie o tem sądzić. Tobie to zostawiam. Rozstrzygaj Redaktorze Szanowny. Gdybyś uznał że nie – to schowaj szkic do stolika – schowaj ale (nie spal. Chowaj go do druku na wypadek gdyby skromna i nieznana dziś osoba moja miała kiedyś wzbudzić wrzawę sławy lub rumor – gdyby stała in odore (nie sanctitatis, bo to trudno, ale:) gloriae. „Wypadki chodzą po ludziach" (mówi Pan Piotr o którym myślę pisać w tym szkicu) – nie jest to wprawdzie prawdopodobnem – ale jest możliwem. A nuż wygram n.p. ~~sześć~~ pięć razy raz po raz wielki los na loterji – choćby w przenośnem znaczeniu tylko? ~~A nuż przypadkiem~~ wypadek byłby niesłychany – i oto sława gotowiuteńka. A nuż u którego Żydka Antykwarza lub w Drohobyczu pod maścią znajdę przypadkiem ~~utop~~ parę kartek z owego zaginionego Psałterza Mikołaja Reja o którym ~~krążą~~ legendy między bibliografami? – Sława. – A nuż odkryję gdzie w Lodomerji kalifornijską kopalnię złota? Nota bene to ostatnie nie w przenośnem znaczeniu – bo toby na nic się u nas nie przydało – o tych bowiem kopalniach złota w przenośnem znaczeniu wszyscy wiedzą i gardzą – ale kopaczy jak niema tak niema.

Ale otóż znowu odbiegłem od rzeczy. – ~~[illegible]~~

W razie gdybyś się zdecydował szkic mój umieścić w którym

Dzienniku — jeszcze jeden pozostanie Ci [illegible] do wypisania. Musisz mu dobrać tytuł? — „Ustęp z mego pamiętnika"? to brzmi jakoś niemrawie — a byłoby nawet fałszem, gdyż ja nie piszę wcale pamiętnika jak to czyni podobno Panna Celina o której wnet usłyszysz. — Może „Powieść bez tytułu"? Cóż, kiedy powieść z takim tytułem już istnieje... Ale, ale! wyborna myśl mi przychodzi. Może się na nią zgodzi Szanowny Redaktorze. Daj memu szkicowi tytuł: „Tytuł bez powieści." — Nie śmiej się — nie żartuję, na seryo proponuję Ci taki tytuł. — A czemu? Posłuchaj!

* * *

Działo się to w czasie pierwszych wyborów na sejm krajowy. Wiadomo Ci, żem wtedy czasowo zamieszkał był w obwodzie X. w domu mego stryja, konkurując za Twoją radą a zgodnie z życzeniem mej Stryjenki o rękę Panny Marianny, mieszkającej w najbliższem sąsiedztwie. — Wiesz jak nieszczęśliwie te konkury dla mnie wypadły — i że magna clades moja tyle tragicznych dla mnie, a komicznych dla świata mieściła episodów iż jak twierdził nasz znakomity powieściopisarz P. Jan Zacharyasiewicz dałaby się z niej utoczyć bez trudu ramotka w guście Ramotek Wilkońskiego. — Ale mniejsza o to. Nie o tem chcę pisać. — Wiadomo Ci jakie w owym czasie w owym obwodzie odbywały się wiekopomne agitacye i machinacye wyborcze i jak tytaniczne niektórzy kandydaci czynili wysilenia. Wiesz także o wierszu który następnie po ukończonych wyborach w owym obwodzie kursował — a który miał motto: Parturiunt montes — nascitur ridiculus mus. — Pan Piotr długi czas posądzał mnie o autorstwo tego wierszyka.

/. Poczciwa

Poczciwa Pani Piotrowa broniła mnie zawzięcie – twierdząc że jestem zanadto „bien élevé" abym się czegoś tak „mauvais genre" miał dopuścić, – ~~a w końcu Pan Piotr dał się wręcz jednak przekonać~~ Panna Celina dodała † że jestem „człowiekiem „wyższych poglądów", szlachetniejszych aspiracyj abym w matactwach mógł tonąć zawiści – że jestem z ludzi którzy kochają ~~l~~ biedny ludek wiejski, którzy kochają postęp, oświatę, którzy kochają słońce – a więc niepodobna abym"....

† (wedle złożonego mi przez Pannę służącą sprawozdania)

— A niech tam kocha i słońce i księżyc jak mu się podoba (:przerwał jej Pan Piotr:) ale pamflet! pamflet!... Pamflet... powtarzał sto razy – ale coraz cichszym głosem. Pamflet! odpowiadał raz jeszcze pod nosem. ~~[illegible]~~ – Zerwał się wkońcu z karła i ~~[illegible]~~ zawołał groźną przybierając postawę. No, jeśli to on! W sejmie, w sejmie gotówem wymienić wgłos jego nazwisko! Ho, ho, ze mną teraz nie ma żartów!....

Panna Celina która tymczasowo siadła była przy fortepianie i wybierała na klawiszach znaną aryę z Belizarjusza: „Trema Bisanzio!" raz jeszcze przemówiła w mojej obronie:

— Ależ Ojczaszku! To nie on! Mnie mnie serce mówi mi że to nie on! Spytaj go sam, otwarcie, po polsku – obaczysz że mu się twarz nie obleje rumieńcem wstydu... bo on niewinny! Ludzie nowej ery, ~~jak Pan~~ ludzie tacy jak Pan Baryli, Pan Władysław, Pan Tadeusz – niezdolni takiego czynu....

Ojczaszek postąpił wedle rady córki – i wtenczas gdym się najmniej tego mógł spodziewać, podsunął mi przed nos ów wierszyk inkryminowany. ~~Twarz się nie zmieniła~~ Na moje szczęście „twarz mi się

./. nie oblała

nie oblała rumieńcem wstydu" a Pan Piotr rzucił się w moje objęcia serdecznie, otwarcie, po polsku, zawołał: „Dziękuję mój Bazylku! jam ci powiadał!"

Starałem się aby święte oburzenie wypiętnowało się jaknajwyraźniej na mojej twarzy. † Od tej chwili pozyskałem sobie zaufanie Pana Piotra. Zaufania tego nie zdradzę: w tym szkicu zmieniłem imię jego inne, inne mu dam jeszcze nazwisko i inny szyld rodowy (t. j. chcę mówić: inny klejnot szlachecki) a nikt go nie pozna w tej fotografii z natury zdjętej. Sam by się poznał najniewątpliwiej ale na szczęście nie prenumeruje „Dziennika literackiego" a prócz Raportów swego Ekonoma i sprawozdań sejmowych w „Gazecie Narodowej" pobożnie nic nie czyta. Czytywał dawniej „Głos" — ale Głos już na indeksie mortuorum. — Nie idzie zatem aby niemiał P. Piotr pewnych wiadomości o ruchu literackim i politycznych sprawach kraju. Są rzeczy które go ratują od zupełnego zdrewnienia. Wiesz np. że Pan Piotr nie grywa w karty i nie należy do zapalonych amatorów polowania. A jednak wieczory na wsi długie — zwłaszcza zimowe, czemś je przecież zapełnić potrzeba. Wiesz także że Panna Celina lubi czytywać głośno. Czytuje wieczorami najczęściej poezye — czasem powieści — czasem nawet korrespondencje i artykuły wstępne Gazety Narodowej. Oto pierwszy niezawodny traf dla umysłowego wykształcenia Pana Piotra. — Drugim ważniejszym, jest obecność w domu tego, poczciwego Pana Macieja, guwernera Stasia, z którym dla odmiany Pan Piotr nieraz długie i wielkie prowadzi dysputy. Oto dwa źródła wiadomości Pana Piotra. † Ale sza! Pan Piotr jest dziś posłem krajowym, trzeba z większym o nim wyrażać się uszanowaniem.

Otóż w owej epoce kiedy Pan Piotr niebył jeszcze posłem krajowym, o której zatem mówię nie winno się tyle

względów

† Zapewne mi się to powiodło, bo

† Dziś rzeczy się zmieniły odkąd się ożenił z oddzielnym jego dworem. — Pan Piotr dziś na starość wziął się do czytania.

względów dla osoby Pana Piotra – w onej pamiętnej epoce P. Piotr uganiał się za kresem poselskim jak opętany, zwijał się po okolicy (mówiąc jego słowami tak „jak mucha w ukropie”!

Spotkałem się z nim raz w domu rodziców Panny Marjanny (: mojej naówczas niezrudej bogini której serca zmiękczyć nigdy mi się nie udało :) – a w kilka dni później zjawił się w moich Stryjostwa u których bawiłem. – A było tam właśnie oprócz mnie kilku jeszcze młodzieży: dwóch siostrzeńców mojej Stryjenki którzy przyjechali z tobą z miasta kolegę akademickiego w przyjaciela od serca – Augusta. – Oprócz nich przyjechał był dla widzenia się ze mną Pan Dominik – z swoim wiecznie słodziutkim uśmiechem na ustach a pełnym sarkazmów obdzielającym ludzi z tak salonową grzecznością wobec nich, jakby najsłodsze Rothländera podawał karmelki. – Nakoniec Samuelek†, ów niezmordowany agitator, któremu się uroiło iż potrafi w owym obwodzie przeprowadzić w wyborach z większych posiadłości jako kandydata ktoś z ludzi miejskich – i w tym celu umyślnie tam zjechał, zwijając się po okolicy kręcąc się w lewo i w prawo, wywijając rękami, gestykulując, krzycząc – jakby go ukąsiła szczęśliwsza tarantula. Przytem prosto z mostu ciął prawdę każdemu w oczy, do ucha jak to mówią, mówił co myślał bez ogródek, i niedowijając w bawełnę. –

† (: ma prawo aby go jeszcze do młodzieży zaliczać :)

Otóż zaledwie zajechał przed ganek i wytoczył się z powozu Pan Diabołłacki, to jest ten Pan Piotr – kandydat na posła większej posiadłości – eo instante zaczęła się gawęda o wyborach. – A zapomniałem

– / dodać

mimo
tylko

151 7.

że przyjechał z nim razem bratanek jego, Pan Jaś Dziadobłocki; co nas mocno zadziwiło. – Jaś bowiem którego rodzice wcześnie odumarli, zostawał pod opieką Pana Piotra – a choć Pan Piotr opiekował się nim przewodziwie po ojcowsku, bo i długi brata pospłacał własną gotówką i majątku znacznie przymnożył pupilowi, jednak Jaś skończywszy uniwersytet w Krakowie powrócił do domu z zasadami które zupełnie nie mogły iść w parze z wyobrażeniami Opiekuna; – stąd nastąpiło między stryjem a synowcem jedno starcie i drugie, wreszcie trwały stan nieporozumienia. – aż nakoniec przy jakiejś sposobności podobno Pan Piotr miał powiedzieć Jasiowi swoim zwyczajem, z całą zacną staropolską szczerością:

— Mój Jasiu! Kocham Cię, boś mego brata syn. Ale kocham Cię tylko dlatego. – Ojciec twój w grobie by się przewrócił gdyby słyszał z ust Twoich takie robespierowskie bluźnierstwa jakie Ja przed chwilą słyszeć musiałem. Gdybym to słyszeć musiał częściej – przestałbym w końcu wierzyć żeś ty syn nieboszczyka Teodora, żeś Dziadobłocki, żeś Ty Półkozic, że szlachecka krew w Twoich żyłach płynie! Znienawidziłbym Cię. Pragnę aby się to nie stało – a boję się bardzo tego. Proszę Cię zatem mój Jasiu, nie przyjeżdżaj ty do Dziadobłociec chyba jak najrzadziej – a jak przyjedziesz – bawż jak najkrócej. Niech widzę żeś zdrów i czerstwy, bo wiem że dzięki moim staraniom masz z czego żyć... to i na tem mi dosyć...

Jaś nic nie odpowiedział – ucałował stryjaszka w ramię – siadł na bryczkę i wyjechał. Mówią że kiedy wsiadał na bryczkę, łzy jak groch kapały mu. Miał do tego żalu wielkie powody. Na myśli stała mu śliczna kuzynka – Panna Celina w której jak wiedzą kocha się dotąd jak kot zagorzały. – Wyjechawszy owego dnia – się jednak w Dziadobłociach aż w dniu 26go listopada

(w początku pomiej bo aż) /.

mimo półtoramilowej tylko odległości, nie zjawił

t. j. w dniu imienin Stryjanka. Złożywszy powinszowania też nie został nawet na obiedzie na który go Stryjenka chciała zatrzymać – i spojrzawszy rozpaczliwie w niebieskie oczy żegnającej go uprzejmie Panny Celiny – wyjechał.

Wszystkie te szczegóły były nam w okolicy dobrze wiadome – toż zadziwiliśmy się niezmiernie ujrzawszy Jasia na jednej z Stryjankiem biesiadzie.

Ale oczemże ja to mówiłem? – Aha, mówiłem że zaledwie niepospolitej cyrkumferencji osoba Pa Piotra wytoczyła się z powozu – bez zwłoki rozpoczęła się pogawędka o mającej nastąpić najbliższych wyborach. Zaledwie zaczęliśmy mówić o zasadach jakich posła wymagać należy – Jaś biorąc pod rękę jednego z siostrzeńców mojej Stryjenki wymknął się cichaczem do drugiego pokoju. Znać nie ufał sobie nad wszelki wyraz gorącej krwi i namiętnemu temperamentowi i obawiał się aby nie wybuchnął na jakieś wstrętne mu i wsteczne w jego mniemaniu szlacheckie zdanie. – Wstrętnem było mu wszystko cokolwiek choćby z lekka trąciło szlachetczyzną, przywilejem, tytułem, herbem, średniowieczczyzną i konserwatyzmem. Za wsteczne poczytywał nie jedno – co w samej rzeczy nic wstecznego w sobie nie miało. Fanatyk najszlachetniejszych w gruncie zasad – nie znosił opozycji; zapominał o tem żeśmy za cywilizacyą Zachodu, dzięki wpływom OO. Jezuitów w XVII w. i następnych katastrof, daleko pozostali z tyłu, że prawdy które tam zdawna ogólne wyrobiły uznanie, prawdy którym tam przecież stały się oczywistością – u nas zaledwie w ostatnich czasach szerzej poczęły ogarniać koła. Zapominał że drogi postępu nie przebywa żaden naród gwałtownym skokiem, że zasada długo musi zakorzeniać się w umysłach zanim do takiej urośnie potęgi aby stała się czynem, aby przeszła w krew i obyczaj. – Gwałtowne w dziejach przeskoki, to tylko

rezultaty ostateczne, długo wpośród niewypadków rozwijającej się potężnej myśli, pragnienia od dawna niewidzialnie w głębiach dusz nurtujących. — Jaś w każdym przyznał widzieć przodownika na drodze demokratycznych idei, — po każdym wymagał aby był orłem poświęcenia... a ~~[illegible]~~ orłów na świecie nie wiele! — Zacny i szanowny ze wszech miar, Stryjaszek jego i opiekun — orłem nie był.

Żwawa toczyła się rozmowa w kancellaryi mego Stryja. Dominował w niej wysoki tenor Pana Samuela — zawsze energiczną gestykulacyą popierającego swoje stanowcze twierdzenia.

— Widzę — mówił — o ile się rozpatrzyć miałem sposobności agitacyom wyborczym — że nasza szlachta wybiera sobie ludzi na ślepo — nie znając ludzi, nie badając ich zasady, nie żądając od nich wyznania wiary... To tyle co brać kota w worku. Każdy kandydat winien przed wyborcami zdać wyznanie swej wiary politycznej.. winien odpowiadać na rzucone mu interpellacye... winien....

— Mnie się zdaje, Panie Dobrodzieju, (rzekł Pan Piotr) że przeszłość każdego obywatela posłuży za najlepsze wyznanie wiary. Ja — Panie Dobrodzieju w roku 1830 ....

— Ah, (~~[illegible]~~ Pan Dominik) piękna to była chwila! ~~[illegible]~~ My młodzi byliśmy jeszcze dziećmi naówczas... ~~to tak dawno~~ Nam się wydaje że to tak dawno!... Niech nam Pan Dobrodziej opowie o epizod z ~~bitwy~~ pod Stoczkiem w której ....

— Przerywasz Dominiku, zawołał Samuel — dziś nie chwila rozpamiętywać o przeszłości. O przyszłości nam radzić! Rok trzydziesty, nasz dawno ubiegł — i niepowrotne. Wiele przeszło się od tej chwili — a nowa

/.

naprzód. Mieliśmy wówczas dzielnych żołnierzy – nie mieliśmy mężów stanu. Aby być patriotą dość było wówczas – dzielnym być ułanem. Ideałem narodu – jak się wyraził Słowacki – był wówczas ułan kolorowy. Dziś inne stawiamy wymagania. Lanca ułańska kraju nie zbawi. Rozdane na łbach moskiewskich cięcia pałasza – to słabe na dziś dowody patryotyzmu... ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~ Pan Piotr. Ależ ja zupełnie nie miałem zamiaru chełpienia się tem że w roku 1830...

P. Samuel. Bynajmniej na myśli nie miałem czynić jakieś osobiste allusie [.. mówię o sprawie nie osobistościach. Otóż, jak powiadam od 1830. to stare dzieje. Rok 1848 był niejako kamieniem probierczym opinji ówczesnej ~~[illegible]~~ obywateli wszystkich, ale i to...

[i przepraszam bardzo jeśli Pan w ten sposób mnie zrozumiałeś.

— Darowałem panu wszystko... wtrącił spiesznie P. Piotr

— apropos. Czy nie wiesz jak stoją obligacje? zapytał mnie w tej chwili P. Dominik.

— Fatalnie! fatalnie! żywo odrzekł Pan Piotr – ale ja wcale nie wierzyłem ~~się~~ że będą indemnizować... i darować...

— ale i to ciągnął dalej P. Samuel nie zważając na przerwę :) stare już dzieje. Dziś inna chwila – inne obowiązki – inne wymagania. – Mem zdaniem, kandydat składając przed wyborcami wyznanie wiary...

— Ależ Panie, ~~my się wszyscy znamy~~ (przerwał mu Pan Piotr) my szlachta wszyscy się znamy. – Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Cóż tu wyznanie wiary?

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Wiedzą czy na jednej wsi czy na dwóch – wiedzą czy na fotelu czy na krześle. – Wiedzą jakiego ma kucharza i jaką piwnicę. Wiedzą wreszcie jak gospodaruje – wiedzą jak żyje z żoną – wiedzą tysiąc innych rzeczy – o których często wiedzieć by

niepoczciwi – o których wiedzieć niewarto – ale nie wiedzą tego właśnie co mogłoby dać miarę moralnej wartości obywatela...

— Zdaje mi się (rzekł Pan Piotr muskając gęstą czuprynę) że kto jest dobrym obywatelem w życiu prywatnem – to już wątpić niemożna że i w publicznem życiu nie skrewi i śmiało go można stawiać na kandydata...

— Zapewne (dodał Pan Dominik), – kto dobrym mężem, dobrym ojcem – czemużby niemiał być dobrym posłem?

— Jeśli ma odpowiednie zdolności potemu — uzupełnił Pan Piotr, spostrzegłszy się że o ostatnim tym warunku zapomniał.

— Otóż najpierw idzie o te zdolności (zakonkludował Samuel) a lat kilkunastu zdolności jakich od posła wymagać należy, niemiały pola popisu. – Kto zdolny – niewiemy dziś – a prawdopodobnie zdolnych nie wiele. – Ale i zdolności i wypróbowana uczciwość w życiu prywatnem, w stosunkach sąsiedzkich i domowych – to nie wystarcza. – Wolimy mniej zdolnego, wolimy procesowicza, kutwę i t.p. byle w sejmie szedł w naszym kierunku, – niż świętego któryby rzucił swój głos na szalę przeciwną. – Świętych wcale nie potrzeba – o intencje i pobudki nie dbamy – nam potrzeba ludzi z wyrobionemi zasadami, z wybitnym kierunkiem z wyraźistą barwą o którychby nie mogło podlegać wątpliwości do którego należą stronnictwa...

— Ja, Panie Dobrodzieju — zabrał głos Pan Piotr – ja do żadnego nie należę stronnictwa. Bo te stronnictwa, te partje – to rozdwojenie – to nasza zguba, to nieszczęście! – My wszyscy powinni być jedni, zgodni, cała szlachta powinna iść jak jeden mąż...

— A więc Pan Dobrodziej tem samem wypowiadasz że szlachta powinna tworzyć silne stronnictwo – a siebie sam zaliczasz do stronnictwa szlacheckiego?

— No! jak to?... a jakże?... (bąknął Pan Piotr, dobrze

/.

niezrozumiejąc o co właściwie idzie :) – Jako szlachcic? wbrew szlachcie przeciw iść niemogę – swój na swoich! – Plamy takiej nie ma w moim rodzie – żaden Dziadobłocki tem się nie splamił jeszcze – i nie splami, w Bogu nadzieja. (: Westchnął – przypomniał sobie zapewne Jasia :) –

– A jeśli kraj – pójdzie wbrew szlachcie – jeśli po drugiej stanie stronie? –

– Co Pan rozumie pod tym wyrazem „kraj"? bo ja rozumiałem nas – szlachtę.

– Szlachty już niema, Panie Dobrodzieju.

– Jak to niema? a ja?... zawołał Pan Piotr zaperzony z oburzenia. – Jestem szlachcicem, będę szlachcicem, szczycę się tem i nigdy się tego wypierać nie myślę!...

– Samuel chciał powiedzieć (wtrącił się mieszając się do rozmowy aby przybrać ton cokolwiek mniej szorstki) – Samuel chciał powiedzieć – że szlachty niema ~~jak~~ już jako stanu uprzywilejowanego –

– A tak, to słusznie (rzekł uspokojony tem Pan Piotr) – niema przywilejów szlacheckich – ale szlachta, to jest – i będzie! Każdy naród miał swoję szlachtę i mieć musi – chyba Hottentoci lub Samojedy jej nie mają. – Ale szlachectwo ja uznawałem jako rzecz przywileju – u mnie ten szlachcic kto szlachetny – choćby chłop! choćby żyd!... (Zagalopował się Pan Piotr ~~w dalej~~ chciał, po chwili więc zrektyfikował ów <u>lapsus linguae</u> :) No, żyd? to znowu nie, ale każdy zrentą – choćby nie był szlachcicem.

– Żyd – nie? zapytał z uśmiechem Pan Dominik – a przechrzta Panie Dobrodzieju?

– No, – przechrzta – może – jeśli człowiek szlachetny – ale wątpię aby to być mogło. Zawsze to haniebnie opuszczać wiarę swoich ojców. –

— Nawet Jadwigą! – dorzucił Pan Dominik z akcentem najsilniejszego przekonania.

— No – Jadwigą nie, – niekoniecznie... zająknął się Pan Piotr i niewiedział jak wybrnąć z tyle opresji. – Mój Stryj który dotąd milczał się wmięszał do rozmowy, przyszedł mu w pomoc.

— Dajcie pokój żydom i kwestji żydowskiej – to węzeł gordyjski którego rozwiązać niepodobna...

— Tylko rozciąć! – zawołał Samuel – rozciąć przyznając im najzupełniejsze równouprawnienie – polityczne, społeczne, towarzyskiego pożycia...

— To ostatnie jest rzeczą zależną od obyczajów i od dobrej woli każdego obywatela z osobna. – Odrzekłem. ⌈ Wszak nikogo ustawa nie zmusza aby żył z żydami jeśli z nimi żyć nie zechce.

⌈ obyczajów ukazem nie zmienisz.

— Opinja zmusić powinna

— Dobrze – dobrze – wpłynąć na opinję. Droga skuteczna – ale długa.

— Przepraszam Panie Samuelu, wtrącił mój Stryj. – Jakie? – chcesz abym ja ci zaprosił mego arendarza lub pachciarza? ~~Pan~~ Piotr się zaśmiał. – Z Lapserdakami żyć! ale, Panowie mówcie – wymagacie od nas rzeczy niepodobnych!

— A wy sami czyż umyślnie unikacie towarzystwa ~~gojów~~ handelesów? dodał mój Stryj.

— Handelesów? nie, odparł Samuel – ale ~~nawet~~ tak samo nie żyjemy z wyrzutkami społeczeństwa chrześcijańskiego. – Mamy natomiast serdecznych przyjaciół między (wykształconą) młodzieżą żydowską i w ścisłych z nimi żyjemy stosunkach.

— Wierzę – rzekł Pan Piotr – ale nie zawsze.

— Czyż nie przyznacie, wtrącił Stryj, że żydzi to wśród wyjątków najlepsze siły naszego kraju – że to właśnie bardziej służy germanizacyjnym tendencjom w naszym kraju od całej obcokrajowej biurokracji?

— I cóż jeśli przyznamy? odparł Samuel. – Cóż z nimi robić? – Wygnać do szczętu.. To niepodobna i szkoda

że nawet Panowie acz tacy niezmyślanie zgodni nie zgodzilibyście się na tem źródle. Wyznać – albo społeczeństwo zupełnem równouprawnieniem... Przeciwne niezgodne – więc drugie konieczne.

– Żyd polakiem nie będzie! zawołał Pan Piotr

– A Berek Joselowicz?... ~~[illegible]~~ zapytał jeden z słuchaczów Pani Piotrowej

– A żydzi Warszawscy? – dodał drugi.

– Eh, to wyjątki – a zresztą cóż tam u was wszędzie – dajcie pokój, przekonani są moi Panowie, wierzcie staremu: to chyba udają szelmy. Mają oni w tem swój interes, mają... ho, ho!

– Więc Pan Dobrodziej nie jest za równouprawnieniem...

– No, jestem – no jestem poniekąd – jąkał się Pan Piotr. Wiem że na to słów nas tępienie. Równouprawnienie – to piękna rzecz! No, i trudno płynąć przeciw wodzie – „Trzeba iść z duchem wieku" jak mówi mój poczciwy Pan Maciej... dobra osobliwie ale przewrócona głowa – oh, przewrócona! – Ja jestem za najzupełniejszem równouprawnieniem pod każdym względem – no, ale zawsze z pewnemi ograniczeniami...

– Te ograniczenia zresztą (dorzucił P. Dominik) nie przeszkadzają najzupełniejszemu pod każdym względem równouprawnieniu

– Tak – tak... (potakiwał Pan Piotr nie spostrzegłszy ironicznego uśmiechu Pana Dominika) Ale bądź co bądź, polaków z nich mieć nie będziemy...

– Zapewne, odezwał się Samuel – jeśli ich za Polaków nie zaczniemy uważać. – ~~[illegible]~~ Przywykajcie Panowie! ilem razy widział szlachcica rozmawiającego z żydem – zawsze po niemiecku, a to z żydami którzy doskonale mówią po polsku. Przyjdzie żyd ~~do~~ dworu – szlachcic pierwszy zaczyna doń po niemiecku ~~[illegible]~~ widziałem nieraz wypadki – gdzie żyd mówił po polsku – szlachcic po niemiecku.

– No, wtrącił Dominik... ~~[illegible]~~ bo szlachta zbyt kocha mowę

opuszczał aby mogła ścierpieć żeby się nań żydzi już powoływali. Jest to coś poniżającego dla godności naszego języka —

Pan Piotr nic nie odpowiadał na fakta przytoczone przez Samuela — lecz rumieniec wystąpił mu na skwitliwe policzki — i zdawałoby się że i sam do podobnych win poczuwał. Zwiesił głowę jakby coś ważył w sobie to spuszczał oczy to je na Pana Samuela podnosił — podnosił nareszcie:

— No, i cóż tego, cóż tego Mości Dobrodzieju, to prawda — to już nasza wina, ale przyzwyczajenie — sam nawet na to nie zważał dotychczas ale — w tej chwili jakem Dziadobolski do żydów już po niemiecku nie przemówię słowa. —

Pan Piotr był człowiekiem dobrej woli.

Wniesiono wódeczkę i przekąski a rozmowa chwilowo się przerwała.
Samuel wziął mnie pod ramię i odprowadzając ku oknu zapytał:
— Czy tu wszyscy w tym kącie tak pozostali z tyłu?..
Zaśmiałem się serdecznie. Jakiż chcesz? spytałem, chyba kraju nie znasz. — A ile poczciwości przytem wszystkiem.
— Widzę to — ale ile głupoty — ile przesądów — jaka we wszystkiem niekonsekwencja — jaka bezprogramowość! — Mętne głowy jak mętna woda w której wielcy panowie ryby łowią — Fatalne wpływy — fatalne.
— Wasza wina, odrzekłem.
— Czyja? zapytał żywo
— Wasza — was — nas jeśli chcesz — literatów, dziennikarzy, ludzi wszystkich. Za wiele wymagamy pomału na raz — To i nas mają za utopistów i szaleńców — a stąd wpływ nasz równy prawie zeru.
— W jakiej kwestji wymagamy zbyt wiele? Czy w żydowskiej?
— W każdej. Ale rozumiem — w niektórych koncesji przesadnych są niegodne. Są sprawy w których droga pośrednia — polityka kompromisów i ustępstw wzajemnych — jest najzgubniejszą. Ale stawić główny nacisk na sprawy podrzędnej wagi — i przez nieugiętość w kwestiach drobniejszych kwestyj wpływ własny jakiby się mógł wyporzeć

/.

w sprawach najżywotniejszych – to błąd nasz niedbałowania.

– Więc o sprawie żydowskiej mówisz? – Moim zdaniem to jedna z kardynalnych kwestyj. – Pomyśl czembyśmy byli pozyskawszy raz żydów! jakich potężnych zyskalibyśmy sprzymierzeńców! Pomyśl jaką władzę mają kapitały, jakie stosunki, jakie wpływy! A ~~za pomocą~~ skorzystawszy z ich znanej solidarności ~~między współwyznawcami~~, która nieledwie ~~na~~ tyle co najkarniejsza zawsze organizacja – pomyśl jaki wpływ na lud wiejski za pomocą arendarzy! szynkarzy!

~~[illegible]~~!

– Szczególnie za pomocą lichwiarzy! – dodał z najpoważniejszym gestem Dominik który tymczasem zbliżył się do nich. – Lud wiejski tak ich serdecznie kocha – tych Mośków, Icków, Jolków, Abramków!

Zaśmieliśmy się wszyscy troje. – Dominik ma żartami obyczaj (nawet pochwalił Samuel) a ja mówię na serjo. – Powiedz że mi, jakież tu inni obywatele w tej kwestii zdania?

– Jak? Hrabia F., ~~który~~ współzawodnik p. Piotra o urząd posełski, mówił że ma o tej sprawie. – Otóż uważa on za rzecz właściwą „spolszczenie ich drogą równouprawnienia" – jak się wyraził. A więc przechyla się do drugiej przez Ciebie podanej alternatywy.

– Do rzezi? Żartujesz chyba.

– Obliczał on jako wielki polityk – że wzrastająca między ludem wiejskim i w miasteczkach naszych nienawiść religijna i społeczna przeciw żydom – w latach następnych powiększać się jeszcze musi, i dodaje z uśmiechem – nie wiem czy to uśmiech boleśny czy uśmiech zadowolenia – że za lat pięć lub dziesięć nastąpić musi smutna katastrofa w całym kraju ... [

[nie obrażaj się: wolałbym powiedzieć że Hrabia F. tę nieuniknioną katastrofę nazywa „smutną"

Samuel aż poczerwieniał z oburzenia. – I takich ludzi wy stawiacie na kandydatów! – wrzasnął.

– Nie my. On się stawia i jego parentela. A wreszcie kto by nie spokrewniony z Panem Piotrem to spokrewniony pewno (ze szlachty zamożnej w naszym obwodzie

z Hrabią F. – Kilkunastu szlachty ubożnej – będzie mniej jeszcze ostrożnie, bogu dzięki wiemy jak to mówię, ci rozstrzygną ostatecznie.

– I na czem-że się opiera Hrabia F.? na jakich zasługach?

– Jest Hrabią. Jest gościnnym. Daje wyborne obiadki. Wyjeżdżonym lepiej się bawią niż w domu Pana Piotra – bo Pan Piotr nie poluje i nie grywa w karty. Majętniejszy od P^a^ Piotra – daje więc większą gwarancję że będzie bronić interesu posiadaczy. – Ma świetniejsze koligacje – co jest rękojmią iż nie będzie głosował za kółkiem „adwokacko-mieszczańskiem" jak się wyraził – a do którego to kółka Pan Piotr acz nie postępowiec, ma pewne słabości, jak mówią, od roku 1848. – Koniec końców że w wznieceniu wyborów dwa główne ważą się względy: za ~~Hrabią~~ Hrabią że jest Hrabią i ma wybornego kucharza, za Panem Piotrem że służył w r. 1830. Co przeważy – nie wiem.

– Trzeci wzgląd przybywa – dodał uzupełniając Pan Dominik. – Hrabia F. twierdzi iż otrzymał list od ~~[illegible]~~ syna przyszłego domniemywanego marszałka sejmu, w którym temże mu pisze iż wraz z ojcem swoimi życzy sobie aby Hrabia F. ~~kandydował~~ kandydował i ~~[illegible]~~ iż obranym został. Toby był wzgląd niezmiernie ważny dla tutejszych wyborców i przeważyłby najniewątpliwiej – ale to tylko wszystkich zadziwia że Hrabia F. nikomu dotąd listu swego nie pokazał. – ~~Istnienie więc tego listu~~

– Istnienie więc tego pisma problematyczne! – Ha, to może się uda! – oderwał się Samuel.

– Co się uda? przeprowadzenie może w wyborach twego kandydata, Adwokata Y.? Facecja! Poprzyjcie tem tylko Panu Piotrowi – który jest bądź co bądź zawsze kandydatem postępowców w tutejszym obwodzie. – Agitować za nim nie myślę. – Ale gdybym miał głos – głosowałbym za nim, byle ~~Hrabia F.~~ jego współzawodnik nie przeszedł. Co do zdolności parlamentarnych – mądrzej oni różnią. Co do zdań, przekonań, zasady – obaj żadnych nie mają. – Co do dobrej woli – Pan Piotr górą. Co do wpływów jakie we Lwowie na niego podziałać mogą – Pan Piotr górą. Niech żyje Pan Piotr!

I nalaliśmy sobie jeszcze po kieliszku kalmusówki

18.

pijąc wręcz Pana Piotra. – Samuel trzymał się na boku. –

„W małem miasteczku w Galicji"

(przer. nowela)

1. 159

W małem miasteczku, w Galicyi... Gdzie? Na co państwu to wiedzieć! Jakie mnie (litwina) licho tam zaniosło, to już moja rzecz. Długo i szeroko musiałbym się tłómaczyć, a niewarto. Żadnego to zresztą niema związku z tem co wam chcę opowiedzieć. Jeśli wam mówię na wstępie że tam byłem, to tylko dla tego, abyście nie myśleli że tę całą historyę z palca sobie wyssałem.

Przyświadczy mi każdy kto je zna, że wszystkie małe miasteczka galicyjskie podobniutkie do siebie. Toż wam obojętna rzecz moi państwo, w którem się to działo co wam powiem. A już ja mam swoje słuszne względy dla czego wam niechcę powiedzieć, gdzie. Wybaczcie.

Oprócz państwa Krzepuckich, do których przyjechałem w moim interesie, nikogo w tej stolicy powiatowej nie znałem. Nikogo, ale że musiałem tam kilka tygodni przesiedzieć a wieczorami niebyło o czem gadać z moim gospodarstwem u których znalazłem gościnę a pani Krzepucka lubiła opowiadać o sąsiadach, sąsiadkach i całej okolicy a pan Krzepucki o dygnitarzach miasteczka i powiatu, no, to się zwolna tak obeznajomiłem ze wszystkiemi stosunkami, żebym historyografem tego powiatu mógł zostać.

Ale nie o to idzie. Nieprawdaż? Namawiali mnie Krzepuccy abym porobił znajomości, ofiarowali mi swoje pośrednictwo — ale potem co mi opowiedzieli o tych wszystkich z którymi miałem zabrać znajomość, nie osobliwą miałem do tego ochotę. Nalegali na mnie — szczególnie ona — że to

wypada abym się poznajomił. A gdy mnie to nie nakłoniło do uczynienia zadość ich chęci, dziwowali się bardzo a wkońcu zmienili ~~[illegible]~~ swoją argumentację w ten sposób, że owo wypada przeobraziło się w niewypada i nieuchodzi.

— Niewypada, mówiła pani Krzepucka, abyś Pan tu siedział trzy tygodnie i z nikim się nie poznał. Co sobie ludzie pomyślą?

— Niech sobie myślą co im się podoba. Dobrze że zaczną myśleć.

— Obrażą się! Nieuchodzi!

— Niech tam! może wyjdzie!

W samej rzeczy uchodził czas dłuższy, dopóki moim uporem sami państwo Krzepuccy się nie obrazili. Wtedy zaczęło nieuchodzić. Ale wtedy właśnie nadeszły oczekiwane przeze mnie papiery, pan Krzepucki nie odmówił podpisu na przedłożonej mu deklaracji — a ja wyjechałem, ku wielkiemu żalowi państwa Krzepuckich, że z pobytu mego w ich miasteczku nie skorzystałem nawet tyle, aby porobić „znajomości".

Wyjechałem i już tam pewnie nie wrócę.

Ale przepraszam! czyż więc mnie państwo nie zrozumieli i sądzicie że w tej mieścinie wogóle nikogo oprócz Krzepuckich nie poznałem i że to o nich opowiadać zamyślam. Bynajmniej, o nich niema co do opowiadania — a jeśli powiedziałem że żadnych w miasteczku nie porobiłem „znajomości", to wyrazu tego „znajomości" użyłem w galicyjskiem słowa znaczeniu, w takiem w jakiem go używali Krzepuccy, namawiając abym „nie tracił sposobności do zawarcia znajomości." Znajomość, po galicyjsku,

3. 161

zawiera się tylko z osobami stojącemi na wyższym szczeblu hierarchii społecznej — innych się tylko „poznaje". Otóż w Mieścinie (niech się tak nazywa to miasteczko) poznałem kilka osób — ale żadnej nie zawarłem „znajomości", używając terminu i słownictwa pp. Krzepuckich.

Mieścina posiada Starostwo powiatowe, Wydział rady powiatowej, Urząd podatkowy, pocztę, czteroklasowe gimnazyum, aptekę, (dwóch adwokatów i notaryusza) dwóch lekarzy, trzy zajazdy, kilkanaście sklepów, kasyno. Mieścina posiada ośmnaście piętrowych murowanych kamienic, oprócz tego kilkanaście schludnych a nawet po części ozdobnych dworków z ogrodami. Tyle w niej blasku. Co zaś tam już wszystkie prawie domostwa drewniane, niskie, pochylone.

Dwie strony rynku i dwie przyległe uliczki posiadają podobno coś na kształt bruku i trotuarów. Okoliczności tej jednakże sprawdzić nie mogłem, bytność moja w Mieścinie przypadła bowiem w czasie miesięcy zimowych: plac główny czyli targowisko i ulice przykryte były równo grubą warstwą śniegu i błota.

W kilku piętrowych kamienicach mieściły się urzędy cesarskie i autonomiczne, mieszkania dygnitarzy i szkoła. Inne zamieszkane były, zarówno jak i dworki o których wspomniałem, przez ów high life Mieściny, z którym pp. Krzepuccy radzili mi zawrzeć znajomość. — Światek ten wielki składał się z emerytowanych urzędników i wojskowych, zbankrutowanych szlachciców pawiarnych się narwiskiem i rentkami mienia i z kilku rodzin okolicznej szlachty która tu zamieszkały „dla edukacyi dzieci," wioski swe żydom

4) propinatorom (wypuściwszy w dzierżawę. – O zabraniu znajomości z tym światem szlacheckim najbardziej mnie molestowali obaj pp. Krzepuccy a tyle mi o brudach tego ~~światka~~ naopowiadali wstrętnych plotek, niewiem zmyślonych czy prawdziwych, że aby ~~[illegible]~~ uniknąć poznania go, za dziewiątą umykałbym górę, za dziewiątą rzekę.

Ach prawda! zapomniałem o rzece. Otóż powiem tu nawiasem, że ~~[illegible]~~ za miastem płynie dość duża rwąca rzeka. Ta rzeka gra pewną rolę w mem opowiadaniu, więc dobrze jest o niej z góry napomknąć.

Z mieszkania Krzepuckich widać ją było, Oczywiście z pierwszego piętra. Wiła się ona siną wstęgą w pagórkowatej okolicy a brzeg po stronie miasta na samym zakręcie rzeki podmulony ~~[illegible]~~ rwącym nurtem urywał się ~~[illegible]~~ dość stromo sterczał nad poziomem wody niebezpiecznym wiszarem zarosłym wikliną. Krzepuccy pokazywali mi to miejsce z okna ~~[illegible]~~ mego pokoju i opowiadali mi tyle razy zdarzenie którego ten wiszar był widowiskiem, że mimowoli później za każdym razem gdy spojrzałem w okno i usłyszałem szum rzeki, ~~[illegible]~~ odtwarzała mi się w wyobraźni opowiedziana scena. Dreszcz mnie i teraz jeszcze przechodzi gdy o tem wspomnę. (rozmiłowany w okropnościach

Gdyby który z francuskich powieściopisarzy realistów) posłyszał to opowiadanie, zrobiłby z tego arcydzieło w swoim rodzaju. Mnie jednak rzecz wydaje się tak wstrętną, tak ohydną, że niewiem nawet jak ją państwu opowiem. Na szczęście okropne to zdarzenie nie stanowi głównej treści mego opowiadania. Niepozazdroszczę Zoli wycieniowania szczegółów ohydnego faktu i podam go wam tak krótko

jak tylko można najkrócej. Podam go tak aby niczyich nie obrazić uszu. Zostawię domysłowi waszemu resztę – a już wyobraźnia wasza dopełni obrazu i uzupełni mrowiem przejmujących szczegółów.

Nie szczędzili mnie ich Krzepeccy. Z szczególniejszem zamiłowaniem kolorowali najjaskrawszemi barwami relację o tem zdarzeniu które w ich wyobrażeniu zdawało się stanowić jakby epokę jakąś w historyi Mieściny. A jeżeli jakiś szczegół zanadto wydawał się rażącym aby mi go pani Krzepecka sama opowiedzieć mogła, wtedy zwracała się do męża a i wyszeptała tajemniczo (chwytając go za czerwone ucho przytykała doń usta) dodając potem głośno:

— No Mamsiu, powiedz to panu — i oboma dłońmi co prędzej zatykała sobie uszy aby nie słyszeć opowiadania męża. Małemi czarnemi oczyma zaś skrzącymi filuternie śledziła na mej twarzy wrażeń jakie na mnie wywrze to opowiadanie jej małżonka.

Pan Maciej wtedy skwapliwie spełniał żądanie swojej połowicy, uśmiechając się szerokiemi ustami i cmokając wargami jak wytrawni smakosze gdy o jakich specyjałach mowa.

Czasem niedosłyszał dobrze co mu w ucho poszepnęła pani Salomea i nie powtórzył wiernie jakiego dosadnego rysu. Na lewe ucho ogłuchł był wciągu jesieni skutkiem jakiegoś wypadku nad którym szeroko się rozwodził, tłómacząc sobie szmery w niem słyszane, bieganiem w wnętrzu ucha jakiegoś robaczka, który tam się miał dostać przed kilkoma miesiącami. Gdy więc zapominająca o tem niedawnem jego ogłuchnięciu, pani Salomea w lewe ucho mu zwierzyła swoje myśli a pan Maciej nie dokładnie je powtórzył, wtedy pani Salomea która niby to niechcąc słyszeć uszy swoje zasłaniała dłońmi, zrywała się nagle, wołając:

— Ale nie, nie tak Mamsiu, nie tak! – i

6.

rz
ui
zn
za
sob
st

się
a
tyl
go
gdy

Tej
do
by
za
se
się

jei

gr
wi

za
obw
mu

rzucając się na szyję p. Macieja chwytała go za ~~prawe~~ drugie ucho, nie mniej czerwone od lewego. Ponowne szepty przerywane znakami porozumienia i zapytaniami: jak? hę? co? a zakończone tą samą komedyą wstydliwej małżonki zatykającej sobie oburącz organa słuchu aby się nie rumienić na dźwięk słów dopiero co wyszeptanych mężowi.

Ceremoniał ~~ten~~ zachowywany przy tem opowiadaniu powtarzał się z stereotypową dokładnością tyle razy ile razy samo opowiadanie a w ciągu mojego kilkotygodniowego pobytu usłyszałem je ~~[illegible]~~ tylokrotnie że z wszystkiemi szczegółami prawie dosłownie na pamięć go się nauczyłem i mógłbym powtórzyć — gdybym mógł, to jest gdyby mi pamięć ~~[illegible]~~ powtarzać godziło.

Wykręcałem się później jak umiałem od konieczności wysłuchania tej opowieści, wypraszałem się od zwierzania mi znanych już dobrze drastycznych szczegółów — ale wszelkie moje usiłowania były daremne a pani Krzepucka trzymała się widocznie zasady Jowialskiego: „słyszeliście? a więc słuchajcie" i zbyt ~~szczegół~~ wielkiej w tej opowieści doznawała satysfakcyi aby jej się wyrzec.

A za każdym razem opowiadanie kończyło się jednakowemi wykrzykami zgrozy i ubolewania:

— Okropność! okropieństwo! włosy stają na głowie! Rany boskie! Biedna kobieta! ha, ale sama sobie winna! Matko Boska!

I składała pani Krzepucka dłonie jak do modlitwy, zawracając ku niebu małe czarne jak tarczki oczęta. A obwisłe policzki pana Macieja rozciągały się wszerz właściwym mu uśmiechem

Relations numériques [illegible]

(pour [illegible])

Wojtuś novella

A to, co wam teraz opowiem łaskawe Panie, to jako żywo prawdziwa historia.

~~[illegible]~~ Wojtuś przyszedł na świat w białym dworze swych rodziców gdzieś nad Sanem, ~~[illegible]~~ ujrzał światło dzienne w prześlicznym Frankach, jednym naraz [illegible] i p. pani Ast., i ona jej to zakładał pierwszy zetknięcie z zerakiem swych przez wydał księgę na tym padole płaczu – i ona jej zakłada do pierwszej [illegible] wiejską kąpieli – dalsze zaś uzmocnienia niemowlęcia ~~[illegible]~~ uczuć [illegible] ~~[illegible]~~ tokajem z r. 1822. ~~[illegible]~~ [illegible]

~~A [illegible]~~ to Dziwić się nie należy w szczególniej objaśnić, iż tej staraniom ~~[illegible]~~ Wojtuś urosnąć był ~~[illegible]~~ istotnie bardzo zdrów. A niech mi to wolno będzie na tym miejscu wyrazić serdeczną cześć moją dla szanownej, która nie jest tylko wyrośnie w głowie nowelisty, ~~ale [illegible]~~ ~~[illegible]~~ znał ją też każdy cały Przemyśl, Brzozów, Sanok, a nawet i dalej okolice od jej siedziby – od Przemyśla ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ – wogóle zasłużyła sobie na reputację. ~~[illegible]~~ Drzewo, co [illegible] że mało znalazł ~~kobiet~~ zasługujących na ówczesny szacunek i poważanie. Wszyscy szanowali tę ją ona z wszystkich stron, ~~[illegible]~~ obyczajów, ~~[illegible]~~ i [illegible] i krótko [illegible] i nawet godna ona prawdziwego zaiste wspomnienia w wdzięcznej nowelce, ale cóż? ~~[illegible]~~ nowelka tyle przeszła, a szczególniej technologii – mówi [illegible]. Zwróć ~~[illegible]~~ [illegible] a autor noweli ~~[illegible]~~ [illegible] ~~[illegible]~~ wogóle jest na miejscu, ~~[illegible]~~ szanowną ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ [illegible] bożej staraniom ~~[illegible]~~ najzdrowsza ~~[illegible]~~ jeszcze istota winna swe życie i ~~[illegible]~~ długie rzęsy. –

~~[illegible]~~? A to jak?

Tak samo jak ~~[illegible]~~ długie rzęsy Wojtuś. – ~~[illegible]~~ to prawda być przesąd, Bóg raczy wiedzieć, bo doktorowie również o tem mówią, dość, że objęto niemowlęctwa rzęsy w ~~[illegible]~~ na miejscu [illegible] wszystkie wyjął ~~[illegible]~~ gęsty las przysłaniający ~~[illegible]~~ oczy. Może to prawda, ale [illegible] ~~[illegible]~~, iłem widział ~~[illegible]~~ [illegible] pan szanowna Ast., wszystkie miały długie rzęsy. ~~[illegible]~~ [illegible] przypadek tylko? Wątpię [illegible]

Dość że Wojtuś miał długie rzęsy.

Między takimi długimi, gęste ramiona ~~[illegible]~~ rzęsy inna jeszcze istota, która wlała [illegible] pobożności [illegible] jego nie raz na wodzenie na świat przyszło, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ najważniejszym [illegible] ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ [illegible] sama p. A. – ale o tej drobnej istotce wspomnieć ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ [illegible] tylko z tą istotką ~~[illegible]~~ [illegible] ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible], zabawa

[illegible]

II

~~[illegible]~~ Panna Karolinka była okrągła ale maleńka.

Panna Karolina miała długie oczy, a za temi oczyma bezsennie przemykały dni swe ~~[illegible]~~ topiąc się w [illegible], to wracając do którego z dróg kamieni przypominać ją [illegible] rozpalonego blasku.

Oprócz tego miała p. Karolina ~~[illegible]~~ prześliczne ząbki, białe ~~[illegible]~~ a równiutkie jak ~~[illegible]~~ wojsko amazonek w pancerzach z kości słoniowej, stojące na warcie ~~[illegible]~~ u koralowej groty swej twarzy. Gdyby się który z czytelników przyznał, że to nie nadzwyczajne i wyszukane porównanie — ale istotnie prawda, ~~[illegible]~~.

Oprócz długich oczu i ~~[illegible]~~, ust i ząbków, miała p. Karolina drobniutkie rączki i nóżki i przecudną talię.

~~[illegible]~~, [illegible] zadarty nadawał wyrazowi twarzy a szczególnie wesołemu uśmiechowi pewną cechę ironii, której nie było, zdaje się, w twarzy. Ironią tą tak dziś pod wielkim anielskim [illegible] [illegible].

[illegible] Filip Dobrotliwy książę Burgundii (   ) odpoczął w skutek choroby. Ożeniwszy się potem z piękną Izabellą księżniczką portugalską, zakosztował na nowo szczęścia — ale nie podobał się żonie swej i przed całym światem żalił się na to i jej się usiłował podobać bardzo. Cyrulik z Dijon, Piotr Lorhant ~~[illegible]~~ zrobił [illegible] pierwszą perukę — była pano-blond, w której tegoż dnia na umyślnie wydanym wielkim balu ukazał się Filip. — Czy go odtąd żona [illegible] kochać — niewiadomo.

Wstęp do Powieści kobiecej.

Wstęp do Powiastki zaczętej dla „Niewiasty" krakowskiej w r. pod redakcyą J.K. Turowskiego.

(:Niedrukowane – da się użyć za wstęp do jakiejkolwiek kobiecej nowelli:)

– Więc Pani przyznajesz że „Niewiasta" jest pismem pożytecznem, zgadzasz się i na to że kobiety z wielkim pożytkiem mogą pisać ~~dla kobiet~~ – a jednakże niedasz się skłonić do przesłania jakiego artykuliku ~~[illegible]~~ „Niewieście"?....

Temi słowy żegnałem ~~[illegible]~~ sędziwą matronę w ganku wiejskiego dworku – dokąd mnie wyprowadzić raczyła. – Konie stały przed gankiem, słońce zachodziło za góry. –

Pani Monika ***, gdyż jej to był dworek, – na to moje ultimatum zamyśliła się, jakoby wahając się z stanowczą odpowiedzią. Wreszcie rzekła:

– Niechciałabym aby Pan odjeżdżał z niczem, gdy Pan twierdzisz że kilkanaście mil zrobiłeś na to aby mnie zaprosić do współpracownictwa, – ależ trudna rada, bo wszakże Panu mówiłam że ja nie piszę...

– Ależ Pani Dobrodziejko! Byłem w tych dniach u Pani Wiktorji w R. – Mówiła mi żeś jej Pani czytała ustęp....

– Niedobra Wikcia! – zdradziła mnie. Więc przyznaję że piszę – ale piszę dla siebie. Czyż mógłbyś Pan żądać abym dała do druku mój pamiętnik, i w ten sposób spowiadała się z wszelkich moich najskrytszych myśli i uczuć przed całą publicznością?

– O to nieśmiałbym Pani prosić. Ale czy nieznalazłby się w pamiętniku Pani ustęp jaki, w którym byś Pani nie kreśliła tajemnic, – ale jakieś wspomnienia przeszłości, jakieś uwagi nad życiem i ludźmi – jakieś spostrzeżenia nad obowiązkami kobiety które ~~[illegible]~~ wysnuła z życia Pani, byłyby niewątpliwie wielce pouczającemi i zbawiennemi. Niejedne czytelniczki uczyłyby się tak żyć – jak Pani... a czegoż trzeba więcej? –

– Jesteś Pan zanadto grzecznym. Czyby się taki ustęp nieznalazł w pamiętniku? niewiem. Musiałabym go przejrzeć i poszukać. A Pan już odjeżdżasz...

– Czy Pani każesz abym został?

– Syn mojej najszczerszej przyjaciółki zawsze miłym jest mi gościem. Ale czy Pan zostajesz tylko dla mego pamiętnika?

/.

— Nie, Pani! — mam nadzieję że z domu Pani piękny wywiozę dla „Niewiasty" gościniec, skoro Pani przyrzekłaś że poszukasz w twym pamiętniku jeśli zostanę, ale chciej mi Pani wierzyć że nie dla samego tylko pamiętnika zostaję....

To rzekłszy — choć prawdę rzekłem — zaczerwieniałem aż po uszy...

Czemu? zapytasz Szanowna Czytelniczko. — Nie pytałabyś Pani czemu, gdybym Ci był powiedział że w domu Pani Moniki jej wychowanka, prześliczna Panna Katarzyna z dwiema czarnemi oczyma, i że w tej chwili gdy owych słów domawiałem: że „nie dla samego tylko pamiętnika zostaję", ta prześliczna Panna Katarzyna która z pokoju stanęła tuż za Panią Moniką i — równocześnie ze mną zaczerwieniała aż po same uszy. — Ale to sekret! sekret wielki, — z którym tylko przed Tobą się zwierzam Szanowna Czytelniczko, mając do Ciebie szczególniejsze jakieś zaufanie. Nie zdradź że Pani tego zaufania, bo gdyby się Panna Katarzyna dowiedziała żem wypaplał przed Tobą o owych rakach pieczonych... ah! boję się nawet pomyśleć coby wtedy było.

Pani Monika weszła do pokoju. Panna Katarzyna poszła rozmawiać z jakąś staruszką która o kiju przywlokła się przed ganek. Ja poszedłem ku mej najtyrance aby dać staremu memu Tomaszowi stosowne rozporządzenie. —

— Zostajemy dziś jeszcze Tomaszu! zawołałem, jak mi się zdaje głosem dość wesołym. —

Stary stangret, który niegdyś nieboszczyka Ojca mego woził w konkury do nieboszczki mojej matki — uśmiechnął się i skrobiąc się ręką za uchem — rzekł konfidencjonalnie:

— Ja ja się spodziewał że dziś nie pojedziemy.

— A to czemu?

Tomasz zaśmiał się na głos. —

— Bez obrazy Paniczej, rzekł, bardzo tu sobie ludzie chwalą tę Pannę ze dworu. Dobra. Miłosierna....

Czułem że czerwienieję jak burak. Jam sądził że o mojej tajemnicy nie wie nawet ten częstochowski medalionik który noszę

/.

na serca – a tu już i mój furman apropos des bottes poczyna chwalić pannę Katarzynę przede mną! –

– Słuchaj no! rzekłem, chcąc przerwać tę rozmowę – gadasz Bógwie o czem a nie słuchasz co ci kazałem.

– Cóż Pan każe?

Sam już nie wiedziałem co kazać – tak byłem zakłopotany tą niespodzianą pochwałą Panny Katarzyny. Zamyśliłem się głęboko. O czem? ~~zgadnij~~ czytelniczko. – Furman czekał na odpowiedź.

– Wyprzęgaj konie, – rzekłem po długiej pauzie namysłu i poszedłem do dworu. –

W bawialnym pokoju siedziała na kanapie Pani Monika, przewracała kartki w jakiejś dziwnie ozdobnie oprawnej książce – która przed nią leżała na mahoniowym stoliku. Był to jej pamiętnik. –

Obok Pani domu siedziała na krześle Panna Katarzyna z jakąś robótką w ręku. –

Usiadłem. Niechcąc przeszkadzać Pani Monice w przeczytaniu pamiętnika, zacząłem rozmowę z Panną Katarzyną. Nie wiem czy wiecie Szanowne Czytelniczki jak trudno jest nam (mężczyznom) utrzymać rozmowę z osobą z którą nas jakieś głębsze wiąże uczucie, niewypowiedziane, o którem mówić nam niewolno, – a choćby wolno było mówić, to słów nam brakło aby je wypowiedzieć bo jak się wyraził nasz wielki poeta:

Słowa w ustach więzną, na powietrzu stygną!

To też i mnie nie gładko szła rozmowa z Panną Katarzyną. O codziennych rzeczach jak z kim innym mówić z nią nie umiałem – a nawet nie byłbym tego przemógł na sobie aby z nią mówić o pogodzie, o teatrze i koncertach i o modach, o najnowszych wiadomościach sąsiedzkich, i t.d. i t.d. – Mówić o czem innem w chwilach gdy się tylko o jednem myśli, o najświętszem uczuciu – o którem wówczas mówić niewolno, mówić o czems o czem się nie myśli... czy podobna?

Zawierz mi moja piękna Czytelniczko. Podam Ci niezawodny sposób poznania, kto z tej młodzieży co się o Twoją rękę dobija, kocha Cię szczerze i serdecznie. Oto ten, któremu rozmowa z Tobą idzie najmniej gładko, rwie się ciągle, znów wiąże i urywa, jednem słowem ten, który wobec Ciebie jest najmniej ze wszystkich wymownym. – Jeśli zaś kto będzie z Tobą mówił długo, gładko,

./.

Szczerze, bez zająknienia o uczuciach – a może o miłości, – o, to mi wierzaj: on już te same frazesy powtarzał kilkanaście razy wobec innych czytelniczek moich – a powtarzał je równie wymownie jak Tobie, z uczuciem równie gorącym jak Tobie – a może i bez uczucia. –

Rozmowa moja z Panną Katarzyną szła mi tak niegładko, żebym jej nawet nie mógł tu powtórzyć – boby nas wyśmiała Szanowna Czytelniczko moja. – Powiem tylko żeśmy mówili o „~~Niewieście~~" i o pamiętnikach. – Wiele śmielszej dała na ten temat – wiele myśli wyraźnie – wiele (ważnych) rzeczy naraz powiedzieć... Czemuż byłem tak ~~niezręczny~~! tak nieprzytomny! –

– A Pani czy nie piszesz pamiętnika? zapytałem w końcu.

– Nie – odpowiedziała Panna Katarzyna, ale rumieniec na jej twarzy odpowiedział najwyraźniej: „Tak!" – Och, gdyby ten pamiętnik dostał się w moje ręce!

– Jednakże jabym śmiał Panią posądzać, że.....

Tu Pani Monika chcąc wybawić wychowankę z kłopotu, przerwała naszą rozmowę:

– Przeczytam Panu ~~[illegible]~~ z mego pamiętnika ustęp ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. – Jeśli się Panu zdawać będzie że to się przyda „~~Niewieście~~", to pozmieniwszy Pan nazwiska osób i miejscowości i prześlij Redaktorowi do osądzenia. –

– Słucham Pani z uwagą.

Pani Monika zaczęła czytać. Przyznam Ci się Szanowna Czytelniczko że (mimo przyrzeczenia) ~~nie~~ z wielką słuchałem uwagą, – ale nie jam temu (winien) lecz Panna Katarzyna, która swoją obecnością niedozwalała mi skupić myśli. – Nie jestem w stanie osądzić czy pamiętnik był zajmującym czy nie. Panna Katarzyna była za przesłaniem go „~~Niewieście~~" – Jeśli go Redaktor umieści a Czytelniczki się znudzą – to nie na mnie ciężyć będzie wina ale na Redaktorze i na Pannie Katarzynie. –

Pani Monika zaczęła czytać:

„*Rdzawki, dnia 14º Października 1858.* – Wydawszy córki za mąż, przed wyjazdem moim z miasta, ostatni uczyniłam sprawunek: kupiłam tę niezapisaną książkę – ~~[illegible]~~ na pamiętnik. – Czułam że mi potrzeba będzie tu na wsi powiernika, – czułam jak mi tu będzie samej jednej smutno i samotnie. – Jakże tu pusto w tych pokojach teraz, – jaka przykra dla mnie cisza! A przed kilkoma jeszcze miesiącami gdym po raz ostatni z córkami tu była – ileż tu było życia, ile ruchu, jaki gwar wiecznie i zajęcia tyle! – Po całych dniach słychać było tam z salonu srebrny głosik mojej Malwinki – a utwory Chopina brzmią dotąd w moim uchu jakby ona tu była jeszcze! A moja gosposia dzwoniąca kluczami, moja najstarsza wyręczycielka ~~[illegible]~~; – cały dzień zajęta gospodarstwem Teosia! – niema jej, a ubodzy i chorzy niemogą się utulić od płaczu za swoją dobrodziejką i lekarką i pocieszycielką. A moje najmłodsze ptaszę – moja Kasia – gdzież jej wesołość, jej pustoty? Ona może płacze w tej chwili? może nieszczęśliwa? Czyż ja będę winna?... Dziwne pytanie! Ktokolwiek winien – Matki serce odpokutuje najsrożej.... Ale Bóg dobry! zaliżby karał to dziecko? –

Inne Matki wydawszy córki swe za mąż, spokojne są i szczęśliwe, zdaje im się że już pozbyły wszelkiej troski, że dopełniły obowiązku, marzą tylko o tem jakby najmilej przeżyć resztę żywota. – Mnie inaczej: mnie trosk przybyło teraz. O Adasia mego choć najmłodszy, choć syn jedynak, mniej się troszczę niż o córki które wydałam za mąż. – Mężczyzna wówczas opiera się na sobie samym – jego szczęście a przynajmniej jego spokój zawisł prawie wyłącznie od niego samego. Spokój duszy i szczęście kobiety zamężnej, w małej tylko części od niej samej zawisły. Ona być musi bierną, być nią powinna. Powinna być wiernem zwierciadłem duszy mężowskiej. Jak w czystej krynicy odbija się czy nad nią pogoda słoneczna czy też chmury zasępiły oblicze nieba, każdy przelatujący po nad nią ujrzysz obłoczek, – tak w duszy dobrej żony zwierciedlić się powinno każde uczucie, każda myśl mężowska, – a myśl każda i uczucie piękniejszem szlachetniejszem będzie w tem odbiciu – bo już nie samolubne ale w miłości poczęte. Ileż szczęścia dla kobiety w tem wtórowaniu szlachetnym zapałom, wielkim myślom ukochanego nad wszystko i na wieki! Nawet w dzieleniu smutków jego i troski jakaś błogość niebiańska! – Ale jeśli na twarzy męża miasto

/:

mętnego spokoju wśród drgania konwulsyjne namiętnościami szarpanej duszy — o nieszczęśliwa! niema ukojenia Twojej boleści, niema dla ciebie pociechy chyba w modlitwie i w pracy. ~~Każde~~ słowo szorstkie nierozważne, każdy wyraz przykry na jego twarzy, każdy ruch jego gwałtowny, to co uczyni i co pomyśli — bo Ty to sercem odgadniesz —: to wszystko jak promienie skupione w Twem sercu ~~mi~~ bolejącem się skupi w jedną boleść palącą, której nikt nie zrozumie i nikt podzielić nie zdolny — bo nikt jego nie kocha tak jak Ty go kochasz — sprawcę boleści Twojej. — O mój Boże! niedaj aby córki moje doznały tego cierpienia — nad które niema dla kobiety nic boleśniejszego, chyba jedno... chyba własnego upadku...

Że od Matki zawisła przyszłość dzieci, wszystko czyniłam aby córki moje uchronić od tego nieszczęścia i od owych cierpień których przyczyny leżą częstokroć w nas samych: w przekrzywionych pojęciach o sobie, o celu i obowiązkach kobiety, o świecie i o ludziach, w zbyt wybujałej chorobliwej ~~gorącej~~ wyobraźni, w znarowionem sercu, w przedrażnionych, wyegzaltowanych nerwach których kiełznować nie umiemy, w tej niestałości umysłu pragnącej wiecznie zmiany, nowości, ~~św~~ świetnych dekoracyj i teatru w życiu — ~~[illegible]~~ w tym życiu kobiety tak jednostajnem ~~i nudnem dla kobiety~~ [illegible]

~~185~~

~~Wojciech~~

~~687~~

~~Sup. A~~

„Zasiedliśmy do wilii"
początek [illegible]

Zasiedliśmy do wilii. Oboje gospodarstwo serdecznie byli nam radzi. Była to pierwsza wilia młodej pary od czasu pobrania, pierwsza wilia w własnym domu. Cóż dziwnego, że radosne rozrzewnienie zawładnęło dwojgiem zakochanych przy łamaniu się opłatkiem i że to rozrzewnienie udzieliło się nam wszystkim. A było nas grono nieliczne, ale związane z gospodarstwem serdecznemi węzłami krwi albo przyjaźni. Rzewnie nam było wszystkim, dziwna jakaś słodycz domowego szczęścia, które oglądać nam było dane, udzieliła się sercom i nie mogliśmy się napatrzeć dość temu szczęściu o dwo[illegible] mem narzeczyi. Starsi z pomiędzy nas przypominali w duszy podobne własnego życia chwile, młodzi z utęsknieniem pytali serc własnych, czy im kiedyś także podobne szczęście zaświeci.

Nie było gwarno. Milcząc jedliśmy „migdałową zupę" tonąc w ~~wsp~~ myślach — ci w wspomnieniu, ci w nadziejach. Przy „esikach z ryby", po kieliszku wybornej madery ożywiło się trochę. Po każdym następnym wina kieliszku i przy każdym nowym półmisku (: a wedle obyczaju i tradycji miało ich być dwanaście :), myśli roiły się wyraźniej, rozmowa coraz stawała się ~~żywną~~ gromiejszą, weselszą, coraz tłumniej, błyskotliwe tryskały dowcipy, żarty jak race bengalskie przelatywały co chwila z jednego końca stołu na drugi — a huczne śmiechy mężczyzn i chichoty panien każdemu takiemu szmermelowi wtórowały jak echo i echo echa.

„Pan Żergowski".

1.) Elegancki (choć skromnie umeblowany) salonik. Lampa płonie na okrągłym stole przed kanapą. — Pan Żergowski; czy państwo przyjmują? (Milczenie.) Na kanapie pani Władysławowa pochylała jasnoblond główkę nad kanwową robotą. Pan Władysław na fotelu rozłożywszy ręce trzymając obrazek (odwrócony od światła) milczał, numer dziennika. Milczenie.

Pan Żergowski

— Pan Żergowski; czy państwo przyjmują? — zapytał Walenty po raz drugi.
Milczenie.
Pani Władysławowa główkę schyliła nad robotą i spojrzała na męża. Przymrużyła przy tem nieco (z jednej strony) lewe oko. [illegible] jakąś figlarnie-kapryśną minkę.
Milczący nierozumiejący Walenty powtórzył zapytanie.
I pan Władysław [illegible] spojrzał na żonę, a [illegible] [illegible] się uśmiechnął się znacznie i [illegible] całe popierane [illegible]. [illegible] ściągnął z lekka ramionami.
— No, cóż? — zapytała pani zniżonym głosem, ale gość usłyszy zniecierpliwiony [illegible]. Słychać było jego ponowne kroki i kataralne odchrząkiwanie.
P. Władysław pokiwał głową na prawo i na lewo, jakby chciał tem wyrazić, że wcale jakąś powziął decyzję.
— Nie o tem, że dziś przyjmujemy, — szepnął wreszcie. — Będzie ciągnąć się...
— Ale on pewnie znowu w swoim powiedział tużurku... a będzie u nas kilka osób...
— Ba, bo zapewne innego nie ma...
— Ah, to niech przyjdzie kiedy indziej! — I obróciła się do lokaja: Powiedz, że pani nie ma w domu, a pan wyjechał...
Walenty odszedł. Za chwilę wysłać było słychać nosowy [illegible] przeciągły: „Aaa, nie ma w domu!... a pani wyjechała! aaa!” potem głośne ucieranie nosa i kilkakrotne odchrząknięcie; wreszcie szuranie nogami po podłodze gość niespodziany zdawał się opuszczać.
Słychać było jak mu Walenty drzwi od sieni otwiera. Nagle nieszczęście zatrzymał się w progu:
— Cóż to, [illegible] mój kochany, zgubiłem jakiś przy sieni rękę zapewne, bom zmarzł.
I posuwistymi krokami powrócił.
Pani Władysławowa wyrzuciła gestem wyrazistym swoje zniecierpliwienie, twarz jej się (z uśmiechem) obłąkała. Przysięga pani dobrą na znak milczenia i pochyliła się nad robotą, szepnęła:
— Tymczasem kto inny nadejdzie... Co tu będzie?
— Trzeba będzie odprawić — odrzekł mąż.
— Ah! niemożliwy człowiek!
P. Żergowski (tymczasem) (Jankowski?) zjawił się w progu niezmiernie zdziwiony.
— Aaaa, jak to miło!...
I przytupywał nogami aby je sobie rozgrzać.
Pani Władysławowa położyła drutki robótki, ale wciąż uśmiechała się wśpółczująco.
— Gotów kto nadejść!
Spojrzała na zegarek:
— Już do ósmej!

A z przedpokoju dolatywał przeciągły nosowy głos gońca:
— Łaska Walenty, zimno na dworze, mróz, mróz!
Wtedy p. Władysława zaszeleściała gazeta.
— Pst! cicho! — przerażona oczkiem pogroziła mu żona zza stołu, minką
jakby wielkiemu dziecku zapobiegając niebezpieczeństwu.
Śmiać się chciało p. Władysławowi, chociaż usta sobie zamknął aby się nie
parsknąć w śmiechu. Pani domu zdążyła nie dopuścić
— No, a ty Walenty, jak się masz? co?.
I grzejąc się przy piecu przytupywał nogami pan Sierżant
— Dziękuję Wielmożnemu Panu, zdrów jestem.
— Zdrów jesteś, zdrów... to dobrze, hm, odburknął (chwała Bogu!...) Ho, ho, cieszę się,
cieszę się mocno, żeś zdrów... bardzo się cieszę...
I [Tu kichnął] teraz zaczęło się ucieranie nosa, potężne jak się zdaje rozmiarami
ale z głośnego trąbienia domyślać się można było.
Pani Władysławowa uniesionym gestem rozpaczy zasłoniła oczy
Gospodarz domu zabrał się zapalczywie do czytania gazety
— To wielki skarb, zdrowie... panie Walenty... to wielki skarb...
ho, dałby Bogu żeś zdrów...
Walenty nic nie odpowiadał
— Co? dziękujże Panu Bogu Walenty, żeś zdrów... co?... no,
powiedz że Walenty...
— Dziękuję Wielmożnej Pani.
— No, to dobrze... to dobrze... bo trzeba dziękować Panu Bogu!
trzeba... trzeba...
I dopiero wtedy się uciszał.
— Ho, ho, ciężkie mamy teraz czasy, ciężkie... nic dziwnego że zdrów
jak mówię... panie Walenty? a tyle ludzi ubogich marznie bez opału
mieszkaniu...
Pani Władysławowa pochyliła się na swoim krzesełku wstrząsając
ramionami, jakby się przeciągając z rozkoszy jakby też radością napadły.
— Oj, tak, tak, panie Walenty, ubogim jest... a
umarzać przy tym się ogrzać... co? żal ci ich Walenty?, powiedz, powiedz!
— A pewnie że żal.
— Pewnie nam pewnie trudno... może byś co dał dla
tych biednych ludzi... co?
Pan Władysław obrócił się twarzą ku drzwiom jakby
niedorzecznie oburzony uwagą, otworzył usta szeroko jakby zamierzał krzyknąć
okrzykiem oburzenia.
— Wielmożna Pani, ja sam biedny człowiek i ledwie
żyję....
— No, to i cóż? tyś biedniejszy od nich... Dobić ciężko
a oni marzną... Ja tyle mam tylko którym by potrzeba pomóc... Ej, może masz co
dać?.. Choć kilkanaście centów...
— Ja mam żonę i dzieci — odpowiedział mi Walenty
— Chwała Bogu że masz — no, ale Bóg widzi że człowiek
wystarczy a i oni coś tam jeszcze zarobią... Mógłbyś co dać dla biedniejszych. Ty
poczciwy człowiek, i dobry chrześcijanin... to już ja wiem że nie odmówisz dla
biednych...

— Mnie [illegible] dosyć [illegible] i [illegible]...

— Ej, a w [illegible] pewnie [illegible]...

— No, to [illegible] mnie coś [illegible] na wypadek [illegible] [illegible] [illegible]... A [illegible] się [illegible] [illegible] wyjeżdża?.

— Eh, na wypadek [illegible]! A [illegible] to [illegible] na świecie [illegible] [illegible] co?

— [illegible] się [illegible] [illegible] do [illegible] — to wstyd. Jak [illegible] [illegible]... [illegible] mnie [illegible]...

— Dobrze mówisz: [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] od [illegible] — ale też dlatego aby [illegible] [illegible], [illegible] teraz w [illegible]...

— Ja mam w sobie pamiętać, proszę wielmożnego pana. — odrzekł Walenty [illegible] [illegible] tonem

~~[illegible], [illegible], [illegible] [illegible]~~

— A kto co [illegible] dla [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible], to [illegible] dla mnie [illegible], może p. Jerzy... No, no, [illegible] [illegible] Walenty, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

— Wielmożny Pan żartuje... [illegible] [illegible] Wielmożny Pan [illegible] od [illegible]...

— A [illegible] mi?..

— Bo Wielmożny Pan [illegible] sam... [illegible] mnie [illegible].. a ~~[illegible]~~ (wiecznie [illegible])

— Co [illegible] to [illegible] [illegible]! — I [illegible] go [illegible] [illegible] po ramieniu. — No, no, mój Walenty, mój poczciwy!

— No, dam?

— Wiem.

— Ja, [illegible] Walenty!

Jeśli jak [illegible] [illegible] [illegible], to ja sam dam, proszę [illegible] Wielmożnego Pana.

* Ja znam dość [illegible], to [illegible] [illegible] komu potrzeba.

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] tonem, aby dalszego [illegible] [illegible] [illegible] się p. Żergowski.

— Ha, to bywaj zdrów Walenty, bywaj zdrów! A o [illegible] nie zapominaj!..

I [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] zabierać się do wyjścia. ~~[illegible], [illegible]~~

W progu zatrzymał się raz jeszcze.

— Może masz choć [illegible] [illegible] [illegible]?

— [illegible] mam

~~[illegible]~~. I [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] zamknął [illegible] drzwi Walenty i [illegible] po jego wyjściu [illegible] demonstracyjnie. ~~[illegible]~~

I w tej samej chwili [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się równocześnie w salonie.

— Aaaaaa! — przeciągle wykrzyknął p. [illegible] z [illegible] [illegible].

Pani [illegible] wybuchła szalonym śmiechem jakby [illegible] się przed nią najlepsza scena komedii.

— Aaa, to [illegible] [illegible]!

— Czy ci nie mówiłam, on wszystkie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] sposób.

— [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] pan [illegible], ale [illegible] jeszcze [illegible] [illegible] [illegible]!..

— [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]!

— A czy uważałeś [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~, jak on się tam [illegible] na herbacie? [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] od [illegible] [illegible] [illegible] ~~[illegible] [illegible]~~ [illegible].

— Bo [illegible] [illegible] w samej rzeczy

— A [illegible] [illegible] z [illegible] [illegible] do salonu. On [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

— Biedny człowiek, to musi mieć wyjątkowy skład!

— Mała to pociecha obrazić, że mu siostra nie wyszła, Korony to bogaci ludzie!

— Wiesz, ja powiem ci, że mu zostało kilkanaście pieniędzy. Ale on oddaje za kilka dni, tak jak cały swój majątek rozdał ubogim — a potem z nędzarzami na strychach ... żył.

— Czemu go nie weźmiecie do siebie, wuju?

— Starałem się z nim pomówić i nie wiedział się udało. Kiedyś utrzymuje, że mieszkając razem pod jednym dachem uciekłby do tygodnia.

— Szalony! jakże taki mądry! Taki mądry!

— Święty człowiek.

— Dziwak niesamowity!

— Wie, on wcale nie jest bigotem. To prawdziwy święty.

— Jest to taki sobie socjalista, niewierny komunista...

— Prawie on cudzego nie bierze — swoje tylko oddaje ubogim, i to co od kogo wyprosi.

— Czemu do klasztoru nie wstąpił? Mógłby być kwestarzem.

— Ba! on powiada że klasztory jak ci Franciszkanie żebrzą dla siebie i sami poklasztorowali zamiast ubogich żywić. W porównaniu z jego życiem klasztorne życie zbytkowne. Byłem u niego raz z księdzem: gołe ściany, tapczan, para starych mebli i szafa. Zimno jak w psiarni, myślałem że sobie nos odmrożę. A on siedział przy piecu i dokładał węgla. Wtem nadeszła jakaś z furmańską fajeczką w zębach podstarzała żebraczka. Wziął ją w dom, osmolonemi rękami znalazł wreszcie dwa całe i kawałek suchej bułki. — A masz czem palić? zapytał. Żebraczka odrzekła wprost że jej dziś marznie. Podniósł się z miejsca, zebrał wszystkie węgle które się tlić zaczęły i wyjąwszy drwa wielkie kawałki podał jej do fartucha. Ja ci więcej nie mogę dać, ale ten pan ci da. I wskazał na mnie. Dałem czy [illegible], ale to ją nie zadowoliło i prosiła żeby więcej dać. Dałem jeszcze. A potem przekonany że ta żebraczka lepiej żyje od niego. [illegible] wczoraj widziałem ją wychodzącą z szynku przy ulicy leżał kawałek węgla — pewnie była tak zadowolona że to ten kawałek podarowany przez niego.

— Dziwak! Gdyby mu kto choć raz otworzył oczy i powiedział słowo prawdy.

— Czy myślisz że mu sto razy już nie mówiono? Dziwak mówię? A wiesz co on odpowiada, jak go kto nazwie dziwakiem? Cóż to mówi? czy miłosierdzie jest dziwactwem. [illegible] czy to dziwactwo litować się nad biednymi. [illegible] tej żebraczce która za dzień jest przez nas jałmużnę [illegible] ale czyż mogę się [illegible] można się czasem omylić i dać niegodnemu, ale czyż pan sądzi że prawdziwych nędzarzy niema? Nazwałeś mnie pan dziwakiem. Czy pan miłosierdzie uważa za dziwactwo?"

— I cóż ty mu na to?

— Nic mu nie odrzekłem, bo musiałem uszanować jego zacne intencje i miłosierdzie a wiem że by mnie nie zrozumiał gdybym mu powiedział to jedno co by mi odpowiedzieć dało: że gdyby bogacze rozdali wszystko swoje ubogim, to byliby wtedy na świecie sami tylko nędzarze, nie byłoby nauki ani oświaty, ani postępu, ani jakiegokolwiek [illegible] i ponadto [illegible], zapadlibyśmy w barbarzyństwo. Jego dobroć choć wzniosła, ani [illegible]. Miłosierdzie jest piękną cnotą, ale kto przekroczy pewne jej miary staje się mimo swej woli i wbrew swej woli apostołem społecznego rozstroju i zastoju [illegible].

— Tak - tak - powtarzała w dziwnem pogrążona zamyśleniu [illegible]. Jakże nam n. p. można by zarzucić brak miłosierdzia? przecież my tyle [illegible] biednych — a jednak nie wypadamy z [illegible] ... aby wypaść z wszelkich względów [illegible] co się [illegible] stanowi...

— Oh, oh, moja droga! [illegible] to [illegible]. On by ci powiedział:

2.) 179

„Ta złota bransoletka którą pani podziwiasz kosztowała warta 50 guldenów..."

— Nie, czterdzieści tylko.

— Dobrze: „czterdzieści"; ta suknia drugie tyle, ta kanapa owe złocone fotele drugie na to warte 120...

— Ah, więcej!...

— Naturalnie, oto. „Ten stół wart..." Ile to się już naliczyłem?

— Około 240 razem

— A więc ten stół, ta etażerka z wszystkiemi rozstawionemi na niej przepysznemi gracikami i td., to wszystko razem odliczony do poprzedniej sumy czyniłoby do przeszło 400 guldenów...

— No i cóż stąd?

— Ten rezultat: gdybyś to pani kochana, kupiła zamiast tej kanapy i tych foteli parę [illegible] i [illegible] stołków; bez etażerki i gracików obeszłaby się całkiem, bez bransoletki także, ubrała się w perkalikową spódnicę — otóż i wszystko. Oszczędziłabyś co najmniej 400 guldenów...

— Dobrze już, dobrze, rozumiem, i [illegible]: „i dać te 400 guldenów ubogim." Czyż nie [illegible] wszystko porachować?... A cóż to znaczy 400 guldenów, czy to ten wielki [illegible] — to tyle co nic...

(to mi już mówią, tylko [illegible]:)

— Słuchaj no moja pani: za 20 guldenów [illegible] można jakoś wyżywić człowieka przez cały rok. Za 400 guldenów uratujesz zatem na jeden rok dwudziestu ludzi od głodowej śmierci... [illegible] na tych [illegible] pamiętaj [illegible] zamiast [illegible] wspomnień [illegible], [illegible] śmierć [illegible] wspomnienia! — [illegible] śmiercią [illegible] — [illegible] umierającego [illegible]... [illegible] [illegible] śmiertelnym [illegible] [illegible] [illegible] chorób...

— Te, te, te, tea! nie zawracaj mi głowy! — wołała pani Julia zatrzaskując oczy drobnemi rączkami.